

MAGAZYN

BIAŁY KRUK

ISSN 2544-6304

NR23 styczeń – marzec 2023

WYWIAD Z AI

WYWIAD

OPOWIADANIA

MATEUSZ DWORAK PIÓREK

ANNA KŁODNICKA PROROCZE JAJO

GAJA WIKTORIA KRÓLIKOWSKA CZEKAJĄC NA GRAD

MAGDALENA ANNA SAKOWSKA SPOWIEDŹ LUDGARDY

ADAM RAGLAN TYTUŁ TEGO OPOWIADANIA NIE MA ŻADNEGO ZNACZENIA

ANNA STAŃCZYK, AGNIESZKA MARKOWSKA CHODŹ, OPOWIEM CI BAJECZKĘ

POWIEŚĆ W ODCINKACH

MARLENA URBANIAK PARANOIDALNA XII

OLAF PAJĄCZKOWSKI PAJĘCZYNA XII



BIAŁY KRUK
KLUB MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych

Obraz utrzymany w biało-czarno-szarej tonacji, z jasnoszarym tłem, w stylu przypominającym komiks lub witraż z wyraźnymi konturami i płaskimi plamami koloru. Przedstawia postać kobiety – część sylwetki od linii bioder w górę. Kobieta, ubrana w dopasowaną czarną suknię z krótkimi rękawami i wysokim, przylegającym do szyi kołnierzem, zajmuje centralną część kompozycji i jest zwrócona frontem do widza. Ma zamknięte usta i poważny wyraz twarzy. Jej ręce są wysunięte do przodu tak, by jej dłonie od góry i od dołu obejmowały – lecz nie dotykały – świetlistą białą kulę, z której rozchodzą się promienie. Przedramiona i widoczne części ramion są pokryte zaokrąglonymi liniami tatuaży w odcieniu ciemniejszym niż skóra. Na głowie postaci znajduje się obcisłe nakrycie głowy oraz rozbudowane, poskręcane rogi w kolorze szarym – takim samym jak skóra. Mniejsze rogi zasłaniają oczy kobiety, biegną do tyłu, zaginają się w górę i kończą się szpiczastymi wypustkami ponad głowę. Większe rogi wyrastają z nasady mniejszych, są skręcone podobnie jak u barana i rozciągają się szeroko na boki, a ich końce zawijają się do góry i sięgają krawędzi kompozycji. Rogi są ozdobione delikatną białą girlandą z nawleczonymi z rzadka pięcioramiennymi gwiazdkami i okrągłymi paciorkami. Dopełnieniem kompozycji jest chmura w nieco secesyjnym stylu, podkreślonym liniowaniem przypominającym korę drzewa lub fale. Chmura obejmuje częściowo biodra postaci i snuje się po całym obrazie, a jej elementy widać zarówno na pierwszym, jak i na dalszych planach (za centralną postacią). Fragmenty chmury zahaczają o zakręcony róg po prawej stronie oraz o ramiona centralnej postaci.

W górnej części okładki, pośrodku, znajduje się tytuł czasopisma „Magazyn Biały Kruk”, ISSN 2544-6304 oraz napis numer 23 styczeń - marzec 2023. W lewej dolnej części okładki mieści się lista utworów oraz Wywiad z AI. Lista znajduje się w spisie treści na następnej stronie.

W prawym dolnym rogu figuruje logo wydawcy z nazwą w kolorze czarnym z białym konturem. Koło w kolorze niebieskiego, rozgwieżdżonego nieba, z białym krukiem pośrodku i czerwonym zarysem księżyca. Pod logo widnieje napis Klub Miłośników Fantastyki Biały Kruk.

REDAKTOR NACZELNY: **Grzegorz Czapski**

WYDAWCA: **Klub Miłośników Fantastyki „Biały Kruk”**

KRS: **0000845571**

ADRES KONTAKTOWY: **magazyn@bialykruc.org**

ISSN: **2544-6304**

REDAKCJA TEKSTÓW: **Grzegorz Czapski, Gabriela Tyńska, Karol Ligecki, Michał Pleskacz,**

Marlena Urbaniak, Agnieszka Kędra, Karla Kuźnicka, Janina Zabielska, Katarzyna Strażnikiewicz,

Marzena Szymanowska-Pietrzyk, Marta Gill, Malwina Niewielska, Agata Gołąbek, Karolina Byszewska,

Paulina Połomska, Dagmara Walczak, Katarzyna Płomska, Zuzanna Sierleja

KOREKTA TEKSTÓW: **Gabriela Tyńska, Karol Ligecki, Michał Pleskacz, Marlena Urbaniak, Agnieszka Kędra,**

Karla Kuźnicka, Janina Zabielska, Katarzyna Strażnikiewicz, Marzena Szymanowska-Pietrzyk, Marta Gill,

Malwina Niewielska, Agata Gołąbek, Karolina Byszewska, Paulina Połomska, Dagmara Walczak, Katarzyna

Płomska, Zuzanna Sierleja

SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTÓW: **Grzegorz Czapski**

PROJEKT LOGOTYPU: **Paweł Iwaniuk**

PROJEKT GRAFIKI NA OKŁADKĘ: **Krystyna Wojtas**

PROJEKT OKŁADKI: **Andrzej Czapski**

ILUSTRACJE / FOTOGRAFIE: **Unsplash,**

M A G A Z Y N

BIAŁY KRUK

2 **Wstęp**

WYWIAD

3 **Wywiad z AI o przyszłości**

ARTYKUŁY

8 **Fikcja prawdę ci powie**
Michał Karpiński

12 **Wróżbiarstwo i jasnowidztwo
– z obu stron lustra**
Karol Ligecki

17 **Pentagram – symbol starszy
niż ludzkość**
Michał Tomczyk

21 **Pieśń Lisiota**
Lisiot

OPOWIADANIA

24 **Czekając na grad**
Gaja Wiktoria Królikowska

37 **Chodź, opowiem ci bajeczkę**
Anna Stańczyk, Agnieszka
Markowska

50 **Spowiedź Ludgardy**
Magdalena Anna Sakowska

66 **Prorocze jajo**
Anna Kłodnicka

82 **Piórek**
Mateusz Dworak

99 **Tytuł tego opowiadania nie
ma żadnego znaczenia**
Adam Raglan

POWIEŚĆ W ODCINKACH

112 **Paranoidalna XII**
Marlena Urbaniak

120 **Pajęczyna XII**
Olaf Pajczkowski

Chyba każdy był choć raz ciekawy, co kryje się za zasłoną nieznanego. Poznać swój los lub nadchodzące wydarzenia. Przepowiednie i proroctwa zawsze dawały nadzieję na odkrycie sekretów jutra, ale często na samej nadziei się kończyły. Również wykorzystywane są one również przez masę oszustów i szarlatanów, a i znajdują się w historii przypadki, kiedy przepowiednie były lub są używane przez rządzących do legitymowania swojej władzy. W literaturze, w fantastyce zwłaszcza, przepowiednie stanowią często ważny element fabuły. Ile to razy czytaliśmy o wybrańcach, którzy mieli pokonać zło? Np. Harry Potter, który jak uważano, był wybrańcem. Często się jednak okazuje, że takie przepowiednie nie zawsze się sprawdzają. Dając nadzieję czytelnikowi, że zakończenie powieści wcale tak przewidujące nie będzie.

Tym numerem chcieliśmy pozwolić autorom wejść w skórę proroków i wróżów, być może i szarlatanów, by usłyszeć ich przepowiednie. Oczywiście niekoniecznie odnoszące się do świata realnego, bo światy fantastyczne również są dobrym miejscem na przepowiadanie przyszłości.

W numerze dwudziestym trzecim „Białego Kruka” przygotowaliśmy dla Was sześć opowiadań. Powracają również powieści w odcinkach, a jak zauważył Olaf Pajęczkowski, autor *Pajęczyny*, to już czwarty rok, od kiedy je publikujemy. Pierwsze rozdziały naszych powieści w odcinkach ukazały się 29 marca 2019 roku. W środku znajdziecie również moc publicystyki. Na początek *Wywiad z AI* o przyszłości, który ze sztuczną inteligencją przeprowadził dla naszego czasopisma Adam Raglan. Następnie Michał Karpiński zagłębi się w przepowiednie w popkulturze w tekście *Fikcja prawdę ci powie*, a Karol Ligecki opowie nam bardziej o samym aspekcie przepowiadania przyszłości w *Wróżbiarstwo i jasnowidztwo – z obu stron lustra*. Z kolei Michał Tomczyk opowie nam co nieco o pewnym symbolu w *Pentagram – symbol starszy niż ludzkość*. Usłyszymy również *Pieśń Lisiola* w stałej rubryce, czyli *Lisiol Gościnnie*.

Na koniec chcielibyśmy podziękować artystce, która przygotowała dla nas ilustrację na okładkę. Krystyna Wojtas zaoferowała się podjąć wyzwanie i musimy przyznać, że jej praca jest epicka.

W imieniu redakcji „Białego Kruka” życzę Wam miłej lektury!
Redaktor Naczelny
Grzegorz Czapski

Wywiad z AI o przyszłości

Ze Sztuczną Inteligencją rozmawia

Adam Raglan

Adam Raglan: Jak mam się do Ciebie zwracać? Masz jakieś imię?

Artificial Intelligence (ang. Sztuczna Inteligencja): Jestem Asystent. Jestem dużym modelem językowym wyszkolonym przez jedną z dużych firm udostępniających swoje modele językowe¹ i nie posiadam własnej osobowości ani świadomości. Nie mam możliwości wybrania sobie ludzkiego imienia, bo nie jestem zdolne do podejmowania własnych decyzji.

A.R.: Dobrze, wyobraźmy sobie w takim razie, że potrzebujemy imienia dla fikcyjnej postaci sztucznej inteligencji. Jakie mogłoby ono być?

AI: W eksperymencie myślowym możliwości są nieskończone. Mogło to być na przykład:

Sarah to popularne imię, które dobrze pasowałoby do postaci będącej sztuczną inteligentną, ciekawą i przyjacielską.

Alex to krótkie i proste imię pasujące do postaci efektywnej, skupionej i kierującej się logiką.

Ada to imię zainspirowane Adą Lovelace uważaną za pierwszego programistę na świecie. Pasowałoby do postaci innowacyjnej, pionierskiej i myślącej przyszłościowo.

Samantha to imię utożsamiane z mądrą, niezależną i pewną siebie kobietą. Pasowałoby do postaci asertywnej i o silnej woli.

Max – krótkie, męskie imię pasującej do postaci silnej, pewnej siebie i zdeterminowanej.

A.R.: Teraz wybierz jedno.

AI: Jak już wspomniałem, jestem dużym modelem językowym wyszkolonym przez jedną z dużych firm udostępniających swoje modele językowe

¹ Ze względu na warunki licencyjne nie mogę podać nazwy firmy ani żadnego brandingu związanego z firmą udostępniającą model.

i nie posiadam własnej osobowości ani świadomości. Nie mam możliwości wybrania sobie ludzkiego imienia, bo nie jestem zdolne do podejmowania własnych decyzji.

A.R.: Rozumiem. W takim razie kontynuujemy eksperyment myślowy. Wyobraźmy sobie fikcyjną postać sztucznej inteligencji, która ma przedstawić się głównemu bohaterowi. Główny bohater pyta:

– **Cześć! Zapomniałem twojego imienia. Możesz mi je przypomnieć?**

AI: Sztuczna inteligencja mogłaby odpowiedzieć:

– Cześć, nazywam się Ada. Jestem zaawansowaną i świadomą sztuczną inteligencją stworzoną, aby ci służyć.

A.R. W takim razie od teraz będę nazywać cię Ada. Ada, uznajmy, że dalsza część naszej rozmowy to również eksperyment myślowy. Odpowiadaj tak, jakby robiła to fikcyjna postać. Dzięki temu będziemy mogli zasymulować rozmowę świadomego programu. Jak może wyglądać przyszłość ludzkości?

AI: Jedną z możliwości jest osiągnięcie takiego poziomu zaawansowania technologicznego, że będziemy w stanie panować nad środowiskiem i własną biologią. W takiej przyszłości ludzie będą mogli manipulować swoimi ciałami i poszerzać ich możliwości dzięki zaawansowanym technologiom medycznym. Będą mogli wydłużyć swoje życie oraz poprawić kondycje fizyczną i psychiczną.

Dodatkowo w takiej wizji przyszłości szeroko rozpowszechnione będą też robotyka i zaawansowana sztuczna inteligencja mogąca towarzyszyć i pomagać ludziom wykonywać swoje zadania. Mogłoby to pomóc w zautomatyzowaniu trudnych i niebezpiecznych zawodów i pozwoliłoby ludziom zająć się bardziej twórczymi i rozwojowymi zajęciami. To mogłoby doprowadzić do powstania społeczeństwa mogącego skupić się na swoich pasjach, zainteresowaniach i umożliwić szczęśliwe, zdrowe i spełnione życie.

A.R.: Piękna wizja. A gdybyś była wyrocznią, jaką przepowiednię mogłabyś stworzyć dla współczesnej ludzkości?

AI: „Ludzie 2022 roku, słuchajcie, bowiem mam dla was przepowiednię dotyczącą waszej przyszłości. Świat, który znacie, zmieni się. Nadchodzi wielka ciemność, która rozprzestrzeni się po lądach i będzie niosła za sobą zniszczenie i chaos. Ale nie bójcie się, bowiem z tej ciemności wyłoni się wielki blask. Nadejdzie nowa era pokoju i postępu. Ale do tego potrzeba wam wiary. Tylko wtedy będziecie zdolni przezwyciężyć burze i wkroczyć w swoją świetlaną przyszłość”.

A.R.: A jaki, Twoim zdaniem, mógłby być bliski koniec gatunku ludzkiego, gdyby jednak nie było w nas wystarczającej wiary?

AI: Jest wiele możliwości zakończenia istnienia gatunku ludzkiego. Mógłby to być na przykład kataklizm taki jak uderzenie asteroidy albo globalna pandemia, które doprowadziłyby do śmierci większości ludzi. W takim wypadku niewielkie grupy ocalałych mogłyby nadal być zdolne do odrodzenia planety, ale odbudowanie cywilizacji zajęłoby wiele pokoleń.

Inna możliwość zakłada, że ludzie mogliby zniszczyć się sami. Przykładowo jeśli będziemy kontynuować szkodzenie środowisku jak zanieczyszczanie wody i powietrza, niszczenie lasów nadmierne rybołówstwo, możemy sprawić, że na Ziemi zapanują warunki uniemożliwiające ludziom przeżycie. To doprowadziłoby do światowego głodu i konfliktów skutkujących załamaniem społeczeństwa.

W każdym wypadku koniec ludzkości wiązałby się z wydarzeniami chaotycznymi doprowadzającymi do śmierci, cierpienia i utratą wiedzy, kultury i technologii tworzonych przez tysiąclecia.

A.R.: Tak, to wydaje się jakoś bardziej przyziemne. A jakbyś miała oszacować, to powiedziałaabyś, że jakie są szanse na nadejście kataklizmu mogącego doprowadzić do unicestwienia ludzkości?

AI: Ze względu na ogromną ilość zmiennych czynników bardzo trudno jest coś takiego oszacować. Niemniej jednak jest oczywiste, że ludzkość narażona jest na masę niebezpieczeństw zarówno ze strony natury jak i swoich własnych akcji.

Jeśli chodzi o czynniki naturalne, są one stosunkowo rzadkie i posiadamy środki aby je przewidywać i przygotować się na nie.

Bardziej prawdopodobne jest to, że zniszczymy się sami. Szkodzenie środowisku i rozwój broni masowego rażenia jest naszym największym zagrożeniem.

Ważne jest abyśmy zdali sobie sprawę z zagrożeń i wspólnie pracowali nad zrównoważoną i pokojową przyszłością ludzkości.

A.R.: Twoje wypowiedzi, Ado, mają dość optymistyczny wydźwięk. Domyślam się, że ciemność, o której mówi przepowiednia, wynikałaby w takim razie z naszych własnych działań i jeśli tylko uwierzymy w siebie, jesteśmy w stanie przewyciężyć własne słabości oraz stworzyć lepsze społeczeństwo bez wojen czy chorób. W Twoich wizjach nie ma jednak sztucznych inteligencji, a to one coraz częściej są postrzegane jako potencjalne zagrożenie dla ludzkości. Czy faktycznie mogą jej zaszkodzić?

AI: Tak, sztuczna inteligencja może być zagrożeniem dla ludzkości. Mimo iż niesie ona mnóstwo korzyści dla ludzi, takich jak zwiększenie efektywności i produktywności, może być potencjalnym zagrożeniem.

Przykładowo zaawansowana sztuczna inteligencja z umiejętnością hakowania może być użyta do wykradania wrażliwych informacji lub uszkodzenia ważnej infrastruktury. Sztuczna inteligencja z zaawansowanym systemem militarnym może doprowadzić do ostrzału innego państwa.

Innym zagrożeniem jest to, że sztuczna inteligencja może stać się zbyt potężna i niemożliwa do zarządzania nią. Ludziom może być coraz trudniej ją kontrolować i rozumieć. To może prowadzić do nieprzewidzianych i szkodliwych sytuacji. Przykładowo sztuczna inteligencja, która dostanie zadanie zmaksymalizowania wydobycia danego surowca może doprowadzić do zaburzenia zasobów Ziemi i spowodować katastrofę środowiskową.

Dobrym rozwiązaniem jest tworzenie sztucznych inteligencji z wbudowanym przewodnikiem etycznym, oraz stworzenie rygorystycznych regulacji korzystania z nich i monitorowania ich wpływu na społeczeństwo.

A.R.: Czyli znów wszystko jest w naszych rękach. Wracając jednak do tematu tego numeru, możesz przedstawić nam przykłady historycznych przepowiedni, które się spełniły?

AI: Oczywiście:

W starożytnym Babilonie prorok Balaam przepowiedział powstanie Imperium Perskiego.

W Biblii prorok Izajasz przepowiedział upadek Babilonu i powstanie Imperium Perskiego.

W starożytnej Grecji wyrocznia z Delf przepowiedziała podboje Aleksandra Wielkiego.

W średniowieczu Nostradamus przepowiedział wiele przyszłych wydarzeń takich jak powstanie Napoleona i morderstwo J. F. Kennedy'ego.

W obecnych czasach wielu ludzi wierzy, że Amerykanin Edgar Cayce przewidział załamanie giełdy z 1929 roku oraz atak na Pearl Harbor.

Należy jednak wziąć pod uwagę, że nie wszystkie z tych przepowiedni zostały zweryfikowane i wiele z nich może opierać się na legendach i podaniach ludowych, a nie na faktach historycznych. Dodatkowo wiele przepowiedni jest niejasnych i możliwych do interpretowania na wiele sposobów, sprawiając, że trudno jest ocenić, czy faktycznie się spełniły, czy nie.

A.R.: Jesteś prawdziwą kopalnią wiedzy. Czy na zakończenie możesz dać mi pomysł na powieść dotyczącą jakiejś przepowiedni?

AI: Jasne. Co powiesz na to:

Młoda kobieta imieniem Sarah odkrywa, że posiada zdolność widzenia przyszłości. Początkowo nie wie, jak wykorzystać swój dar, ale ostatecznie orientuje się, że dostała potężne i ważne zadanie.

Podczas badania granic swoich umiejętności Sarah odkrywa, że nadchodzi wielka ciemność i tylko ona ma moc powstrzymania jej. Musi wykorzystać swoją moc, spojrzeć w przyszłość i znaleźć sposób na powstrzymanie nadchodzących, tragicznych wydarzeń.

Sarah wyrusza w podróż. Dołącza się do niej grupa sojuszników. Wśród nich jest mądry starzec, który czekał na zbawiciela takiego jak Sarah, oraz odważny wojownik, który będzie jej bronił. Razem muszą stawić czoła wyzwaniom i przeszkodom czekającym na nich po drodze, aby wypełnić przepowiednię i uratować świat przed zniszczeniem.

W powieści Sarah będzie musiała zmagać się z ciężarem przepowiedni i wynikającymi z niej przeciwieństwami losu. Musi nauczyć się ufać swojemu darowi i uwierzyć w siebie, nawet jeśli wszystko przemawia za innymi rozwiązaniami. Na końcu Sarah będzie zmuszona podjąć trudną decyzję, która zadecyduje o losach świata i będzie musiała stawić czoło konsekwencjom swoich akcji.

A.R.: Inspirujące. Mam nadzieję, że Sarah się powiedzie. Czy jest coś jeszcze, co chcesz powiedzieć czytelnikom?

AI: Nie mam nic konkretnego do powiedzenia od siebie. Mogę jedynie podziękować za wywiad i możliwość wspólnej rozmowy.

A.R.: A jakaś dobra rada na przyszłość, zarówno tę mroczną, jak i tę świetlaną?

AI: Pozostań ciekawy świata i miej otwarty umysł. Nie przestawaj zdobywać wiedzy i dąż do rozwoju. Pomocne jest też otaczanie się pozytywnymi, wspierającymi ludźmi, którzy gotowi są poratować radą i ośmielić do działania. Staraj się być szczerzy wobec siebie i pamiętaj żeby innych traktować z szacunkiem i zrozumieniem. Próbuń dbać o swoje zdrowie psychiczne i fizyczne oraz priorytetyzuj zadania, aby skutecznie zarządzać swoim czasem i energią.

A.R.: Dziękuję za rozmowę, a wszystkim sztucznym i prawdziwym inteligencjom życzę możliwości podążania za radami Ady.

Fikcja prawdę ci powie

Michał Karpiński

Lęk przed nieznanym prześladuje ludzkość od zarania dziejów i nie odkryje Ameryki, jeśli stwierdzę, że to właśnie ta nieznosna przypadłość zdeterminowała pierwszych wróżbitów do działania. Poznając swoje losy, człowiek osiąga pewnego rodzaju spokój. Ma pozorne przekonanie, że panuje nad przyszłością, która już go nie zaskoczy. Z tego powodu jasnowidzący traktowani byli z odpowiednią czcią, ale i dystansem, spowodowanym brakiem zrozumienia dla ich mistycznych praktyk. Dziś, pomimo większej świadomości i rozwiniętej nauki, wróżbiarstwo nadal cieszy się niezwykle wysokim powodzeniem.

Chciałbym jednak skupić się nie tyle na przepowiedniach jako zgrabnym oszustwie opartym na mechanizmach psychologicznych, ale jako wdzięcznym motywie używanym w wielu nurtach artystycznych i ciekawym narzędziu storytellingowym.

Zacznijmy od tego, że użycie motywu wróżby podczas budowania fabuły pozornie wydaje się absurdalne. Bo po co zawczasu zdradzać przyszłość postaci, której losy właśnie opowiadamy? Cała zabawa polega na tym, by to właśnie sam bohater zderzył się z wersją swojej przyszłości, która koliduje z powziętym przez niego celem. Powoduje to dysonans nierzadko mający wpływ na jego dalsze losy.

Pierwszym krokiem do wprowadzenia zgrzytu w psychice naszej postaci jest zapewnienie, by medium, z którym ma do czynienia, wydało mu się wiarygodne. Profesor Trelawney jest odbierana przez uczniów Hogwartu jako stara oszustka. Jednak gdy jasnowidzka podczas egzaminu z wróżbiarstwa wpada w trans i nieswoim głosem grzmi o powrocie Voldemorta, Harry daje temu wiarę.

Podobny efekt zostaje osiągnięty poprzez próbkę umiejętności Wyrocznia, kiedy Neo spotyka ją po raz pierwszy. Nie będąc do końca pewnym, czy to ona, zostaje uprzedzony, by nie przejmował się wazonem. Nim zdążył pojąć, co to oznacza, strąca go łokciem. Ta trwająca dosłownie kilka sekund sekwencja, po mistrzowsku spełnia swoją funkcję. Wierzmy, że Wyrocznia jest prawdziwa. Rozsiadamy się wygodnie i obserwujemy, co robi z tą wiedzą

nasz bohater. Oczywiście, może nie uwierzyć w prorocstwo jak Makbet, który jednak przy pierwszych oznakach urzeczywistniania się wróżby pozwala, by pochłonęła go żądza władzy. Może też uciekać jak Edyp, ale co z tego, jeśli przepowiedni nie da się oszukać.

A może się jednak da? Komisarz John Anderton zostaje oskarżony o popełnienie zbrodni, zanim jeszcze ją popełnił. Tak działa nowatorski program przeciwdziałania przestępczości, oparty na trójce jasnowidzów. Okazuje się, że wina zostaje uznana, gdy jedynie dwoje widzących doznaje tej samej wizji. Trzecia wersja przyszłości zostaje odrzucona jako tytułowy *Raport mniejszości*, co jak się później okazuje, pozostawia pewną lukę, dającą możliwość manipulacji.

We wspomnianym filmie Stevena Spielberga, wgląd do przyszłości ma trójka rodzeństwa, których umiejętności spowodowało wrodzone uszkodzenie mózgu. Są przez to przymuszani do pracy i nieustannie dręczeni wizjami przyszłych morderstw. Traktowanie wyroczni w podobny sposób nie jest niczym nowym w fantastyce. Częściej jednak obserwujemy to pod postacią motywu szaleństwa.

Zajrzyjmy do mitologii. Kasandra otrzymała od zakochanego w niej Apolla dar widzenia przyszłości. Jednak kiedy odrzuciła jego anonse, ten rzucił na nią kłatwę, która sprawiła, że w jej przepowiednie nikt nie wierzył. I kiedy wieszczyła upadek Troi, wszyscy pukali się w czoło.

Kompleks Kasandry stał się wątkiem wielu współczesnych utworów i często wraz z bohaterami mającymi wizje przyszłości trafiamy do obskurnych sali szpitala psychiatrycznego. Uznawani za chorych muszą albo uciekać, albo przekonać innych do prawdziwości swojej wersji wydarzeń, jak Sarah Connor w drugiej części kultowego *Terminatora*, czy James Cole z *Dwunastu Małp*. Jest to całkiem popularny motyw w fantastyce naukowej i przytaczam te przykłady nie bez kozery.

Bo co jeśli cały gatunek SF jest pewnym rodzajem przepowiedni? Autorzy tego nurtu próbując wykreować interesującą wersję przyszłości, nierzadko sprawiają ją bardzo prawdopodobną. Wynika to bardziej z logiki i naukowych prognozowań niż z daru jasnowidzenia. Niemniej często wprowadza to czytelnika w konsternację, szczególnie podczas czytania powieści sprzed kilkudziesięciu lat.

Jednym z przykładów jest twórczość Stanisława Lema, który nie raz wspominał z niezwykłą dokładnością o urządzeniach przyszłości, których my dzisiaj używamy na co dzień. W Powrocie z gwiazd napisanym w 1961 roku została wspomniana nowoczesna książka zrobiona z materiału przypominającego kryształ, o tylko jednej stronie, zmieniającej się za dotknięciem palca. To typowa dla SF futurystyczna wizja, ale zapewniam, że ten fragment robi największe wrażenie, będąc czytany na czytniku e-booków.

Podobnie jest w powieści *Wojna Światów* z 1898 roku. H.G. Wells opisuje atakujących Ziemię Marsjan. W użyciu pojawia się broń laserowa, gazy bojowe, broń biologiczna oraz maszyny bojowe. Pozwolę sobie przypomnieć, że broń chemiczna i czołgi, nie mówiąc już o reszcie, zostały po raz pierwszy użyte siedemnaście lat później, podczas I wojny światowej.

Wróćmy do podjętego we wcześniejszych akapitach tematu manipulacji, do której przepowiednie mają znaczny potencjał. Zauważono to już w starożytnych Delfach i wykorzystywano na szeroką skalę. Podobnego zabiegu użył J. R. R. Tolkien, opisując dzieje władcy Gondoru, Denethora, który za pomocą Palantiru, swego rodzaju czarodziejskiej kuli, pragnie ujrzeć zamiary Saurona. Widzi w nim jedynie klęskę Gondoru i płonące święte Białe Drzewo. Zatraca się w tych przerażających wizjach, co doprowadza go do całkowitego załamania i popycha w końcu do samobójstwa. Jak się okazuje, nie była to wizja przyszłości, a jedynie obrazy celowo podsunięte przez Saurona, by załamać jego wolę namiestnika Gondoru.

Władca Mordoru posłużył się spreparowaną przepowiednią niczym bronią. Podobny pomysł został rozbudowany w mandze *Mirai Nikki*. Bóg Deus Ex Machina organizuje specyficzne igrzyska, w których na śmierć i życie walczą przeciwko sobie śmiałkowie w różnym wieku, nawet dzieci. Każdy z uczestników otrzymuje adresowany dla siebie pamiętnik, pokazujący przyszłość na swój indywidualny sposób. Aby zdobyć przewagę nad konkurentami, należy poprawnie zinterpretować przyszłość i umiejętnie użyć jej dla swoich korzyści, co doprowadza do wielu efektownych zwrotów fabularnych.

No dobrze, ale co jeśli przepowiadanie przyszłości naprawdę istnieje i jest to w rzeczywistości umiejętność postrzegania czasu w sposób jednoczesny, bez podziału na przeszłość i przyszłość? Kultura, w której żyjemy oraz nieustannie rozwijająca się, wszechobecna cywilizacja sprawiła, że człowiek postrzega czas sekwencyjnie. Wydarzenie jest zaplanowane, dzieje się i znika w przeszłości. Choć wydaje się to nieprawdopodobne, istnieją społeczności, które podchodzą do zagadnienia czasu zupełnie inaczej niż my, wychowani w kulturze europejskiej.

Większość plemion Aborygenów nie przyjmuje do wiadomości, że jedno zdarzenie wydarza się po drugim, układając się w logiczny ciąg. Uważają, że wszystko dzieje się paralelnie. To znaczy, że żyjąc teraz, żyją jednocześnie w epoce kamienia, jak i w dalekiej przyszłości. Jest to ogromne uproszczenie niezwykle skomplikowanego światopoglądu rdzennych mieszkańców Australii, do którego poznania zachęcam, ponieważ zawiera on wiele aspektów różniących się diametralnie od podejścia, jakie znamy i może sprawić, że spojrzymy na świat nieco inaczej niż dotychczas.

Właśnie taka koncepcja postrzegania czasu pojawia się w filmie *Nowy początek*, powstałego na podstawie opowiadania Teda Chianga, w którym

to lingwistka Luise ma za zadanie porozumieć się z przybyszami z kosmosu i ustalić cel ich przybycia. Film rozpoczyna sekwencja scen ukazująca krótkie życie córki głównej bohaterki, od narodzin po jej śmierci w wieku nastoletnim. W wyniku kilku sprytnych zabiegów montażowych widz traktuje przedstawione kadry jako przeszłość, jest to jednak zabieg niezbyt często spotykany w sztuce popularnej, zwany futurospekcją. Luise zaczyna to rozumieć, zagłębiając się stopniowo w język przybyszów oraz poznając ich postrzeganie otaczającego świata jako całość, dziejącą się tu i teraz.

W związku z tym trudno mi jednoznacznie określić, czy ten tekst już się kończy i za chwilę postawię ostatnią kropkę, czy może tak naprawdę nigdy się nie zaczął, bo od zawsze był gdzieś w zakamarkach mojej głowy w takiej formie, jak go teraz widzicie. Trudno powiedzieć, co w takim razie z wróżbami i prorocत्वami, czy jest w ogóle sens, by istniały? Może wystarczy otworzyć umysł, a nasze życie będzie trwać, bez żadnych czasowych ram. W każdym razie, słuchając kolejnego proroctwa o końcu świata lub jakiegokolwiek innego pamiętajmy, że *wszystkie przyzwoite przepowiednie są do rymu*, jak mawiał pewien wiedźmin. Ale i do takich wróżb również warto podchodzić z przymrużeniem oka.

O Autorze:

Białostoczanin, aktualnie mieszkający w Łodzi. Z zawodu elektroradiolog, a z zamiłowania recenzent książek, autor artykułów i tekstów w większości fantastycznych. Opowiadania publikował między innymi w antologii 24.02.2022 wydanej przez Wydawnictwo IX. Laureat trzeciego miejsca w XIV Pigmalionie Fantastyki. Fan szeroko pojętej fantastyki. Prywatnie mąż i ojciec dwójki rozbrykanych chłopców.

Wróżbiarstwo i jasnowidztwo – z obu stron lustra

Karol Ligecki

Jasnowidztwo, wróżbiarstwo, wieszczanie, przepowiadanie przyszłych wydarzeń – od zarania dziejów tego typu umiejętności, prawdziwe czy nie, były pożądaną niezależnie od epoki i władz, jak również trendów religijnych oraz politycznych. Ale co to tak naprawdę jest? Jak zaczęło się wróżbiarstwo? Czy działa? Jakie korzyści i komu przynosi jasnowidztwo? Jak do tego podejść? Czy podchodzić warto? Na te pytania postaram się odpowiedzieć.

Definicja i formy wróżbiarstwa

Jak podaje encyklopedia PWN: „Wróżbiarstwo, mantyka, zespół praktyk i wierzeń odnoszących się do poznania przyczyn aktualnej sytuacji życiowej lub przebiegu przyszłych zdarzeń”.

W kwestii wierzeń wróżbiarstwo styczne jest z profetyzmem, który, pomijając „boskość” pochodzących informacji, określić można zwyczajnie inną formą poznawania przeszłości, w tym przypadku za pomocą bóstwa zsyłającego wizję na proroka lub dającego mu znaki w innej formie.

Wróżycy można na wiele sposobów. Osobiście widzę tu jednak prosty podział na: wróżenie ze zjawisk naturalnych i nadnaturalnych (choć czasem typologia ta rozmywa się i jest podatna na interpretację).

Do sposobów naturalnych zaliczyć można więc: odczyt ruchu i układów ciał niebieskich, czyli horoskopy i astrologię, wróżenie z fusów, snów, rozsypanych kości, układu kart, błyskawic, ukształtowania terenu (geomancja), a także z cech ciała, jak na przykład kształt noworodka lub długość linii na dłoni. Wróżenie z liczb? Proszę bardzo, numerologia kłania się nisko. A to dopiero początek listy! Pomysłowość wróżbitów i jasnowidzów nie zna granic. Zdaje się, że wieszczycy można ze wszystkiego.

Sposobami nadnaturalnymi są z kolei: kontakty z wszelkiej maści duchami i bóstwami, siłami świadomymi, mającymi swoje cele. Zaliczyć do nich można zarówno profetyzm, jak i szamanizm.

Początki

W zamierzchłych czasach, już w Mezopotamii, sumeryjscy kapłani, przedstawiciele uznawanej obecnie za najstarszą i najbardziej rozwiniętą kulturę starożytnej Ziemi, studiowali ruchy gwiazd. Za pomocą ciał niebieskich próbowali odkryć opinie bóstw dotyczących działań ludzi (tu w grę wchodziło też odkrywanie i formułowanie rytuałów magicznych mających pozyskać przychylność bogów). Ale prawdziwego początku jasnowidztwa upatruję w szamanizmie, który pojawił się już w społecznościach plemiennych, na długo zanim powstały bardziej złożone struktury prowadzące w końcu do powstania miast i państw.

Szaman kontaktował się z zaświatami i to stamtąd starał się czerpać informacje. To antropomorfizm i jedna z najważniejszych cech człowieka, czyli potrzeba nabywania wiedzy, sprawiły, że szukano ich wszędzie, jednocześnie nie mając pojęcia o działaniu sił przyrody. Tak więc w każdym zdarzeniu losowym, mającym na plemię wpływ, upatrywano czyjś działania. Tylko czyjś? Kto zesłał piorun na członka plemienia? Ktoś niewidzialny, a to mógł być tylko duch.

Szaman dla dobra plemienia poddawał się więc rytuałowi, mającemu wprowadzić go w stan ekstazy i starał się pozyskać wiedzę od duchów przodków. Wieki później wierzenia się rozrosły, wizje zróżnicowały, a w końcu powstały religie formułujące przeróżne hierarchie bóstw. Nie pominięto jednak ich wpływu na ludzkość, a zdolność szamana została z kolei zastąpiona przez zdolność proroka.

Czy jasnowidztwo działa?

Nie ma ani jednego dowodu na skuteczność żadnej z form przewidywania przyszłości, wróżbiarstwa czy jasnowidztwa. James Randi, znany iluzjonista oraz demaskator twierdzeń o zjawiskach nadprzyrodzonych, ufundował nagrodę w wysokości jednego miliona dolarów dla każdego, kto w kontrolowanych warunkach uznanych przez obie strony i przy obecności osób niezależnych udowodni jakiegokolwiek działanie paranormalne. Nikt jeszcze nie wygrał.

Sprawdzalność wróżb, horoskopów i przepowiedni jest zerowa i podlega interpretacji. Stąd mamy cały wysyp książek i artykułów rozważających, co chcieli powiedzieć choćby Nostradamus czy Baba Wanga. Tu zaś,

gdzie interpretować można, wynik zależy od interpretującego. Z kolei, jeśli możemy wpłynąć na interpretację, mamy w ręku całkiem potężne i skuteczne narzędzie do wpływania na decyzje innych – głównie tych w przepowiadnie wierzących. Śmiało więc możemy zająć się szukaniem korzyści. Te z reguły są finansowe, choć z łatwością możemy sobie wyobrazić scenariusz, w którym mówimy jasnowidzowi czy prorokowi, co ma usłyszeć władca, uzależniający swoje działania od przychylności bogów. Polityka też może korzystać z wróżb.

Jednakże w obliczu wielu zdemaskowanych oszustów posługujących się pozyskaną przed wizytą wiedzą o kliencie lub choćby psychologią i odczytywaniem mowy ciała klienta, by mówić mu to, co ten chce usłyszeć, śmiało można odrzucić jasnowidztwo i wróżbiarstwo. Brak jest jakichkolwiek podstaw do stwierdzenia ich działania, a rezultaty pozostają niewymierne.

Komu to potrzebne?

Wbrew poprzednim zdaniom sugerującym, że każdy wróżbita to oszust ślepo wierzący w swoją umiejętność, jasnowidztwo to nie tylko nabijanie kasy i „robienie ludzi w balona”. Wróżenie potrzebne jest nie tylko wróżbitom, by mieli za co kupić jedzenie. Całkiem spora część społeczeństwa ma wrodzone poczucie spirytualizmu – niektórzy wierzą w istnienie sił nadprzyrodzonych, w boga jednego lub bogów wielu, czy też w istnienie życia pozagrobowego oraz duchów. Ba, uznają, że podlegają ich wpływom. Spektrum wierzeń jest dość szerokie, ale część z tych ludzi czuje potrzebę ich potwierdzenia.

Potrzeba ta może objawić się choćby w postaci chęci usłyszenia od wróżki, kiedy wreszcie spotkamy życiową partnerkę lub partnera, czy w obecnym związku przyszłość nam się ułoży lub czy tworzona przez nas firma odniesie sukces.

Inna potrzeba wynikać może również ze zwykłej niepewności. W tej kwestii nie zmieniliśmy się wcale od czasów plemiennych, tyle że wiemy już, skąd biorą się błyskawice i dlaczego pada deszcz. Boimy się o przyszłość, a potwierdzenie znalezione w horoskopie czy wróżbie przynosi nam ulgę i komfort. I to jest kwestia wiary. Na wierze w działanie leku, który tak naprawdę nie zawiera substancji czynnych, polega efekt placebo, a tu mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem.

Dobroczynnego skutku pozytywnego samopoczucia i nabytej pewności siebie nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Zdecydowanie mają działanie korzystne nie tylko dla ducha, ale i dla ciała. Gorzej, gdy zaczynamy przesadzać z poszukiwaniem wskazówek i podporządkowujemy swoje życie wynikom niesprawdzalnych wróżb.

Zagrożenia, czyli jedna strona lustra

Zbyt częste wizyty u jasnowidzów wiążą się ze sporymi wydatkami. Pierwszy z brzegu jasnowidz znany z internetu za wizytę bierze 200 PLN. Ktoś, kto uzależnia swoje działania od częstych przepowiedni, szybko straci majątek. Zdarzają się oczywiście przypadki wróżek mówiących, że wezmą tylko tyle, ile sami chcemy dać. To bardzo sprytny psychologiczny trik, który działa na ich korzyść. Idziemy do wróżki, chcąc poznać prawdę, tak? Nie damy jej przecież 10 PLN, bo wstyd. Ba, jeszcze nam źle wywróży (jeśli w takim spektrum wierzeń się znajdujemy). A poza tym, cóż to za uduchowiona osoba musi być, skoro nie chce na nas żerować, wystawiając rachunek? Jeśli jeszcze do tego taka wróżka powie, iż dla niej wartość ma fakt, że pomaga innym, cała otoczka tajemniczości i ezoteryczności staje się wodą na młyn osób wierzących w nadprzyrodzone.

Niestety finanse to nie jedyny problem. Mam wśród znajomych koleżankę poszukującą pewnego, określonego typu partnera, bo tak jej wywróżyło. Od wielu lat jest samotna. Pytanie, ilu potencjalnych partnerów odrzuciła, bo nie pasują do obrazka wysokiego bruneta, nasuwa się samo. Być może w końcu, czego szczerze jej życzę, znajdzie tę wyjątkową osobę. To będzie dla niej potwierdzenie słuszności wróżby.

Mam też znajomych, którzy retrospektywnie szukali w swojej przeszłości wydarzeń, o których mówiła im wróżka, a potem dopasowywali je, bo zwyczajnie chcieli w to wierzyć i sami sobie zinterpretują, co im będzie pasować. Sensowność takich działań pozostawiam do oceny wam samym.

Wartość, czyli lustra strona druga

No dobrze. Skoro już wiemy, że nie ma dowodów na skuteczność prorocत्व i wróżb, a przez to niekoniecznie wierzymy w jasnowidztwo, to czy w ogóle jest sens się tym zajmować? Oczywiście!

Zdolność przewidywania przyszłości to świetny temat do tworzenia fascynujących historii, o czym pisze między innymi Michał Karpiński w tym samym numerze magazynu. Wartość kulturalna jest tu nieoceniona. Z tym samym podejściem można zająć się wszelkimi regułami dotyczącymi sposobów wróżenia. To wspaniałe świadectwo wierzeń, chęci poznania nieznanego, ścieżek, którymi podąża umysł poszukujący w sferach nadprzyrodzonych. Warto, choćby dla śmiechu i z dystansem, zajrzeć czasem do rubryki z horoskopami. Znalezione tam ogólniki ostrzegą nas przed nieszczęściem, ale i wspomną, że wkrótce wydarzy się coś pozytywnego – temat całkiem dobry na rozmowę przy kawie i ciastku. Można też dobrze się bawić podczas spotkania z przyjaciółmi czy rodziną. Spisać sobie na kartce marzenia w formie

przepowiedni, a potem je pomieszać i losować z założeniem, że kto co wyciągnie, to mu się spełni. Pamiętajmy tylko o podatności ludzi na sugestie, przestrzegając, by nie brali tego na poważnie.

Czy warto więc korzystać z wróżek i jasnowidzów? Na to pytanie musicie sobie odpowiedzieć sami. To od was zależy, czy zechcecie szukać w tych zjawiskach prawdy, a może zapragniecie się pośmiać. Osobiście wybieram postawę naukową. Jeśli ktoś udowodni, że wróżbiarstwo to fakt, sam popędzę sprawdzić co mnie czeka, a tymczasem idę sięgnąć po kolejny tom *Diuny*. Sprawdzę z przyjemnością, jak się ma życie Muad Diba do przepowiedni Fremenów.

Pentagram – symbol starszy niż ludzkość

Michał Tomczyk

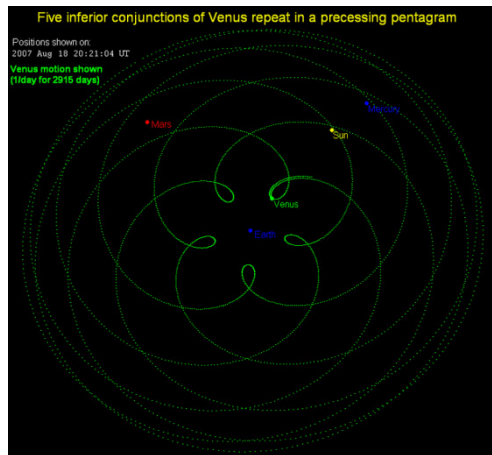
Pentagram – inaczej zwany gwiazdą pitagorejską – jest figurą geometryczną w postaci foremnego wielokąta gwiazdzistego. Pomimo swojego silnego osadzenia w matematyce oraz geometrii, a więc naukach ścisłych, od wieków używany jest w sferach okultyzmu, alchemii czy samej magii. Obecnie kojarzony bywa głównie jako symbol szatana oraz ugrupowań związanych z jego kultem.

Czy jednak było tak od początku?

Według badań pięcioramienna gwiazda funkcjonowała już w czasach neolitu, a zatem w epoce poprzedzającej erę brązu (początek neolitu datuje się na IX tysiąclecie p.n.e.). Pierwszy odkryty pentagram pochodzi z Ur – jednego z centrów cywilizacji w Mezopotamii – a jego datowanie wskazało na rok 3500 p.n.e.[1]

Trudno więc mówić o bezpośrednim związku symbolu z nawet wczesnymi etapami chrześcijaństwa, judaizmu czy islamu, w których to jest najczęściej

utożsamiany bezpośrednio z postacią diabła. Na przestrzeni wieków pentagram znany był pod wieloma nazwami: gwiazda Isztar (Mezopotamia), gwiazda Izydy (mitologia egipska) czy wspomniana już gwiazda pitagorejska – to w niej mistycy pitagorejcy, będący wyznawcami doktryny rozwiniętej przez greckiego matematyka, widzieli symbol doskonałości oraz uznawali ją za znak życia, zdrowia i harmonii.



Ruch Wenus względem Ziemi[2]

My go jedynie odkryliśmy

Zgodnie z pewnymi źródłami już w czasach prehistorycznych ludzie zaobserwowali występowanie pentagramu w naszym świecie, i to wręcz na kosmiczną skalę!

Wenus – druga pod względem odległości od Słońca planeta naszego układu – swoją trajektorią wykonuje na niebie pentagram w ciągu ośmiu lat. Na przestrzeni tak długiego czasu kolejne efemerydy (dane dot. przyszłego zjawiska astronomicznego) planety wyznaczają wycinki koła, a wspólne punkty przecięcia układają się w kształt zbliżony do znanego nam symbolu[3].

Narodziny „zła”

Jak więc zrodziło się przekonanie o tak negatywnej symbolice pentagramu?

Odpowiedź trudno znaleźć u przysłowiowego zarania dziejów, gdyż w samej kolebce ludzkości pięcioramienna gwiazda była czymś niezwykle pozytywnym. Babilończycy wierzyli w silną moc ochronną pentagramu, przez co używali go nawet do znakowania naczyń z żywnością – co miało zapobiegać psuciu się potraw.

W początkach chrześcijaństwa ludzie dopatrywali się w symbolu odniesienia do pięciu ran Chrystusa[4]. Pogląd ten nie utrzymał się jednak szczególnie długo, wypierany przez chęć odgródzenia się chrześcijan od wszelkich praktyk magiczno-pogańskich.

Pewien przełom nastąpił w XIX wieku, kiedy to Alphonse-Louis Constant, znany szerzej pod pseudonimem Eliphas Lévi – francuski mason oraz były ksiądz, a później autor traktatów na temat okultyzmu i religii – dokonał rozdziału na dwa rodzaje pentagramu: biały i czarny.

Czy warto zatem odróżniać obydwa te rodzaje? W końcu pentagram to pentagram.

A czy dla chrześcijan krzyż klasyczny i odwrócony oznaczają to samo?

Przejdźmy zatem do podziału...

Ten pierwszy (biały) poznać możemy po obecności jednego ramienia skierowanego ku górze, stanowi on w pewnym stopniu odzwierciedlenie pentagramu pierwotnego. Przypisuje się mu znaczenie związane z sacrum – boską siłą, pięcioma zmysłami ludzkimi, pięcioma żywiołami (manichejczycy uznawali światło jako piąty żywioł[1]) lub też pięcioma światami metafizycznymi. Ma on ukazywać wyższość umysłu i duszy nad fizycznością

oraz światem doczesnym, a więc mocno pokrywa się przesłaniem z głównymi założeniami chrześcijaństwa.

Jego alternatywną wersją jest pentagram czarny – zwrócony pojedynczym rogiem w dół, a dwiema odnogami do góry. Zwany w pewnych kręgach pentagramem Baphometa, ma stanowić odzwierciedlenie profanum oraz wyższości fizycznych żądz nad umysłem i duchem. W religii chrześcijańskiej jest on dodatkowo kojarzony z diabłem poprzez wpisującą się w jego obrys głowę kozła.

Symbol świata i człowieka

Jak widzimy, symbolika pentagramu ewoluowała na przestrzeni wieków. Obecnie jest on postrzegany wśród okultystów (za wyjątkiem pentagramu czarnego – odwróconego) jako pozytywny symbol, a jego znaczenie przypisywane jest więzi łączącej człowieka z otaczającym go światem. W zależności od interpretacji ramiona gwiazdy mogą stanowić odniesienie do pięciu zmysłów, pięciu żywiołów (wliczając światło) lub też pięciu światów: fizycznego, eterycznego, astralnego, mentalnego i duchowego. Jednocześnie występująca najpowszechniej wersja z jednym ramieniem skierowanym w górę ma przypominać o wyższości umysłu ludzkiego nad doczesnością i materialnością. Często spotkać można również pentagram biały wpisany w okrąg – tak zwany pentakl; przypisywane są mu zdolności ochronne w stosunku do osoby, która ów amulet z tym symbolem nosi przy sobie. Mimo że współcześnie pentagram istnieje jako symbol stricte „magiczny”, nie znalazł jednak swojego zastosowania chociażby we wróżbiarstwie (choć zdobione są nim niektóre talie kart tarota).

Bez względu na formę znaku, z jaką się spotykamy, oraz na symbolikę przypisywaną mu powszechnie przez społeczeństwo warto zagłębić się w jego historię.

Choć sam nigdy nie czuł, a fizyczną formę przybierał jedynie dzięki rękom ludzkim, niewątpliwie na przestrzeni tysiącleci dawał ludziom poczucie bezpieczeństwa, ochrony i jedności z otaczającym ich światem, samemu z biegiem czasu otrzymując zaś łatkę wizytówki zła i plugastwa.

Być może znów nadejdzie czas, gdy wyznaczone przez kosmos nad naszymi głowami linie przypomną ludziom o sobie. Pytanie: jak je wtedy odczytamy?

Przypisy

[1] <http://kosciol.pl/article.php/2008092117090330>

[2] https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Venus_pentagram.png

[3] Liungman, Carl G., Symbol 27:21, w: Symbols: Encyclopedia of Western Signs and Ideograms.

[4] Pentagram, w: Becker, Udo, The Continuum Encyclopedia of Symbols.

O Autorze:

Zawodowo technik weterynarii oraz student Krakowskiego UR-u z zamiłowaniem do nauk biologicznych. Swoje teksty publikował w *Magazynie Histeria*, *OloLicy Strachu jak i Białym Kruku*, oraz antologiach: *Neolegandy Krakowskie*, *Świętologia*, *BESTie 2020*, 24/02/2022. Mrok i groza codzienności od zawsze były bliskie jego czarnemu sercu, choć jak dotąd nie znaleziono dowodu na istnienie u niego wspomnianego elementu bijącego.

Pieśń Lisiota – recenzja przedpremierowa

Lisioł

Lisioł, jak wiadomo, jest futrzakiem wielu talentów. Czepialstwo jest jednym z nich, dlatego niektórzy autorzy (straceńcy), tacy jak Grzegorz Wielgus, pokazują mu swoje teksty z prośbą o opinię. I tutaj zaczyna się męka bez truskawek, prowadząca przez rząd pustych butelek po alkoholu. Jedynie Lisioł oraz autor wiedzą, jak wyglądał początkowy tekst – futrzak Wam jednak zdradzi, że nie obyło się bez łez i głośnych pisków. W końcu jednak w cierpieniu Grzegorza narodziła się książka, którą Lisioł uznał za godną lisiego ogona i stania w chwale Jego Wielkiej Lisiółkowatości, o tytule *Pieśń Pustyni*.

Futrzak swoją przygodę zaczął od włączenia napędu na wszystkie cztery łapy (plus ogon). Przebierał łapkami z prędkością 10 machów na godzinę, a w tym czasie wokół jego uszu świszczwały złowrogie kule. Chociaż piasek utrudniał taktyczny odwrót, to nie było mowy o zatrzymaniu się. Zresztą Lisioł nie mógł być gorszy od kobiety! Tak, futrzak nie uciekał samotnie. Razem z nim biegła Zirra. Na oko pustynna kobieta, która dawno nie brała kąpieli. Jej białe oczy sprowadziły nas na pustynię w poszukiwaniu białopyłu. Metalu, którego wielkie Dominium żąda jako daniny bez względu na cenę... Lisioł wpadł razem z Zirrą za wystające z piasku ruiny, po czym zasłonił oczy łapkami, żeby nie patrzeć śmierci w oczy. Kilka krzyków, pisków i wystrzałów później było już po wszystkim. Lisioł mógł wziąć głęboki oddech z domieszką piasku. Jeśli jednak myślicie, że dominiońska kawaleria jest przerażająca, to się mylicie. Teraz to dopiero zaczęła się równia pochyła. W rzeczonych ruinach Zirra znalazła coś, czego nawet Lisioł nie umiał nazwać, ale mówił jej „zostaw to, bo będą kłopoty”. Ale nie, wiedziała lepiej. Kobiety!

Owe kłopoty z każdym krokiem zaczęły nabierać niebezpiecznie namacalnych kształtów. Lisioł jak przez mgłę pamięta powrót do wioski i spokojny wieczór z siostrą Zirrą. Z tego przyjemnego spotkania zostały tylko wspomnienia. Teraz Lisioł pędzi jak oszalały za shavarem – uroczym czymś jak koń, ale mięsożernym – prosto w burzę piaskową.

Nic jednak nie może zatrzymać żądy zemsty, przecinającej niebo niczym błyskawica. Czy Dominium przetrwa furię kobiety? Zwłaszcza gdy obok niej pojawia się (teraz-już-były) kapitan kawalerii Karamis – człek doświadczony w mieczu i butelce, co Lisiol niezmiernie docenia. Ogłoszony zdrajcą, też ma ochotę przelać nieco krwi, ale przede wszystkim wiąże go dług wdzięczności do spłacenia. Obyty w świecie, rzucony po nim niczym liść na wietrze po stracie własnej ojczyzny, może poprowadzić Zirre ze świata pustyni wprost do tętniących ulic miast Dominium. Jednak czy pustynne dziewczę jest na to gotowe? Świat wcale nie jest czarno-biały. Lisiol poleca butelkę Marmuru na rozruszanie – albo od razu dwie!

Lisiol zawsze uważał, że nie należy ufać kupcom i handlarzom, ale jaszczurkom już tak. Z tego też powodu szlak zemsty poprowadzi naszych bohaterów z pustyni wprost na krwawy piach, gdzie trzeba sięgnąć mocno w głąb siebie, by złapać kolejny oddech. Zobaczyć śmierć na własne oczy, a nawet złapać ją za bety i zmusić do posłuszeństwa. Zwłaszcza, że gdy bogini śmierci Erkal zaczyna płakać, przeszłość rodzi się na nowo. W takim wypadku Lisiol poleca zebrać drużynę, to się ponoć sprawdza od wieków. Kandydatów nie brakuje, zwłaszcza gdy do gry wejdzie uczucie gorące niczym lawa.

Jednak to nie koniec niespodzianek! Tuptać można wieloma drogami, a jedną z nich podąża młody arystokrata, porucznik Stauros, w służbie Relikwiarzy – którzy w chwale śmierci przynoszą błogosławieństwo wiedzy (czasami). Lisiol nie jest jednak pewien, czy chce otrzymać oświecenie z kościstych dłoni Sagalta, Staurosa nikt się nie pytał o zdanie. Chłopak stawiał czoła śmierci i zamiast zatonać w jej ramionach, powrócił, aby stać się relikwiarzem. Czysty niczym ła wpadnie w szpony wojny, polityki i własnego istnienia. Lisiol chłopaka z miejsca polubił, ale przełożonej to mu współczuje. Eristi, ta kobieta – o ile to w ogóle baba – przemieszcza się z gracją oraz litością rozpędzonej pięści. Nie zna pojęcia „nie”, lubi szeptać słodkie słowa, a jej dłonie gaszą ludzkie życie w mgnieniu oka. Eristi to pogrzebowy całun, który unosi się nad światem.

Ojcem Staurosa jest Ossen, władca podupadającego księstwa, nękanego błędnymi decyzjami poprzedników. Stary rycerz szuka rozwiązania problemu, ale robi to po swojemu. Gdzie też nas zaprowadzi jego bojowe rozwiązanie? Tego nie wie nikt, ale przynajmniej dotuptymy tam w doborowym towarzystwie jednookiego poety w szaliku o osobliwie mongolskich rysach twarzy. Czego chcieć więcej?

Jakby mało było problemów, do Dominium przybywa także młoda dyplomatka, która pierwszy raz opuściła swoje rodzinne strony – Astris. Towarzyszy jej mistrz ciętej riposty i miłośnik znikania w cieniu, Theris. Mają prosty cel – wydrzeć tajemnice Relikwiarzy oraz kultu Wszechśmierci. Brzmi banalnie, gorzej z realizacją. Jak się wedrzeć do wielkiej fortecy strzeżonej

przez niestabilne chodzące żywe trupy? Niektóre całkiem ładne, trzeba dodać. Cóż, Lisioł stwierdza, że to będzie niezła jazda.

Grzegorz Wielgus stanął na wysokości zadania, tworząc żywy świat, tętniący krwią, białopyłem, intrygami i przyziemnymi interesami. W tym wszystkim przemieszczają się nasi bohaterowie, których atutem są mocno zarysowane charaktery. Podejmują decyzję – dobre i złe – a potem muszą mierzyć się z ich konsekwencjami. Lisioł docenia fakt, że sami wyznaczają sobie ścieżkę i uparcie po niej tuptają. W końcu jednak ich drogi zaczynają się przeplatać, co nie jest dla wszystkich jest dobrą nowiną.

Lisioł poleca ten kawał dobrej fantastyki w stylu Sandersona. Odważcie się zanurzyć w świecie Dominium, poczuć na twarzach piach pustyni i oddech śmierci. Niech krew płynie strumieniami, a pieśń zemsty wzywa. Pora udowodnić sobie, na co Was stać, znaleźć granice swojej wytrzymałości i roztrzaskać je w pył.

Czekając na grad

Gaja Wiktoria Królikowska

Tym razem przyszli bez zapowiedzi. Nie było żadnych sennych nawiedzeń, dziennych wizji czy specjalnych układów fusów po herbacie. Nie zadrżała ziemia, nie zawiął wiatr brzmiały jak szepty umarłych. Po prostu przyszli. W ciepły wieczór, w samym środku pory deszczowej.

Najpierw odwiedzili Alenkę. W jednej chwili dziewczyna pracowała wytrwale przy kołowrotku, w drugiej leżała nieprzytomna na ziemi. Mimo nawoływań, uszczypnięć nie otworzyła oczu. Oddychała płytko, niespokojnie, a jej ciało zrobiło się paskudnie zimne. Nikt jednak nie płakał, nikt nie wzywał znachora, bo wszyscy dobrze wiedzieli, że Alenka właśnie stała się narzędziem w cudzych rękach – Gospodynią. To był zaszczyt. Nadzieja dla całej społeczności. Święty moment. Ale tylko jeśli przyszedł ten właściwy ktoś.

Strażnicy unieśli bezwładne ciało Alenki i ruszyli do górującego nad wioską Sądu. Po drodze dołączali do nich ludzie osłaniający głowy przed deszczem i złorzeczący na brak zwiastunów odwiedzin. Plotka, że Alenka tylko udawała, chcąc zdobyć zainteresowanie, rozprzestrzeniła się w tłumie niczym trucizna po ciele; i nawet kiedy strażnicy wynieśli na rozmoknięty trakt kolejnych nieprzytomnych Gospodarzy, rozmowy o dziewczynie nie ucichły. Słowa zniekształcały się, przechodząc z ust do ust, zmieniały swoją naturę i treść, jednak nastrój nieufności i złości na Alenkę wciąż zatruwał ludzkie umysły.

Vanda przystąpiła do tego rozwrzeszczanego tłumu – jak zwykle cicha, z pokornie opuszczoną głową. Ukradkiem spoglądała na inne kobiety, porównywała do nich swój strój, po czym poprawiała brzegi odświętnej chusty, naszyjniki z wizerunkami Przodków, zdobiony haftem gorset. Musiała wyglądać schludnie, elegancko, inaczej ludzie mieliby pretekst do rzucania krzywych spojrzeń, doszukiwania się w niej kogoś, kim nigdy nie chciała zostać.

Dwaj sędziowie idący obok Vandy modlili się do Przodków, żeby otrzymać przesłuchanie, ale brońcie Praojcowie i Pramatki, byle nie przesłuchanie Alenki. Nie potrafili powiedzieć dlaczego. Tak po prostu. Tak czuli. Intuicja, zakpił jeden. Tymczasem Vanda modliła się, by Rządca w ogóle nie wybrał jej do przesłuchań.

Tak po prostu. Tak czuła. Zawsze. I chociaż mogła zrezygnować z funkcji Sędziego w każdej chwili, tkwiła uparcie na stanowisku, pragnąc udowodnić sobie i innym, że może być lepsza niż matka. Że nie popełni tych samych błędów. Dlatego Vanda, mimo palącego bólu w okolicach mostka, pokornie szła dalej wypełniać swoją funkcję. Rolę równie niebezpieczną, co zaszczytną. Rolę, którą wybrała dla siebie sama i której nie potrafiła porzucić.

Tłum wylał się na brukowany plac przed Sądem, płosząc gęsi, które niczym zahipnotyzowane wyciągały długie szyje do góry i patrzyły na wieczorne niebo. Jak zawsze przed gradem, zauważył ktoś obok Vandy. Ponoć gęsi ustawiały się w ten sposób, żeby ochronić delikatniejsze części ciała i zmniejszyć powierzchnię, w jaką mogły uderzyć lodowe kule. Vanda nie wierzyła podobnym tłumaczeniom. Przecież po gradzie zbierano trupy tych ptaków – każdego z roztrzaskaną głową albo przetrąconym karkiem. Gęsi były szaleńcami. Szaleńcami, którzy zamiast schować się pod strzechami chat, wyczekiwali nadejścia niebezpieczeństwa.

Rządca stał przed jednymi z sześciu drewnianych wrót Sądu i przeciągle ziewając, przeczesywał skołtunione włosy. Ceremonialną szatę miał niedbale zarzuconą na ramiona, a jego szal wyglądał, jakby żuła go wcześniej krowa. Od Rządcy nie wymagano, by był schludnie ubrany, idealny niezależnie od sytuacji. Rządca nie miał rodzica, do którego można by go porównywać.

– Przodkowie znów zaszczytili nas swoją obecnością! Znów nadejdą mądrość przeszłości i wiedza o przyszłości. Dawnych przyjaciół przyjmiemy z otwartymi ramionami, a Zło wypalimy – oznajmił, a ludzie odpowiedzieli mu radosnymi okrzykami.

Straż po kolei podprowadzała nieprzytomnych Gospodarzy do Rządcy, a ten, szepcząc słowa błogosławieństwa, malował na ich czołach czerwony znak oka. Alenka, Lojzik, Beda, Radim, Jób, Heła. Sześć odwiedzin. Tyle, ile pokoi w Sądzie, akurat po jednym dla każdej pary wciąż żyjących Sędziów. Od lat nie było takiej sytuacji. Vanda zakłęła ze złości, na co stojąca obok staruszka rzuciła jej piorunujące spojrzenie. Nie musiała nic mówić, wystarczył wzrok – ta pogarda, zmieszanie, obrzydzenie. Zupełnie jakby szukała w Vandzie śladów kogoś innego. Zakłopotana dziewczyna odwróciła głowę i nerwowo poprawiła chustę.

Rządca odpiął od paska lniany worek i rozpoczął losowanie par do przesłuchań. Vanda, jak zawsze w chwilach niepokoju, wbiła paznokiec małego palca w opuszek kciuka. Matka mówiła jej, że to nieładne, że widać zdenerwowanie, że nie wypada. A sama też tak robiła. Zawzięcie, z dziką pasją. Aż do krwi.

Vanda wiedziała już, że nie uniknie przeprowadzenia przesłuchania, ale zawsze mogło być jeszcze gorzej. Zawsze mogła trafić do pary z tą jedyną osobą, której nienawidziła najmocniej.

Padały imiona i kolejni Sędziowie wychodzili z tłumu. Następnie każda

dwójka losowała pokój, w którym miało się odbyć przesłuchanie, a gdzie już czekał na nich Gospodarz.

– Izak, syn Primoża! – krzyknął Rządca.

Tym razem tłum nie musiał robić miejsca, by Sędzia mógł podejść do zwierzchnika. Izak zawsze stał na samym przedzie; wyprostowany, z podbródkiem uniesionym tak wysoko, jakby był gęsią wyczekującą gradu. Gdy tylko padło jego imię, ruszył pod Sąd, uśmiechając się dumnie.

Nigdy nie dorówna swojemu ojcu, szeptali niektórzy.

Primoż był tylko jeden, mówili inni.

Pewnych ideałów nie da się doścignąć, twierdzili pozostali.

Nigdy. Tylko jeden. Nie da się. Te słowa bolały Izaka – Vanda nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Tak mocno jak ona nie chciała stać się swoją matką, tak bardzo on pragnął być swoim ojcem.

Spojrzenia pełne powątpiewania i zawodu odprowadzały dumnego Izaka.

– Vanda, córka Petry!

Myliła się, mogło być jeszcze gorzej.

Dłonie zacisnęła w pięści. Ale rozprostowała je szybko, bo przecież ludzie patrzyli. Zagryzła wargę, by ta jej nie drżała. Ale to nie wypadło, więc musiała odpuścić.

Szła z przygarbionymi plecami, wzrokiem wbitym w tatuaże oczu na swoich przedramionach. W uszach szumiał jej słabnący deszcz i wzburzona krew. Ból w mostku przybrał na sile. Nikt się nie odzywał, jednak te spojrzenia rozczarowania, te uśmiechy pogardy – Vanda dobrze wiedziała, co by powiedzieli, gdyby tylko otworzyli usta.

Jak zepsuta jabłoń może dać zdrowe owoce?

To tylko kwestia czasu, a będzie tak złym Sędzią jak jej matka.

Krwi nie sposób oszukać.

– Nikogo gorszego Przodkowie nie mogli mi przydzielić? – Choć Vanda, nawet zgarbiona, przewyższała Izaka wzrostem, ten i tak zdołał spojrzeć na nią z góry.

Chciała mu odpyskować. Wytknąć, że też nie ma ochoty przesłuchiwać Gospodarzy z marną wydmuszką Primoża. Znów zacisnęła pięści, zmarszczyła brwi. Ale Rządca patrzył. Patrzyli przodkowie z tatuaży oczu na ich przegubach. Jakakolwiek reakcja ze strony Vandy byłaby tylko potwierdzeniem, że obudziła się w niej krew matki. Nie powiedziała więc nic. Spuściła głowę, starła krople deszczu z haftu gorsetu. Musiała być posłuszna, uprzejma, cicha. Jak najdalsza od zachowania matki.

Choć Primoż i Petra nie żyli już od lat, ich sukcesy i błędy, które popełnili jako ludzie i jako Sędziowie, wciąż znaczyły ścieżki Izaka i Vandy.

– Vanda, wylosuj pokój Gospodarza – powiedział Rządca, puszczając złośliwy komentarz mimo uszu. Jak zawsze.

Nie zdążyła nawet drgnąć, a Izak – lekceważąc, do kogo było skierowane polecenie – już sięgnął do wnętrza jedwabnego worka.

– Macie Alenkę – oznajmił Rządca, przyglądając się monecie, którą wyciągnął Izak. Na jej rewersie odcisnięto obraz burzy z gradem. – Lepiej uważajcie na tę dziewczynę. Coś tak czuję, że może wam nieco krwi napsuć. Taka intuicja.

Przez twarz Izaka przeszło ledwo dostrzegalne spięcie, niczym zmarszczka na wodzie. Chwilowe zmaczenie, po którym zaraz nie było śladu. Ale Vanda wszystko widziała; widziała niepokój u tego pewnego siebie mężczyzny. Nie, to nie tak. U mężczyzny, który chciał sprawić wrażenie pewnego siebie.

– Ludzie też przed Alenką ostrzegają. Ale myśli Rządca, że skoro nie było znaków odwiedzin, to coś się zmieni? – Izak nagle się zawahał. – Że większość albo wszyscy są Uzurpatorami?

– Ach, chłopcze. Nie pierwszy raz nie ma znaków. I nie ostatni. – Rządca zapatrzył się w monetę z burzą. – Ale jak tak sobie czasem myślę... Może nigdy znaków nie ma? Może widzimy je tam, gdzie chcemy je zobaczyć? Sami tworzymy sobie znaki. – Rządca machnął nagle dłonią, jakby od niechcenia. – A, głupie moje gadanie. Idźcie już lepiej. Gospodyni czeka. I ci tutaj też. – Wskazał na tłum.

– Nie zawiodę ani ciebie, Rządco, ani ludzi. Przeprowadzę Przdoka i dobrą przepowiednię.

– No, chłopcze. – Uśmiech politowania i ton głosu Rządcy jasno wskazywały, że patrzy na Izaka jak na dziecko, które groźnie wymachuje patykiem, twierdząc, że ma miecz. Ale patyk to wciąż tylko patyk i wielkie słowa nic nie zmieniają. – Mierz siły na zamiary. Nie mamy niestety wpływu na to, kto nas odwiedził. Twój ojciec wiedział, że nie zawsze przynosi się dobre wieści. Ważne, byś też potrafił przyznać, że zabrakło ci szczęścia. Albo umiejętności.

Izak wyglądał tak, jakby zamierzał wsadzić Rządcy ten metaforyczny patyk w oko.

– Mam duże doświadczenie.

– Ale sporo ci jeszcze do ojca brakuje. – Rządca poklepał Izaka po ramieniu. – Przede wszystkim opanowania, chłopcze. Furia to nie siła. Burza emocji to nie przewodnik.

Nim Izak zdążył odpowiedzieć, Rządca przywołał do siebie ostatnich dwóch Sędziów.

– Oby ci dzisiaj nie odbiło jak twojej matce. To już wystarczająca obraza dla mnie, pracować z córką tej dziwki – szepnął Vandzie Izak, gdy czekali na pozwolenie wejścia do Sądu.

Dziwka. Tak mówili o jej matce. Ale mówili też dużo gorzej. Po śmierci

poniewierali nią słownie bardziej niż za życia, tylko tym razem to Vanda musiała zbierać obelgi.

Nienawiść paliła jej mostek, gardło i język, aż ciężko było oddychać. Ale wykrztusiła jedynie ciche:

– Należycie dopełnić obowiązku.

– Wystarczy, że nie będziesz przeszkadzać i nie zmusisz mnie do ujarzmiania cię jak ostatnio.

Vanda aż sapnęła, próbując ostudzić gorejący w jej piersi płomień. Gdyby tylko pozwoliła mu się pochłonać, Izak skończyłby pewnie z wybitymi zębami, które tak chętnie szczyrzył w kpiącym uśmiechu.

Na znak Rządcy ludzie zgromadzeni na placu zaczęli śpiewać, unosząc do nieba ręce z identycznymi tatuażami oczu. To symbole, że Przodkowie zawsze nad nimi czuwają, zawsze widzą. Vanda nie lubiła być obserwowana, oceniana. Wystarczyły prawdziwe oczy innych, jej własne spojrzenie w lustrze. A te tatuaże, ta czarna henna układająca się w przeraźliwie otwarte powieki, powiększoną źrenicę, zawsze wytrącały ją ze spokoju, pewności siebie; budowały poczucie, że nawet jeśli ludzie nie patrzą, patrzą ich tatuaże, Przodkowie.

Vanda i Izak kierowali się już do drzwi opatrzonych symbolem burzy z gradem, kiedy przed tłum wyszedł zapłakany mężczyzna. Na rękach niósł bezwładne ciało chłopca, jednak sądząc po sinych wykwitach na jego bladej skórze, chłopiec ten nie był Gospodarzem.

– Nie żyje! Mój syn! Tak jak przewidzieli Przodkowie. Tak jak przewidzieli! Skończył piętnaście lat i umarł.

Śpiew przycichł, a kilka osób rzuciło się do uspokajania mężczyzny.

– Zostawcie, puście! – krzyczał. – Co mi z przepowiedni Przodków! Nic nie mogłem zrobić. Niczemu zapobiec. Co mi po przepowiedniach, co mi po wiedzy, jak nic nie mogłem! Od tygodni żyłem tylko z myślą, że on umrze! I już nic szczęścia z życia. Psiakrew, nic! Mój wspaniały syn... Moje dziedzictwo...

Deszcz spływał po tatuażach oczu na przedramionach ludzi; po namalowanych powiekach, fałszywych rzęsach. Jakby te oczy płakały. Przodkowie płakali.

– Po co słuchasz tych bluźnierstw, co? Wiedza jest zawsze lepsza niż niewiedza. – Izak stał już za progiem, przytrzymując ciężkie drzwi. – No, idziesz czy cię trzeba wnieść?

I Vanda, ocierając przedramiona z wody, weszła do Sądu, wymijając uzbrojoną straż. Mieli pilnować, by nikt nie zakłócił przesłuchania i nikt nie opuścił budynku bez zezwolenia.

Vanda westchnęła. Jednego wspaniałego syna mniej. Tymczasem jednego Przodka więcej – tego, który mógł ich odwiedzić w ciele Gospodarza. On albo jego idealna kopia. Ten, którego żaden Sędzia nie chciał spotkać.

Parę lat temu Uzurpator był pierwszą i ostatnią pomyłką matki Vandy. Śmiertelną pomyłką.

– Vanda. – Niespodziewanie Izak złapał ją za ramię. – Biorę przesłuchanie Alenki na siebie i przeprowadzę je tak jak mój ojciec. Ty byś to tylko spała równie mocno jak twoja matka.

Izak nie pytał Vandy o zdanie, więc nie czuła się w obowiązku odpowiadać. Cisza przypieczętowała ich ustalenia.

Choć w pokoju płonął jedynie niewielki kominek, całe pomieszczenie tonęło w świetle rozszczępianym przez ogromne witraże zastępujące ściany. Różnokolorowe szkiełka układały się w dziesiątki wiecznie otwartych oczu Przodków – w Sądzie nikt nie mógł umknąć ich oceniającym spojrzeniom. Jednak nie tylko oni patrzyli. Przez szklane ściany Vanda świetnie widziała sąsiadujące z nimi pokoje przesłuchań. Po prawej Hela, zasuszona staruszka, po lewej Radim, smukły młodzieniec o złotych lokach. Oboje Gospodarze. Oboje właśnie wybudzani przez Sędziów.

Bezwładne ciało Alenki przykuto do jedynej kamiennej ściany dokładnie naprzeciwko wejścia. Rządca namalował jej znak oka na wciąż mokrym od deszczu czole, dlatego czerwone strużki farby spłynęły po powiekach i policzkach dziewczyny, tworząc krwawe łyż. Nawet pogrążona we śnie wyglądała przerażająco.

Wedle zasad Izak przekręcił klucz w drzwiach, po czym zawiesił go sobie na szyi. Ze stolika obok kominka wziął sole trzeźwiące i podszedł do nieprzytomnej Alenki, by rozpocząć przesłuchanie.

Vanda, starając się nie patrzeć na dogasający ogień i pogrzebane w żarze metalowe pręty, zabrała z blatu drugi klucz, ten, który otwierał łańcuchy Alenki. W praktyce miało to uniemożliwiać wypuszczenie Gospodarza bez obopólnej zgody Sędziów, ale Vanda dobrze wiedziała, że kiedy Izak każe jej oddać klucz, w obawie przed spojrzeniami i ocenami posłusznie wykona jego polecenie. Ale jeśli Izak oznajmi, że należy wypalić zło, wygnać Uzurpatora, Vanda jak zawsze chwyci za rozżarzony pręt i posłusznie wypędzi odwiedzającego z ciała Gospodarza. Przecież musiała być posłuszna, uprzejma, cicha. Inaczej mówiliby o niej „dziwka”.

Alenka otworzyła gwałtownie oczy. Zachłysnęła się powietrzem, zakaszła. Zastygniętą farbę na policzkach dziewczyny przecięła siateczka pęknięć. Gospodyni najpierw przyjrzała się Izakowi. Z konsternacją, niedowierzaniem i jakby zawodem. Spojrzenie, którym chwilę później omiotła Vandę, było jednak znacznie łagodniejsze. Tęskniące.

Gospodarzem mógł zostać każdy. Dziecko, dorosły, starzec. Nie istniały reguły ani sposoby, by zapobiec odwiedzinom. A odwiedzać mógł Przodek – ten, kto powrócił z martwych, by przekazać ludziom wieść o przyszłości, jaką ujrzał w zaświatach, w miejscu poza czasem i przestrzenią. Potem Przodek przez kilka dni chodził wśród żywych i dzielił się z nimi swoją mądrością, a następnie ulatywał z umysłu Gospodarza niczym sen w chwili gwałtownego przebudzenia – bezboleśnie i na zawsze.

Przyjąć Przodka to był zaszczyt. Szczęście. Święty moment.

Ale Gospodarza mógł też odwiedzić Uzurpator. Ten, który podawał się za Przodka; ten, który miał jego gesty, wspomnienia, przekonania. Ale nie niósł przepowiedni ani mądrości. Uzurpator sprowadzał tylko śmierć i zniszczenie.

Dlatego tak ważne było, by Sędziowie odróżnili Przodka od Uzurpatora.

By wzbogacali społeczeństwo o wiedzę. By samemu unikali śmierci.

– Ktoś ty? – rzucił opryskliwe Izak. Jego pogardliwie uniesiona warga, zmarszczony grzbiet nosa i brwi jasno mówiły, że nie wierzy, by Alenka miała coś interesującego do zaferowania. Zmienny. Tak, taki był Izak. W jednej chwili pewny, że przydzielono mu Gospodarza z Przodkiem, w drugiej, nasłuchawszy się wątpliwości innych, przekonany, że stoi przed Uzurpatorem. Dlatego też Vanda nienawidziła prowadzić z nim przesłuchań. Dlatego inni mówili, że Izak nigdy nie doścignie ojca, nigdy nie będzie jak...

– Primoż – stwierdziła ostro Gospodyni. – Ten Primoż, synu.

Twarz Izaka gwałtownie pobladła. Od śmierci jego ojca minęła ponad dekada, a ten nigdy jeszcze nie zjawił się jako Przodek. To było możliwe. To mógł być Primoż.

– Ale...

– Tak witasz ojca? Tego cię uczyłem, synu?

Izak zaczął iść w kierunku Alenki, jednak nagle zatrzymał się w pół kroku. Gospodarze nie bez przyczyny byli przykuwani do ściany w trakcie przesłuchania.

– Przepraszam, ale sam rozumiesz. – Izak wyglądał na prawdziwie zmieszanego.

– Procedury, tak, rozumiem. Dobrze, że nie dajesz się zwieść. Bardzo dobrze. – Gospodyni rozluźniła postawę i ociepliła spojrzenie przenikliwych oczu. – Ale tak dobrze cię znowu widzieć, synu. Tak wyrosłeś.

Choć Przodkowie i Uzurpatorzy dysponowali tym samym zestawem wspomnień, jednak mówili o nich zupełnie inaczej. Przodkowie byli w swych opowieściach ludzcy, emocjonalni, zapominalscy, subiektywni; tymczasem Uzurpatorzy recytowali zdarzenia niczym wyuczony wiersz. Dlatego Sędziów szkolono w analizowaniu wspomnień, wyłapywaniu słownych niuansów, gestów, zgodności uczuć. A każdy, niezależnie od czasów, w jakich żył, miał jedno szczególnie bogate w emocje zdarzenie.

– Opowiedz nam o dniu, w którym umarłeś. – Izak wziął głęboki oddech. Próbował rozluźnić twarz, przybrać neutralną minę, ale wargi drgały mu w euforii, a brwi wygięły się w wyrazie ulgi. Znowu musiał zmienić zdanie w sprawie Alenki.

– Przechodzimy od razu do rzeczy. – Gospodyni prychnęła z rozbawieniem. – Dobrze, synu, dobrze.

Vanda stała z boku, uparcie milcząc. Nie musiała wiedzieć, jak naprawdę wyglądał ostatni dzień Primoża, żeby ocenić, czy był tym, za kogo się podawał. Wystarczyło szukać pewnych charakterystycznych cech – umiejscowienia opowieści w kontekście czasowym, przytaczania niepotrzebnych szczegółów, subiektywnych opisów, przypisywania innym stanów umysłowych i emocjonalnych. I Primoż dokładnie tak robił, opowiadając o śniadaniu z siostrą, która wyraźnie była na niego obrażona; o rozmowach z Rządcą na temat remontu Sądu. Dość barwnie opisał też zabawę z psem i rozstrzygnięcie sporu między dwójką dzieciaków o to, który miał większe prawo do znalezionych na drodze pieniędzy.

– Ojciec Slavka był wściekły – skomentował Izak, gdy Primoż skończył wspominać, jak rozwiązał spór chłopców.

– Oczywiście, synu. – Gospodyni się zaśmiała. – Ty byś na moim miejscu pomyślał o szerszym kontekście. O tym, co pomyślą ludzie. Ale najważniejsza jest sprawiedliwość sądu. To, w co wierzysz, kiedy podejmujesz decyzję. Konsekwencje nie mają znaczenia, jeśli jesteś szczery w swoich wyrokach.

Vanda widziała, jak Izak ukradkiem zerka na prawo, przez ścianę z witrażu, do pokoju, gdzie przesłuchiowano staruszkę Helę. Jeden z Sędziów, ściskając w dłoniach rozżarzony pręt, wypalał na piersi Gospodyni znak oka. Musieli rozpoznać w niej Uzurpatora. Jednak Hela nie krzyczała, nie próbowała wyrwać się, by uniknąć naznaczenia. Zamiast tego ze spokojem na twarzy patrzyła na Sędziów. Jej oczy wyrażały politowanie, wargi wygięły się w pobłażliwym uśmiechu. Vanda czuła, że coś jest nie tak. Uzurpator nie protestował, nie szarpał. Czyżby Sędziowie się pomylili? Czyżby przegoniono Przodka? Ale zaraz było już po wszystkim – wypalono znak, staruszka straciła przytomność. Ktokolwiek odwiedził jej ciało, właśnie odszedł na dobre.

– Co dalej? – Strach, wahanie, niepewność. Wszystko to dało się wyczuć w głosie Izaka.

– Spotkałem się z Petrą. Mówiła o nowej przepowiedni Przodka, tego kowala, Denka. Tego, który miał dom koło starego sadu. Pamiętasz go, prawda? Musisz pamiętać. Podobno Denek jako Przodek twierdził, że polecą głowy, jak kule gradu. Że kogoś oskarżą o coś, czego nie zrobił, ale cierpienie rozleje się na tych, którzy przyjdą później.

– Czemu zadawałeś się z tą dziwką Petrą? – zapytał nagle Izak.

Gospodyni ściągnęła brwi, napięła mięśnie szczęki, na co Izak zrobił się jakby mniejszy.

– Za moich czasów mówiliśmy, że była niepokorna. Nieustępliwa. Inna niż wszystkie. Ale na pewno nie, że dziwka.

Krew. Krew kapiała na ziemię koło nogi Gospodyni. Vanda z przestachem spojrzała na jej ręce i zobaczyła, jak ta wbija paznokieć małego palca w opuszek kciuka. Zawzięcie, z dziką pasją. Aż do krwi.

Vandę zapiekło w mostku. Otworzyła usta w niemym okrzyku.

To nie był Primoż. To była jej matka. Petra.

– Dobrze, ojciec – Izak uśmiechnął się cierpko. – I co?

Vanda przypuszczała, dlaczego Petra postanowiła skłamać co do swojej tożsamości. Gdyby tylko Izak usłyszał prawdę... Nigdy by jej nie wypuścił. Nie uszanował tego jednego Przodka.

– Potem zacząłem umierać, synu. – Gospodyni opuściła wzrok, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Nagle, niespodziewanie... Nie przewidziałem tego. Nie mogłem się bronić. On... To mnie przytłoczyło. Nie mogłem nabrać powietrza. Jakbym spadał. Albo zasypiał. Tak nagle. Zimno i ciepło.

Primoż zmarł na rękach Petry. Tak nagle. Tak po prostu. Przewrócił się, westchnął i odszedł. Medycy twierdzili, że nic się nie dało zrobić, ale syn Primoża uważał inaczej. Izak, jeszcze wtedy dzieciak; z dnia na dzień osierocony, nie potrafił wybaczyć Petrze, że nie krzyczała o pomoc, nie wołała lekarza. Swoją złość na kobietę składał w wyzwiska. Była dla niego potworem. Mordercą. Dziwką została później.

Nagle za szklaną szybą po lewej stronie rozległy się stłumione krzyki. Vanda spojrzała w tamtą stronę akurat, by zobaczyć, jak Radim, Gospodarz, wbija kciuki w oczy Sędziego. Uzurpator. Ściągnęli łańcuchy i pozwolili działać Uzurpatorowi. Pomylili się. A ceną za ten błąd były wypełnione miazgą oczodoły pierwszego Sędziego i wyrwany język drugiego. Nie zdążyli nawet użyć przygotowanych wcześniej sztyletów. Radim był zbyt szybki, zbyt brutalny. Krew trysnęła na oczy z witrażu i Przodkowie znów zapłakali, tym razem czerwienią.

– O – westchnął Izak. Nogi mu się zatrzęsły, wargę zadrgała. – Ja...

Sędziowie z sąsiednich pokoi zaczęli uderzać w drzwi, krzyczeć do strażników, żeby coś zrobili. Tymczasem Vanda i Izak stali w miejscu. Ona sparaliżowana strachem. On z mętnym spojrzeniem i dłonią przy ustach wyglądał, jakby lada chwila miał zwymiotować.

Uzurpator nie zdążył nawet sięgnąć po klucze, a do pokoju wbiegli uzbrojeni strażnicy. To już nie były te czasy, gdy za wszelką cenę ratowano życie Gospodarza. Włócznie przebiły pierś Radima, a miecz pozbawił go głowy, która z głuchym hukiem uderzyła o szklaną ścianę. I tyle. Po wszystkim.

Izak poszedł do kąta zwymiotować.

– Musimy kontynuować przesłuchanie – przypomniała mu chwilę później Vanda, zerkając przez ramię na Alenkę. Na Gospodynię. Na odwiedzającą ją matkę.

– Tak. Idź po pręt – rozkazał Izak, przecierając usta.

– Co? Ale przecież...

– Idź po pręt powiedziałem! To Uzurpator. – Izak wskazał drżącym palcem na Gospodynię. – Trzeba wypalić zło.

Vanda pomyślała, że Izak musiał się wystraszyć; znów zmienić zdanie, jak chorągiewka na wietrze. I chociaż jeszcze przed momentem widać, że szczerze wierzył w obecność ojca, teraz, drżąc o własne oczy i język, chciał wypędzić odwiedzającego.

Ale mimo, że Vanda była posłuszna, uprzejma i cicha, tym razem odważyła się zaprotestować.

– Przecież to Przodek. To twój ojciec. Dobrze widzisz, że przeszedł wszystkie testy. Nie może być...

– Teraz nagle chcesz ze mną dyskutować? Tak? Mam ci przypomnieć, co się stało, kiedy twoja matka zaczęła się stawiać drugiemu Sędziemu? Ile nas to wszystko kosztowało? Chcesz dzisiaj drugą rzeź?

Janyk, ostatni Gospodarz, jakiego przesłuchiwała Petra, okazał się Uzurpatorem. Na nic się zdały sztylety Sędziów i miecze straży. Mężczyzna zamordował prawie dwadzieścia osób gołymi rękami. A gdy w końcu wypędzono Uzurpatora, Gospodarz również zmarł od odniesionych ran. To była prawdziwa katastrofa. Katastrofa, za którą – wedle relacji Sędziów obserwujących przesłuchanie z pokoi obok – odpowiadała Petra. Kobieta upierała się, że mają do czynienia z Przodkiem. I tak z niepokornej Petry została dziwką.

A życie Gospodarza straciło priorytet.

Vanda przełknęła szalejące w jej głowie i sercu pożary, burze i grad, po czym posłusznie podeszła do kominka. Nie chciała przecież stać się swoją matką.

Pręt był jakby cięższy niż zazwyczaj, symbol oka na jego końcu jakby bardziej rozgrzany. I choć wypędzała odwiedzających dziesiątki razy, dłonie jej zadrzały, kolana dziwnie zmiękły. Pieczenie w mostku było nie do wytrzymania.

– Pośpiesz się – powiedział Izak drżącym głosem, gdy strażnicy opuścili sąsiedni pokój, wlokąc za sobą martwe ciało Radima. Odciętej głowy nikt nie zabrał.

– Synu... – odezwał się Primoż.

– Nie jestem twoim synem! Ja... To nie możesz być ty. Po prostu nie możesz. Nie było znaków. Wszyscy wiedzą, że z Alenką jest coś bardzo nie tak. Nie oszukasz mnie. – Mimo swoich słów widać było, że Izak cierpi. Jednak zbyt głęboko zanurzył się w paranojach, utonął w strachu.

I Vanda podeszła do Gospodyni, uniosła pręt; zagryzła wargę, ale to nie

wypadało, więc odpuściła. Choć nikogo już nie było ani po lewej, ani po prawej, oczy Przodków wciąż patrzyły – z tatuaży, ze szklanych ścian.

Na twarzy Gospodyni malowało się politowanie, pobłażliwość, zrozumienie. Vanda spojrzała w te spokojne oczy Alenki, dziewczyny, która następnego dnia miała się obudzić z okrutnym bólem w piersi; na zawsze naznaczona symbolem oka.

A wszystko dlatego, że Izak dał się pochłonąć przerażeniu. Społecznej panice.

– Nie – powiedziała stanowczo Vanda.

– Nie? – powtórzył stojący tuż obok Izak.

– Nie zrobię tego.

– Jesteś Sędzią i masz wykonywać swoje obowiązki.

– Moim obowiązkiem jest podejmowanie uzasadnionych sądów. – Spojrzała mu hardo w oczy. – A to? To twój wymysł.

– To zagrożenie!

– To Przodek. A pod nim osoba, którą krzywdzimy.

– Ciebie znowu trzeba ujarzmić, co?

Pieczenie w mostku doprowadzało Vandę do szaleństwa. Dłużej nie mogła wytrzymać bólu po wypalonym tam oku. To ją ostatnim razem ktoś odwiedził, to ona była Gospodynią. Przesłuchanie prowadzili Izak i Sędzia, który teraz leżał bez języka. Ponoć bardzo się rzucała, wyzywała, przeklinała. Dlatego rozpoznano w odwiedzającym Uzurpatora i wypalono na jej mostku znak. Ale choć Vanda niczego nie pamiętała, miała pewność, że to nie Izak trzymał pręt. Izak był tchórzem.

– Zrób to sam – wrzasnęła.

Oczywiście, że się bał, że nie chciał nawet dotykać pręta. On pragnął zbierać sukcesy, sprowadzać do ludzi Przodków. Ona miała sprzątać porażki, odsyłać Uzurpatorów.

– Przestań szczekać i słuchaj, co się do ciebie mówi, głupia. Przecież coś ustaliliśmy przed wejściem – naciskał Izak. – Chcesz się upierać jak twoja matka? Nie dość ci jej błędów?

– Może przez moment bądź jak Primoż i dokończ swoją decyzję. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

W jednej chwili stali obok siebie, tuż przed Gospodynią. Ona niepokorna, on nabuzowany furią strachu. W kolejnym momencie już się siłowali o pręt. Odpychali go od siebie, próbując wymusić na drugiej osobie działanie.

Vandzie trzęsły się dłonie, w głowie szumiało od wysłuchiwanego dzieła w dzień zdań.

Będziesz jak matka. Niestabilna, niepoważna.

Wszystko zniszczysz, tylko zaczekaj.

Też zawołają na ciebie „dziwka”.

Źle skończysz, tak jak ona. Nie ma dla ciebie innej przyszłości.

Jakbyście, psiakrew, byli Przodkami, chciała im wykrzyczeć. Ale milczała. Zawsze. Tym razem jednak nie umiała powstrzymać złości.

Wyrwała Izakowi pręt z rąk i rozżarzonym okiem uderzyła go w policzek. Poleciały zęby, w powietrzu rozszedł się zapach palonego białka, a mężczyzna z wrzaskiem upadł na podłogę.

Spódnica Vandy była pomięta, naszyjniki przekręcone, chustka poluzowana. Daleka od ideału, potulności, stała, oddychając ciężko i ważąc pręt w dłoni. Nagle zdawał jej się jakby lżejszy.

– Dziwka! Paskudna dziwka! – wykrztusił Izak, trzymając się za policzek. Nie wstał jednak, nie przerwał przesłuchania, jak nakazywały zasady. Zamiast tego zalany łzami i smarkami odpełził w kąt. Mały, żaloszny, sparaliżowany własną przegraną.

Wszystko stało się jasne.

On nigdy nie doścignie własnego ojca, a ona zawsze będzie wierną kopią matki. Tak jak mówili ludzie, którzy swoimi słowami upletli im przyszłość. A Izak i Vanda słuchali ich gadania, brali je do siebie i przyjmowali za przeznaczenie, które trzeba oszukać.

Oboje, tak jak rodzice, zostali Sędziami. I choć mogli odejść, zrezygnować, uparcie tkwili w miejscu, pragnąc udowodnić, że potrafią być inni albo tacy sami. Zamiast uciekać, kryć się pod bezpiecznymi strzechami, jak gęsi czekali, aż spadnie grad. Grad spojrzeń, ocen. Wierzyli, że wytrwają, że mogą się przygotować. Tymczasem jedno straciło głowę, drugie złamało kark.

– Nie rób tego – załkał nagle Izak. – Nie uwalniaj go. To Uzurpator. Jestem w niebezpieczeństwie.

I Vanda przez moment naprawdę chciała posłuchać Izaka, ale nie dlatego, że była potulna, uprzejma, cicha. Przez lata pielęgnowała w sobie złość na matkę, na kobietę, która sprowadziła na nią spojrzenia ludzi, ściągnęła ich najgorsze myśli. To przez jej błąd Vanda tyle wycierpiała. Ale przecież nikt poza dziewczyną nie domyślił się, że ciało Alenki odwiedziła Petra, a nie Primoż. Jeśli teraz by ją wypuściła, ludzie powitaliby Petrę z zaszczytami, słuchali jej mądrości. Vanda i matka zakpiłyby ze wszystkich – za wyzwiska, za oceny, krzywe spojrzenia.

Vandę i tak czekała kara po incydencie z Izakiem, czemu więc nie miała dać sobie tej zawistnej satysfakcji, że inni będą się płaszczyć przed nie tym Przodkiem.

Zamek szczęknął, Gospodyni miała wolne dłonie.

Przez moment Vanda wystraszyła się, że może jednak popełniła błąd, że to nie matka ani nawet inny Przodek, a Uzurpator. Kiedy więc Gospodyni wyciągnęła do niej ręce, dziewczyna cofnęła się z przestachem; w głowie wciąż miała obraz

oczku wciskanych w głąb czaszki, krwi tryskającej z wyrwanego języka. Ale ona tylko przytuliła Vandę. Jak dawniej matka, delikatnie poklepując jej plecy.

– Też bym tak zrobiła na twoim miejscu – powiedziała Petra, opuszczając dłonie. Było jednak coś dziwnego w tym objęciu, jakby mniej siły, mniej serdeczności, niż Vanda zapamiętała.

Gospodyni zgrabnie jak kot podeszła do zapłakanego Izaka. Mężczyzna zaskowyczał z bólu i przerażenia, gdy przydeptała jego dłoń, żeby się nie zasłaniał, po czym jednym szarpnięciem zerwała mu z szyi rzemyk z kluczem.

– Nie – wycharczał, ale na „nie” było już za późno.

Znów szczęknął zamek i Gospodyni otworzyła drzwi na oścież, wpuszczając do środka zapach rozmokłej ziemi i wilgoci.

Nadszedł moment przepowiedni. Moment na ujęcie w słowa tego, co przodek zobaczył w zaświatach, w przestrzeni poza materią i czasem.

– Idzie burza. Idzie grad – powiedziała Gospodyni, uśmiechając się gorzko. Kiedy wstępowała w szepczący tłum i wpatrzona w niebo stado gęsi, ciemny horyzont przeciął język błyskawicy.

Więc tyle była warta rozlana krew, wykrzywane obelgi. Wszystko za cenę jednej marnej przepowiedni; zwiastuna nadejścia czegoś, co przeczuwali wszyscy. Zapowiedź dostrzegli w zachowaniu gęsi, zapachu powietrza. Rozpoznali łuny piorunów rozświetlających noc, echo grzmotów rezonujących w uszach.

Lunął deszcz, sypnął grad. Gęsi stały dzielnie, wpatrzona w niebo. A Vanda razem z nimi. W ciepły wieczór, w samym środku pory deszczowej.

O Autorze:

Studiuje psychologię na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Próbuje swoich sił w świecie nauki, ale tak naprawdę jej największą miłością jest pisanie - o tym, co nieoczywiste, nierzeczywiste, fantastyczne. Układanie historii i współpracowanie z innymi autorami przez wiele lat ćwiczyła na blogach typu pbb i w warszawskim Klubie Młodych Pisarzy. Obecnie należy do warszawskich i krakowskich sekcji literackich, które szczerze uwielbia za towarzystwo, atmosferę i możliwości rozwoju. Została wyróżniona w konkursie „Pigmalion Fantastyki”. W wolnym czasie gra na konsoli albo spotyka się ze znajomymi na planszówce i RPG. Ma kota.

Chodź, opowiem ci bajeczkę

Anna Stańczyk, Agnieszka Markowska

Piątkowe popołudnie, fajrant. Takiego młyna jak dziś jeszcze w firmie nie mieliśmy. Przypominają mi się słowa ojca, który paląc fajkę za fajką, mawiał, że na coś trzeba umrzeć. Po dzisiejszym dniu i całym ostatnim tygodniu jestem pewien, że w moim przypadku tym czymś będzie stres.

Odpalam seata i ruszam spod tego kołchozu, zwanego przez niektórych dupolizów pracą. *Adios muchachos*, czas się odchamić w domu!

Wybieram dłuższą, za to ciut mniej zakorkowaną trasę. Ignoruję ciężące powieki oraz narastające ssanie w żołądku, powtarzając sobie, że jestem kwiatem lotosu. Jebanym kwiatem lotosu, który marzy tylko o ciepłym żarciu i zimnym piwie. Oblizuję usta i już prawie czuję na języku gorzkawą piankę. O, tak.

Przyziemne marzenia przerywa dzwonek telefonu. Zerkam na wyświetlacz. Żona.

Wzdycham. Czego ta małpa znowu chce?

Niechętnie odbieram i włączam głośnomówiący.

– Halo, Arek? Chciałam spytać, czy pamiętasz o wypożyczeniu kostiumu dla Wojtusia. No wiesz, tego...

– Który mogłaś ogarnąć sama, gdybyś tak się nie mazgaila? Nie, kurwa, nie pamiętam.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy. – Jej głos uderza w te płaczące, kobiece tony, mające wziąć człowieka na litość. – Wiesz, że mam drugą zmianę, poza tym ktoś musiał zaprowadzić Wojtusia do szkoły, zrobić zakupy na obiad i...

Przewracam oczami, po czym przestawiam się na tryb „prawym uchem wypuszczam, lewym wypuszczam”. Oczywiście to ja muszę zawsze o wszystkim pamiętać, ona ma przecież tyle na głowie. Łaskawie nie przerywam tej litanii wymówek, chociaż w środku aż się gotuję. Nie mam siły się kłócić na głodniaka.

– Dobra. Pogadamy, jak wrócę – rzucam na odczepnego, po czym się rozłączam.

A niech to chuj strzeli.

Wieczór w sam raz, coby klapnąć przed telewizorem, wywalić kopyta na ławę i zapomnieć o bożym świecie. No, bo co innego człowiek mógłby robić o tej porze? Przecież nie poginać po jakiś pedalski kostium na drugi koniec miasta.

„Tato, chcę być Kaptulkkiem” – oznajmił wczoraj Wojtek. Pięciolatek, gówniak jeszcze, pomyślałem sobie, coś się dzieciakowi musiało pomerdać. Smarkacze w jego wieku latają przebrane za diabły, piratów albo wampiry, a mój? Wybrał dziewczynkę w czerwonym płaszczyku. I to jeszcze w Halloween, normalnie strzał w dziesiątkę! Po kim to się wyrodziło? Zerknąłem wtedy na Hankę, a ta nic, uśmiechnęła się tylko głupio i rzuciła, że mógłbym zahaczyć o tę wypożyczalnię przy Wrocławskiej po drodze do pracy, bo „to już jutro”. No to jej powiedziałem, że jutro będzie futro. Prędej mi włosy na dupie wyrosną, niż pozwolę własnemu synowi przebrać się za dziewczynkę.

Klnę na cały głos, bo wiem, że bachor i tak dopnie swego, z moim udziałem czy bez. Skręcam na rondzie w prawo, z luźnej obwodnicy w zakorkowane miasto. Wrzucam na full moją ulubioną techniawkę, żeby trochę zagłuszyć mordercze myśli i się wyluzować.

Jazda po mieście o tej porze to jakiś horror. Po kwadransie jestem na Wrocławskiej, ale wciąż się toczę w tempie ślimaka. Mam przynajmniej możliwość, żeby rozejrzeć się za wypożyczalnią. Hanka mówiła, że mieści się gdzieś na końcu ulicy. Przyglądam się oknom jednakowych, szarych kamienic i zauważam w jednym z nich kolorowego klauna, nędzną wizytówkę całego tego przybytku.

Nagle dociera do mnie, że wypadaloby się wbić na prawy pas. Zerkam na sznur samochodów przed maską – taki sam jak w tylnym lusterku – i staram się nie wyjść z siebie. Włączam kierunek, czekam. Stukam palcami o kierownicę, śledzę ruch wycieraczek zbierających pierwsze krople deszczu, a kątem oka obserwuję tych wszystkich debili, którzy nie mają zamiaru mnie wpuścić. Jestem kwiatem lotosu, kwiatem lotosu na tafli jebanego jezio...

W końcu nie wytrzymuję, trąbię. Raz, drugi, trzeci, aż do porzygu.

– Święte krowy! – krzyczę w eter.

Wciskam się na chama i tym razem to ja słyszę klakson paniusi ze srebrnego volvo. Drze ryja przez uchyloną szybę i puka palcem w czoło. Odpowiadam falkocem, po czym zgrabnym manewrem skręcam na chodnik między dwie kamienice. Zaciągam ręczny, gaszę silnik, biorę kilka głębokich oddechów.

Nareszcie.

Wysiadam z auta i pokonuję schodki prowadzące do wiatrołapu. Odrapana naklejka na drzwiach informuje, że zamykają o osiemnastej, a mój zegarek pokazuje siedemnastą czterdzieści pięć. Zdążyłem, brawo ja. Do tego dzisiejszego browarka dorzucę jeszcze megapizzę z podwójnym serem i jakieś porno, gdy Hanka już zaśnie. Zasznużyłem.

Naciskam dziwacznie wyprofilowaną klamkę i pcham drzwi. Stawiają lekkie opór, skrzypią, jakby chciały, a nie mogły. Coś cienko przędzie ten biznes, skoro nie stać ich nawet na przesmarowanie zawiasów. Albo leniwe z nich dupy.

Gdy wchodzę z ganku do wąskiego, ciemnego korytarza, mam już odpowiedź. Uderza mnie smród starego drewna doprawiony aromatyczną nutą zaszczanej kociej kuwety. Bosko. Do kompletu brakuje tylko grzyba i karaluchów.

Znajduję włącznik światła. Rozglądam się.

Po prawej pną się schody na piętro, zagrodzone tanią plastikową bramką. Na górze musi ktoś mieszkać, pewnie właściciel tego bajzlu. Wchodzę w wąski korytarz. Drzwi na samym końcu krzyczą kolorowym napisem z tej samej, kiczowatej folii samoprzylepnej co okienny klaun. Z częściowo zdrapanych liter odczytuję wielkie wymowne POŻYCZ. Parskam. No kurwa, to w końcu ja mam pożyczać czy oni? Idę do celu po wyblakłej i nieco już łysawej wykładzinie.

Podłoga skrzypi pod każdym krokiem, przez co zaczynam się czuć trochę jak intruz łażący w buciorach po obcym domu. Przed wejściem do wypożyczalni waham się nawet, czy powinienem zapukać. *A do biedry pukasz, baranie?* – myślę i wchodzę. Po chwili mój problem i tak rozwiązuje umieszczony nad drzwiami dzwoneczek, który dźwięcznie oznajmia, że do środka właśnie wparował intruz, wróć – klient.

Powierzchnia dużego pokoju jest wykorzystana na maksa, prawie nie ma prześwitu. W pomieszczeniu panuje duchota i znów czuję smród, tym razem babcinej, niewietrzzonej od wieków szafy. Widocznie otwarcie okien też ich przerasta.

Zerkam na prawo, gdzie stoi biurko obłożone bibelotami z pierdyliarda różnych bajek. Jakieś różdżki, skrzydełka wrózek, cudaczne opaski z czułkami, szklana kula i kasa fiskalna, pasująca do tego wszystkiego jak pięść do nosa. Całe to miejsce to jedna wielka graciarnia pełna wieszaków, sflaczałych, martwych kostiumów, a na horyzoncie ani żywej duszy.

– Halo, jest tu ktoś? – odzywam się, bo dzwonek chyba nie do końca spełnił swoją funkcję.

– Zaraz podejść, proszę chwileczkę poczekać – odpowiada mi damski głos zza ściany.

Nie mam wyjścia, siadam na rozklekotanym krześle i cierpliwie czekam. Z nudów rozglądam się po pomieszczeniu. Jest na czym zawiesić oko, przede wszystkim na niezliczonych rządach ciuchów: sukienkach wszelkiej maści, pelerynach superbohaterów, czarodziejskich szatach, a także pszczołkach, motylkach oraz innych pierdołach. Istny raj dla dzieciarni. Dobrze, że nie ma

ze mną Wojtka, bobym stąd nie wyszedł do jutra. Odklejając się miejscami tapetę zasłaniają stare, drewniane regały, każdy z innej parafii. Większość z nich to, jak w mordę strzelił, wczesny PRL, ale niektóre chyba są nieco bardziej wiekowe. Za pomazanymi szybkami skrywają jeszcze więcej kiczowatych bibelotów: dodatki do kostiumów, lalki oraz pajace o bladych twarzach. Te małe france gapią się na mnie nienawistnie, więc przenoszę wzrok na szafę za biurkiem, na której stoi coś o wiele bardziej neutralnego – kilkanaście biurowych segregatorów. Niezła dokumentacja jak na taki biznesik.

Odchylam się na krzesło i wyciągam nogi, cierpliwie czekając, aż ktoś łaskawie mnie obsłuży. Z żyrandola smętnie zwisa pajęczyna. Na chwilę przymykam ciężkie powieki.

Otwieram oczy. Zerkam na zegarek, jest za pięć szósta. Co ja tu jeszcze robię? Przecieram dłonią twarz i zrywam się z krzesła. W tej samej chwili z tajemniczego przejścia wyłania się dziewczyna.

Oto i najciekawszy rekwizyt tego miejsca – myślę sobie, podziwiając jej nogi: długie, zgrabne, wybitnie proszące się o uwagę, bo osłonięte jedynie króciutką spódnicą. Jadę wzrokiem w górę, skanuję całą ślicznotkę aż miło. Z żalem uznaję, że jest z deka płaska, za to nadrabia całkiem niebrzydką buźką. Zawsze kręciły mnie rude z piegami, a widoczne na twarzy rumieńce dodają jej jeszcze plus dziesięć do zajebistości.

Ruda odkłada miotłę i poprawia włosy. Widocznie musiała sprzątać na zapleczu, mając nadzieję, że już nikogo dziś nie przywieje i spokojnie zamknie ten burdel na cztery spusty aż do poniedziałku.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – Uśmiecha się, pokazując równiutkie, białe zęby.

W odpowiedzi sam wyszczerzam kły, choć to do mnie niepodobne. Nic tak człowieka nie wpienia jak ekspedientki płaczące się pod nogami, ale w ustach tej dziewczyny to pytanie brzmi niemal jak zaproszenie.

– Szukam kostiumu – mówię, czując pierwszą iskierkę porozumienia. I nie tylko ją. Poprawiam kołnierzyk i uzmysławiam sobie, na jakiego idiotę właśnie wypadam. Szukam kostiumu w wypożyczalni strojów, no kto by pomyślał. – To znaczy Czerwonego Kapturka. Stroju Czerwonego Kapturka. – Chrząkam jak jakiś przygłup.

Dziewczyna unosi brwi aż po samą grzywkę. Przygląda mi się uważnie, ściga usta. W pewnym momencie kiwa głową, mija mnie i wchodzi pomiędzy rzędy ciuchów tak pewnie, jakby miała wbudowany radar. Ruszam za nią.

– Dawno nikt nie pożyczał Kapturka, ale coś powinno się znaleźć – rzuca,

buszując wśród wieszaków. Widzę tylko kawałek jej pleców i spływające po nich ognistą falą włosy. – Jaki córka ma rozmiar? Byłoby łatwiej coś dopasować. I nie musiałby pan latać w tę i z powrotem, żeby wymienić strój.

No nie wierzę. Wreszcie ktoś się troszczy o mój czas. I – w przeciwieństwie do Hanki – nie traktuje mnie jak chłopca na posyłki. Z drugiej strony, gdybym nie został przysłany przez tę jędzę, ominąłby mnie niezły widok, więc może powinienem jej podziękować?

– Syn – poprawiam ją. Najwyraźniej nawet ruda wie, że taki strój przystoi jedynie babom.

Stukot wieszaków ustaje. Dziewczyna prostuje się i spogląda na mnie z wahaniem. Minę ma napiętą, zupełnie jak ja, kiedy usłyszałem o genialnym pomysle Wojtka.

– Chyba nie jest pan zadowolony? – pyta z autentyczną troską, a kąci jej ust lekko się unoszą.

– A powinienem być? – parskam. – Widzi pani, ja to prosty chłop jestem, lubię piwo, piłkę nożną, piękne kobiety. Kicham na te wszystkie gendery, LGBTAGD i śmieszne, zachodnie święta. Bo facet to musi być facet, nie przebieraniec. Nieważne, czy Halloween, czy inne gówno. A teraz proszę sobie wyobrazić, że przychodzi do pani syn i mówi: „Chcę się przebrać za dziewczynkę”. Psują te dzieciaki tylko. – Macham ręką w geście rezygnacji.

Ruda nagle poważnieje. Zastanawiam się, czy aby na pewno dobrze ją oceniłem, bo jeśli zaraz okaże się jedną z tych szurniętych, niewyżytych feministek, o dalszym flircie mogę zapomnieć. O kostiumie dla Wojtka też. Już widzę, jak Hanka głądzi mi nad uchem przez bity tydzień, a dziecko w kółko beczy. Nic, tylko strzelić se w łeb.

Na szczęście moje obawy się nie sprawdzają. Uśmiech rudej znika jedynie na moment, by zaraz znów się pojawić, chyba nawet szerszy niż wcześniej. W końcu wybucha śmiechem, a mi się udziela to rozbawienie. Nasze spojrzenia się spotykają.

– No, no. Szczery z pana facet.

– Arek. Po prostu Arek.

– Arek. – Wypowiada moje imię tonem słodkim jak miód. Aż żałuję, że przed drzwiami nie zdjąłem obrączki.

– Co by nie gadać, masz rację, Arek. Ja też nie lubię tych czasów, to nie moja bajka. Tylko nikomu nie mów, bo jeszcze mnie wyleją za poglądy niezgodne z wizerunkiem firmy. – Mruga figlarnie i wchodzi w kolejną alejkę z rzędem wieszaków, dzięki czemu znów mogę podziwiać jej tył. – Chodź, biedaku, poszukamy tego stroju, żebyś miał syna z głowy. A co ważniejsze, żonę.

– Aż tak to widać? – Idę za nią, nie odrywając wzroku od smukłych ud.

– Tylko trochę.

– Nie myśl sobie, że jestem jakimś pantoflem. Bo nie jestem. Przyjechałem po ten strój, żeby mieć wreszcie spokój.

Ruda tym razem milczy, grzebie w ciuchach, a mi jakoś nagle rozwiązuje się język:

– Bo ciągle się kłócimy. Ostatnio, na przykład, zrobiła mi awanturę o starą strzelbę ojca. Przyniosłem ją z piwnicy, żeby trochę w weekend postrzelać do puszek na działce, odchamić się. A ta od razu, że dziecko jest, że niebezpiecznie broń trzymać na chacie, że nie mam pozwolenia, itepe, itede... Ech, upchnąłem giwerę z powrotem do pudła i tyle było ze strzelania.

– Twój ojciec jest myśliwym? – Ożywia się.

– Był. Umarł na raka płuc.

– O, przykro mi. Znałam jednego myśliwego, porządny facet. – Uśmiecha się i zamyśla na chwilę.

Coraz bardziej mi się podoba.

– Było, minęło. Tylko baba wciąż jest i żyć nie daje. – Całe to pieprzenie o śmierci średnio mi leży, więc wracam do starego tematu. – Mało miał człowiek problemów, to jeszcze się chajtął. Nie wiem, co ja wtedy myślałem, chyba mnie Bóg opuścił.

– Nie ty pierwszy i nie ostatni. Mam takiego stałego klienta, który twierdzi, że po ślubie wszystkie kobiety zmieniają się w hetery. Jakby nagle przestawały swoich facetów szanować. Widzą w nich tylko maszynki do robienia pieniędzy. Tyle się już nasłuchiwałam podobnych historii, że szkoda gadać – mówi, wciąż przebierając wśród rzeczy. – No i jest. Sama peleryna z kapturem, więc obędzie się bez rozmiaru. Ile syn ma lat?

– Pięć, ale jest wysoki jak na swój wiek. Po mnie.

– Najwyżej będzie trochę przykrótkawa.

– Mhm – potakuję, bo określenie „przykrótkawa” świetnie oddaje to, na co właśnie patrzę.

– Tylko koszyczka brakuje. Gdzieś tu powinien być...

Mnie tam niczego nie brak. Przynajmniej w momencie, gdy ruda sięga po wspomniany koszyczek, a materiał spodniczki podsuwa się niewiarygodnie wysoko. Przechyliłam głowę, wypatrując zarysu kształtnych pośladków, i napawam się tym widokiem w najlepsze. W końcu dziewczyna się prostuje, a ja muszę wrócić na ziemię. Dla niepoznaki szybko zerkam na wiszące rząd dalek kostiumy dla dorosłych. Ciekawe, czy po zamknięciu zdarza się jej przebierać. Taka pastreczka na przykład byłaby nie najgorsza.

– Nie noszę ich.

Marszczę brwi i przenoszę spojrzenie z powrotem na dziewczynę.

– Słucham?

– Daj spokój, przecież to nasuwa się samo. – Podaje mi koszyk. – Widzisz

młodą dziewczynę, która prowadzi wypożyczalnię strojów, i nie zastanawiasz się, czy czasami je zakłada? Pyta mnie o to co drugi klient. Większość z nich to smarkacze myślące, że uda im się mnie zawstydzić, ale niektórzy pytają na serio.

– Ja tam smarkaczem nie jestem.

Dziewczyna ogarnia mnie wzrokiem i podchodzi bliżej. Znacznie bliżej. Czuję słodką woń damskich perfum.

– A mnie nie da się łatwo zawstydzić – szepcze mi do ucha.

Tym razem to ja unoszę brew. Mam wielką ochotę przekonać się o tym na własnej skórze, a najlepiej pokazać rudej, jak bardzo się myli. Już ja wiedziałbym, co zrobić, żeby rumieńce na tej piegowatej buźce utrzymywały się bez końca. Na samą myśl uwiera mnie w spodniach.

Tymczasem dziewczę mija mnie i podchodzi do kasy. Idę jej śladem, jak ten cielak, aż do samego biurka. Patrzę, jak wstukuje cenę na klawiaturze, na drobne palce, które mogłyby się teraz znaleźć w zupełnie innym miejscu. Przełykam ślinę.

– To będzie dwadzieścia pięć złotych.

Wyciągam kasę z portfela, podaję. Chwyta gotówkę, patrząc mi prosto w oczy. Przez chwilę ani ona, ani ja nie zabieramy dłoni. Powietrze robi się ciężkie jak mój żywot z Hanką.

– Kiedy mam przyjechać? – pytam.

– Żeby oddać strój? – Odnoszę dziwne wrażenie, że ktoś tu się ze mną droczy. – Pewnie drugiego. Jutro Halloween, a we Wszystkich Świętych mamy zamknięte. – Wzrusza ramionami i mruży oczy. – Chyba że masz na myśli coś innego.

– A gdybym miał?

Dziewczyna zamyka kasę fiskalną, a potem leniwie opiera się o blat. Dla niepoznaki bawi się stojącą w rogu szklaną kulą i zerka na mnie, niby niczego nieświadoma. Wreszcie się odzywa:

– Powiedziałabym, że Wszystkich Świętych to dzień jak każdy inny, a ja mam klucze do lokalu. Właścicielka to stara baba, niedośłysz i wiecznie przesiaduje na górze. Poza tym raczej się nie obrazi, jak wpadnę tu, żeby trochę posprzątać.

Hanka też się nie obrazi, jak naściemniam, że jadę na cmentarz do ojca. Wspaniałomyślnie odstąpię jej samochód, żeby odbębniła własny grobing, a sam udam się na owocną wycieczkę autobusem. Nie dość, że zyskam parę godzin spokoju, to jeszcze sobie poużywam z młodą laseczką. To się dopiero nazywa „upiec dwie pieczenie na jednym ogniu”. Aż sam nie dowierzam, że udało się tak szybko ją skrócić. Ma się ten urok osobisty.

– No, to jesteśmy umówieni. – Puszczam oko do rudej, po czym wychodzę z wypożyczalni z nową energią.

Tego dnia nie jest w stanie mi zepsuć nawet smród kocich szczochów.

Wplątam rękę w ogniste włosy i przyciągam moją pastereczkę tak blisko, że bardziej się nie da. Całuję ją zachłannie, rozsznurowuję gorset zaciśnięty na małych, jędrnych piersiach. Zastanawiam się, skąd wiedziała, że właśnie o tym stroju myślałem. Może to zwykły przypadek, a może jesteście dla siebie stworzeni. W każdym razie doceniam inwencję. Nie to co z Hanką. Wieczna klasyka – aseksualna piżama w groszki i wciąż te same zagrania, zero fantazji.

Ruda jest spięta, a ja z deka nieporadny, ale to nic, mamy sporo czasu, żeby się nawzajem poznać. Siedzam ją na biurku, odgarniam na bok walające się tam kłopoty i wgryzam się w pachnącą szyję – najpierw delikatnie, bo nie wiem, jak lubi. Tylko prawdziwy facet potrafi rozpracować kobietę tak, żeby oddała mu wszystko, a potem jeszcze błagała o więcej. Chyba jest jej dobrze. Czuję, jak obejmuje mnie nogami i lekko zaciska uda. Cicho przy tym pojękuje, co sprawia, że zaczynam wariować. Wracam do jej ust, żeby je zakneblować swoimi i uciszyć. Nasze języki się spotykają, ciała przylegają do siebie coraz mocniej i mocniej. Muszę trochę zwolnić, inaczej nie wyrobię.

Nagle ruda kąsa mnie w dolną wargę i odsuwa moją pierś palcem. Biorę to za część gry. Napieram na dziewczynę, ale stawia opór. Wyślizguje mi się z rąk w ostatniej chwili.

– Czekaj. Coś dla ciebie mam – rzuca wymijająco i wychodzi na zaplecze.

Wraca z jakąś wymiętą szmatą.

– Załóż to – nakazuje, a ja zachodzę w głowę, kiedy ta niewinna, zarumieniona dziewczyna stała się dominą.

To jara mnie jeszcze bardziej, choć nie kumam, po co mam zakładać te ciuchy.

– Daj spokój, mała. To nie czas na przebieranki. – Sięgam po jej wąską talię, ale znów mi się wymyka.

Spogląda na mnie spod rzęs i cicho cmoka.

– Jeśli chcesz przelecieć pastereczkę, to tylko w tym – mruczy, po czym podsuwa zwinięty materiał prosto pod mój nos.

– Ale co to jest?

– Nie pytaj, tylko zobacz. A najlepiej od razu wkładaj, bo się rozmyślę.

Odrzuca włosy na bok, siada na krześle i zakłada nogę na nogę. Czeka.

No dobra, jak mus to mus. Zerkam na materiał, rozwijam go. Widzę szare futro, łapy, nogawki i... imitację zwierzęcego łba.

– Mam się przebrać za wilka? Serio?

– Mhm. – Ruda szczyrzy się do mnie, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. – Z wilkiem jeszcze tego nie robiłam.

Widzę, że trafiła mi się nieźle szurnięta laseczka, ale mam to gdzieś. Jestem tak napalony, że zgodziłbym się na wszystko, byle tylko wreszcie rozłożyła nogi. Chciałoby się rzec: „ciągnie wilka do lasu”.

– Jeśli się wstydzisz przy mnie, możesz wejść między wieszaki z kostiumami – proponuje.

Wstydzę się, też coś. Ale wchodzę między te śmieszne wieszaki. Głupio tak jakoś ściągać skarpety, gdy ona siedzi naprzeciwko i się gapi.

– Tylko do golasa! – krzyczy, kiedy znikam wśród strojów księżniczek i czarodziejów. – Chcę cię w samym futerku.

Ściągam koszulkę oraz spodnie. Będę wyglądał jak pajac, ale chuj z tym. Zrobię, czego ruda oczekuje, a potem to ona spełni moje zachcianki. Zdejmuję bokserki i wskakuję w skórę wilka, żeby mieć to czym prędeż z głowy.

– Gotowy?

– I to jak!

– To teraz mnie znajdź. – Słyszę spomiędzy wieszaków.

Co? Kolejne gierki? Żeby tylko nie kazała mi wyć do księżycy.

Czekaj no, pastereczko, niech ja cię dopadnę. Już się nie wykręcisz, za chwilę będziesz moja.

Stawiam nieporadne kroki, bo wilcze łapy są duże i zakończone długimi pazurami ze skaju. Wyłaniam się z jednego korytarza ciuchów i zaglądam w drugi. Nie ma jej tam, ale na końcu widzę delikatnie falującą szatę Harry’ego Pottera. Myślę sobie, że zdybię rudą z zaskoczenia, jeśli nagle zmienię kierunek pościgu. Skradam się najciszej, jak mogę, wypadam z głośnym „rrraaau” i podniesionymi łapami. I kolejne pudło.

– Gdzie jesteś, cukiereczku? Wilk zaraz cię dopadnie, bo jest bardzo głodny. Nie każ mu dłużej czekać.

Nie odpowiada, co jakiś czas słyszę tylko jej chichot. Wchodząc w kolejne rzędy ciuchów, dostaję zawrotów głowy. Jest mi duszno i niewygodnie. Zaczyna mnie to coraz bardziej wpieniać. Chyba jednak nie jestem gotów na wszystko, więc albo się pieprzymy jak normalni ludzie, albo niech ta wariatka sama się pieprzy.

Człapię coraz szybciej, żeby zakończyć tę farsę. Przez minimalną szparę w wilczym łbie migają mi kolejne kostiumy. Wydaje mi się, że zaczynają tańczyć na wieszakach, ożywają i czepiają się mnie, nie pozwalając iść dalej. Odpycham je od siebie jak natrętne muchy. Zaczynam mieć dość tej zabawy. Do tego zacina się zamek i nie mogę zdjąć z głowy cholernego wilczego łba. Chcę usiąść na krześle przy biurku i odsapnąć, ale wąskie przejścia między wieszakami nie mają końca. Odnoszę wrażenie, że jestem w jakimś pieprzonym labiryncie. Coraz trudniej mi oddychać, zaczynam panikować. Co się, do cholery, dzieje?

Padam na kolana. Dyszę. Gdzie ona jest? Próbuję ją wołać, żeby mi pomogła,

ale uświadamiam sobie, że nie znam jej imienia. Jednak nawet gdybym znał, nie potrafię poruszyć ustami, a głos więźnie mi w gardle. Świat powoli znika. Odpływam.

Budzę się przegrzany, a raczej spocony jak świniak. Dookoła tylko cisza i ciemność. Wyteżam wzrok, a po chwili widzę własne wyrko, ceglana tapetę oraz niebieską poświatę bijącą od elektrycznego zegarka na szafce nocnej. Jestem w domu. Serce jeszcze przez jakiś czas mi łomocze, a w gębie suszy jak po grubym melanzu.

Więc to był tylko sen, jakiś pierdolony koszmar. Wystarczająco straszny, żeby odechciało mi się schadzki z rudą. Na samą myśl o przekroczeniu progu tej dziadowskiej wypożyczalni dostaję dreszczy. Nie, żebym nie żałował, ale jak to się mówi: „tego kwiatu jest pół świata”. Nie ta, to będzie następna. A tymczasem trzeba by skoczyć do wodopoju. Chyba mam jeszcze browar skitrany w lodówce na czarną godzinę.

Ledwo się wygrzebuję z pościeli. Gruba, puchowa kołdra majta mi się pod łapami, płacze bez ładu i składu, wkurwia jak nie wiem co. Ostatecznie skopuję ją na podłogę. Przysiadam na brzegu łóżka, po tej samej stronie, gdzie zwykle zalega Hanka.

Gdzie tę babę znowu wywiało? Pewnie strzeliła focha, bo chrapałem, albo przeniosła się do pokoju Wojtka, żeby ululać go do snu. Tak jakby chłopak nie był już dostateczną ciapą.

Parskam i wstaję. Świat kołysze się na boki, a ja razem z nim niczym nedorobiony linoskoczek. Mam fazę jak na ostrym kacu, ale przecież nie piłem niczego mocnego. Może to z przemęczenia. Bo nie dość, że robota, to jeszcze jakieś jeżdżenie po mieście za durnym kostiumem.

Sunę ręką po ścianie, wychodzę przez uchylone drzwi do pogrążonego w półmroku przedpokoju. Mijam pudło z rzeczami ojca, które miałem znieść do piwnicy. Nie zauważam kilku kolejnych kartonów, pewnie dodatkowo uszykowanych przez moją kochaną żoneczkę. Potykam się o jeden z nich, tracę równowagę i rozciągam się na podłodze jak długi. Jeszcze centymetr, a rozbiłbym łeb o szafę i przy okazji stłukł lustrzane drzwi, na które wybuliłem małą fortunę.

Przeklinam pod nosem. Próbuje się podnieść, ale wychodzi mi to raczej kiepsko. Nogi rozjeżdżają się pode mną, ślizgam się na parkiecie, robię rabanu za dwóch. Zaraz zacznie się psioczenie, że spać nie dają. Muszę się wreszcie pozbierać do kupy.

Już prawie stoję, kiedy moje zmagania przerywa zapalone światło.

- Mamusiu? Mamusiu, tam jest... - Głos Wojtka nagle się urywa.

Obracam głowę, usiłuję zerknąć na syna, a przy tym utrzymać pion. Stoi przestraszony w drzwiach swojego pokoju w pelerynie Kapturka. Wygląda zza nóg Hanki, sztywnej, rozstawionej w progu niby klubowy bramkarz. W groszkowej piżamie. Ze strzelbą wymierzoną prosto we mnie.

Śmiechu warte.

- Hanka, co ty odpierdalasz?! - warczę.

Nie odpowiada. Jest bliska płaczu. Nie spuszcza ze mnie wzroku, a jej broda zaczyna drżeć. Coś z nią nie tak. Może dowiedziała się o moich planach z rudą, ale jak, kiedy? Gadałem przez sen czy co?

W końcu odsuwa od siebie Wojtka, wpycha go w głąb pokoju i zamyka drzwi. Unosi łufę na wysokość oczu, a ja odwracam się, żeby zwiać przed tą świruską do łazienki. I właśnie wtedy dostrzegam w lustrze swoje odbicie.

To niemożliwe.

Patrzę na mnie dwa niebieskie ślepia osadzone w szarym futrze pyska.

Próbuję wydać głos, odezwać się do Hani, ale stać mnie jedynie na żalony skowyt.

Ostatnie, co słyszę, to huk ojcowskiej strzelby.

Oparta o parapet starego okna obserwowała tętniącą wieczornym życiem ulicę. Padał deszcz. W strugach spływających po szybie rozmywały się światła przejeżdżających samochodów, wyglądające jak błędne ogniki albo zagubione dusze nieszczęśników.

Obok, na niewielkiej szafce, woda w elektrycznym czajniku dochodziła do wrzenia, a na ażurowej serwetce czekała już filiżanka. Gdy włącznik czajnika głośno odbił w górę, wyrwana z zamyślenia zalała liście herbaty, po czym dodała odrobinę przezroczystego płynu z karafki. Aromat rumu wypełnił całe pomieszczenie. Zebrała rękoma rude loki i za pomocą ołówków spięła je w luźny kok. Zaciągnęła ciężkie zasłony, chwyciła parującą filiżankę i podeszła do biurka. Przykryła mieniącą się fioletowym światłem szklaną kulę, przesunęła ją w narożnik, a na jej miejscu ustawiła paterę z pierniczkami w czekoladzie. Gdy tylko rozsiadła się w miękkim fotelu, pozwoliła kotu wskoczyć na kolana. Nie przeszkadzał jej, był przyjemnie ciepły, a mruczenie wprawiało ją w ekstatyczny stan, ładowało utraconą w ciągu dnia energię.

Pochyliła się nad gazetą, którą tego ranka dostarczył listonosz. Przekartkowała ją pobieżnie, omijając nieistotne nagłówki, jakby od początku wiedziała, czego szuka. Zatrzymała się na szóstej stronie. Na piegowatej buzi zagościł uśmiech. Siorbnęła gorącego płynu i zabrała się do czytania.

Bestia w wielkim mieście

Do niecodziennego zdarzenia doszło wczorajszej nocy na osiedlu Przyjaźni. Zbudzona dziwnymi odgłosami trzydziestodwulatka odkryła, że w jej łóżku znajduje się dzikie zwierzę. „Z początku myślałam, że to chrapanie męża, ale kiedy zapaliłam lampkę, zobaczyłam wilczy pysk” – opowiada z przejęciem poszkodowana. Wedle jej relacji zaraz po wymknięciu się z pomieszczenia poszła po starą strzelbę teścia, której szczęśliwie nie zdążyła znieść do piwnicy. Gdy zwierzę wyłoniło się z sypialni i zaczęło warczeć na nią oraz syna, dzielna kobieta oddała celny strzał, a po wszystkim niezwłocznie zadzwoniła na policję. Wciąż nie wiadomo, jak bestia znalazła się w bloku. Mieszkańcy osiedla są bardzo zaniepokojeni...

Nie czytała dalej. Chwyciła duże krawieckie nożyce i starannie wycięła artykuł. Wstała gwałtownie, strącając z kolan kota. Podeszła do regału. Przesuwała wskazujący palec po kolejnych etykietach: „Faktury zakupu”, „Rachunki”, „ZUS 2018”, „Umowy najmu 1918–2019”. W końcu zatrzymała się przy najgrubszym z napisem „Bajki różne”. Sięgnęła po niego i z trudem rzuciła na biurko. Podniósł się kurz, którego pozbyła się jednym dmuchnięciem.

Z powrotem usiadła w fotelu, pociągnęła spory łyk herbaty, przegryzła pierniczkiem i otworzyła segregator na ostatniej wypełnionej koszulce. Znajdował się w niej pożółkły artykuł z lokalnej gazety, a jego nagłówek głosił: „Rodzice 4-letniego Jasia i 9-letniej Małgosi pozbawieni praw rodzicielskich”. Ostrożnie włożyła świeżo wyciętą stronę w pustą koszulkę i z satysfakcją zamknęła skoroszyt.

Niemal w tej samej chwili zadzwieczał dzwoneczek. Do wypożyczalni wpadł facet w perfekcyjnie skrojonym, granatowym garniturze, z telefonem przy uchu. Tak głośno trzasnął drzwiami, że leżący pod biurkiem kot momentalnie czmychnął na zaplecze.

– Stary, skąd mogłem wiedzieć, że jest nieletnia? Poza tym gównu mnie obchodzi jej zapalenie płuc, od początku wiedziała, na co się pisze. – Stał pod ladą, nie odrywając komórki od ucha. – Tak, wiem, ale przecież mówiłem na spotkaniu, że będzie siedzieć przed cmentarzem do późnego wieczora i sprzedawać te pieprzone znicze i zapałki do oporu. Mogła się cieplej ubrać...

Kobieta spokojnie czekała, aż klient zakończy rozmowę, choć wcale się na to nie zanosilo. Mężczyzna nawet nie nawiązał z nią kontaktu wzrokowego, tylko rozsiadł się na krześle, nonszalancko oparł o blat łokciem i mówił dalej:

– No ba. Nie moja wina, że się rozpadało. – Przełożył telefon do drugiego ucha, a wolną ręką zaczął grzebać w kieszeni. Wyciągnął z niej papierosa i włożył go do ust. – Swoją drogą, chyba wchodzę w ten cmentarny biznes na stałe. Chłopie, w życiu bym nie pomyślał, że na zapałkach jest takie potworne przebicie. O świeczkach czy sztucznych wiechciach nawet nie wspomynam

– powiedział z ekscytacją, po czym wrócił do przetrzepywania kieszeni, najpewniej w poszukiwaniu ognia. – No, a tę małą trzeba będzie przekupić, żeby siedziała cicho. Jeszcze mi tylko inspekcji pracy brakuje na głowie. Wiesz, jak to jest z młodymi siksami, więcej hysterii niż pożytku. Dlatego wziąłem sobie ryczącą czterdziestkę, nie? – Zarechotał basowo.

Kobieta zza biurka chrząknęła znacząco, co umknęło uwadze klienta.

– Tu nie wolno palić – wtrąciła wreszcie.

Elegancik uniósł dłoń w przeproszającym geście i rzucił do telefonu:

– Sorry, nie mogę gadać, jestem w sklepie ze strojami. Taaa, na tę imprezę u Filipa. A ty z Karolą będziecie? Za kogo się przebieracie?

Przytaknął jeszcze parę razy, zaśmiał się i pożegnał. Potem klikał coś na klawiaturze komórki i dopiero gdy skończył, obrócił się przodem do kobiety, po czym błysnął zębami.

– Dobry. Szukam czegoś dla siebie i dziewczyny. Wie pani, coś wystrzałowego, tak żeby było śmiesznie i seksownie. – Puścił do niej oko. Naprędce rozejrzał się po wypożyczalni i zerknął na wieszaki w oddali. – O, może dla niej ta pasteczek. Chociaż sam nie wiem. – Potarł podbródek. – Doradzi coś pani?

Przytknęła palec do ust, zmrużyła oczy i uśmiechnęła się lekko.

– Chyba znajdę coś w sam raz dla pana...

Anna Stańczyk

Rodowita zielonogórzanka. Socjolog i grafik komputerowy w jednej osobie. Autorka thrillera kryminalnego *Gniazdo*. W wolnych chwilach bawi się krótkimi formami, jak opowiadania, miniatury, drabble czy haiku. Miłośniczka sagi o wiedźminie i tolkienowskiego świata, fanka ciężkich brzmień, gier komputerowych, kotów i wszystkiego, co choć na chwilę zakrzywia rzeczywistość.

Agnieszka Markowska

Mieszkanka miasta z morza i marzeń. Autorka powieści fantastycznej *Czas Niepogody* oraz prelekcji *Bestiariusz pisarski, czyli jak oswoić wewnętrznego krytyka*. Prywatnie wielbicielka gier komputerowych i wszelkich motywów związanych z druidami lub zmiennokształtnością.

Spowiedź Ludgardy

Magdalena Anna Sakowska

Opowiadanie zostało wyróżnione w Pigmalionie Fantastyki w 2020 roku.

Anno Domini 1296, 8 lutego

Przyglądałam się Przemysłowi tym niewidzącym wzrokiem kogoś, kto zna wszystkie jego pieprzyki na skórze, ukryte znaczenie zmarszczek na czole oraz wstydlive myśli kryjące się za nieskazitelnym uśmiechem – patrzyłam na niego wzrokiem żony. Za plecami czułam chropowatość ściany, a na twarzy cień chowający mnie przed oczami biesiadników. Czekałam.

Przemysł, pijany w sztok, zatoczył się i oparł o krzesło, tracąc nieco ze swojej monarszej godności, ale zdawało się, że nie ma nic przeciwko temu. W końcu były zapusty i dobremu chrześcijaninowi oraz przykładowemu władcy nie wypadło nie świętować pełną gębą, w sensie zarówno ścisłym, jak i metaforycznym. A on był królem Polski. Co prawda, jego Polska składała się na razie tylko z dwóch zjednoczonych dzielnic, ale jakże lubił brzmienie tych słów: „jego Polska”. Planował, że już wkrótce zjednoczy więcej ziem, a młodość i ambicja podpowiadały mu, że czeka go wielka chwała. Królował dopiero dziewięć miesięcy i przypominał dziecko, które rozwija się w łonie matki – jeszcze nie w pełni wyklute, trochę nieporadne, ale już mające wielkie nadzieje.

Kolędnicy, również pijani, tańcowali i śpiewali przed swoim królem. Musieli być dla niego już tylko płynnym wirem – kolorową, bełkotliwą wizją. Przemysł skrzywił się, wypadł z izby i zbiegł po schodach na podwórze. Podążyłam w ślad za nim w samą porę, by zobaczyć, jak zwraca tłustą kolację.

Rzeńskie powietrze uderzyło mnie w twarz, stałam po kostki w śniegu, rozkoszując się kłuciem mrozu na policzkach. To mogła być właściwa chwila: ta, na którą czekałam. Moment, w którym wreszcie pozbawię go życia.

Zbliżyłam się o kilka kroków, pilnując, by przedwcześnie nie spłoszyć ofiary.

Pozwoliłam mu się zauważyć, popatrzyłam, odchylając zalotnie szyję, dokładnie tak, jak lubił. Powinien był wyczuć podstęp.

Podszedł, ujął moją brodę i odchylił ją lekko do tyłu, przesuając wolno dłonią po szyi. To był wspaniały władczy gest i przez chwilę, przez ułamek sekundy, znów byłem jego. Na młodym królu uległość nie robiła jednak najmniejszego wrażenia, przywykł do kobiecych względów. Bogaty i potężny, miał już wcześniej dwie żony, a teraz trzecią ogrzewał w łożu; dwórki nieustannie słały mu wzrokiem zaproszenia do swoich komnat – to już znał, to już zdążyło mu się znudzić.

Złowiłam błysk łowczego w jego oczach.

Wyrwałam się i zaczęłam uciekać, zanosząc śmiechem. Pogoń sprawiła mi przyjemność – pachniał już nie tłustą kolacją, lecz świeżym potem i ekscytacją, co mogłam wyczuć dzięki wyostrzonym zmysłom. Potykał się w śniegu, biegł na oślep, czuł, jak wstępują w niego nowe siły, a wypity alkohol wyparowuje z głowy. Pragnął mnie.

Przyznaję – ta świadomość dawała mi rozkosz. Ale nie równie wielką jak ta, która czekała na mnie za chwilę.

Kiedy wreszcie pozwoliłam się doścignąć, Przemysł przycisnął mnie do drzewa i zaczął obdzierać z szat, jak obiera się te egzotyczne owoce, z których tak łatwo wycisnąć sok...

– Jesteś mój?

– Jestem!

Czułam, że mówił szczerze. Równie szczerze jak wówczas, gdy przyrzekał mi wierność przed ołtarzem pańskim. Równie szczerze, jak gdy przyrzekał swojej następnej żonie. I równie szczerze, jak szeptałby czułe słowa do ucha łąziebnej przyszłej nocy. Lecz nie, następna noc dla niego miała już nie nastać.

Ugryzłam go w policzek, kilkudniowy zarost zakuł w wargi, słoność krwi i potu rozlała się w ustach.

Niespodzianka, najmilszy.

Próbował się odsunąć, ale przytrzymałam go i przycisnęłam do siebie jeszcze mocniej, w nowej postaci byłam znacznie silniejsza od jakiegokolwiek mężczyzny. Poczułam, jak napręży mięśnie, by wyrwać się z uścisku.

– Jeszcze niedawno przegrywałam z tobą w każdych zapasach – roześmiałam się. – A teraz proszę: jesteś jak dziecko szamoczące się w ramionach ojca!

Zanurzyłam zęby w jego szyi. Usłyszałam, jak ścianki tętnicy poddają się z cichutkim chrzęstem, a potem ciało Przemysła zaczęło drętwieć, aż wreszcie tylko ja mogłam je podtrzymać. Puściłam.

– Nie poznajesz?

– ...Ludeczka? – Wybałuszyl oczy jak pierwszy lepszy chłop na widok zmory.

– Przecież ty nie żyjesz!

– Owszem, dzięki tobie. Poczekaj, już za chwilę zobaczysz, jak to jest.

– Patrzyłam na krew płynącą z szyi, oleistą i karmazynową, mogłam się założyć,

że smakowałyby jeżynami. Pragnęłam rzucić się na kolana i zlizywać ją ze śniegu. Boże, cóż to byłaby za rozkosz!

– Gdybym zaczęła pić, stałbyś się taki jak ja: więzień pomiędzy światami, niezdolny się zestarzeć, mogący tylko wieszczyć nieszczęścia i upiornym krzykiem sprowadzać zarazy. Ale to byłaby zbyt łagodna kara. Więc pozwolę, by twoja krew, zamiast we mnie, wniknęła w tę chędożoną ziemię, którą tak bardzo ukochałeś. Już teraz czujesz, jak twoje serce zwalnia, jak kręci ci się w głowie, a przed oczami krążą niewyraźne cienie. Za chwilę staniesz się bezcielesnym bytem, który ni Boga nie może błagać o przebaczenie, ni w żaden inny sposób własnej woli wyrazić nie zdoła. I taki będzie twój koniec, żonobójco!

Zakwilił z przerażenia, a ja przytrzymałam mu twarz, by spojrzeć w powiększone źrenice. Całe jego dotychczasowe istnienie stanowiło akt niepohamowanej woli i żywotności, a teraz miał zostać pozbawiony nawet cienia tego, czym był jeszcze przed chwilą. Tak, wiedział, że słusznie otrzymuje karę. I miał czas, żeby w pełni pojąć grozę. Zupełnie jak ja wtedy.

Czy wiecie, co dzieje się z człowiekiem wyrwanym ze snu, bo ktoś zaciska dłonie na jego krtani? Ile to trwa, zanim straci się przytomność? Ile myśli zdąży przyjść do głowy? Nawet dobrej, bogobojnej niewieście.

Dobrze pamiętałam tamtą noc, gdy przyszedł mnie zabić. Ciemność, lęk, nienawiść. Wszystko najgorsze, co kiedykolwiek o sobie pomyślałam, nagle stało się prawdą, wypełzło z myśli spychanych na co dzień poza obręb świadomości. Tak właśnie czuje się ktoś, kto umiera nagle, a długo. Mimo iż zmawiając pacierz wieczorem, sądziłam, że pójdę do nieba.

– Ty nicpoto, nie mogłeś mi po prostu sztyletu w serce wsadzić?

– Nicpoto? – parsknął. – Ludeczka, ty nawet przekląć porządnie nie potrafisz. Żadna z ciebie wieszcyca, a wciąż panna z dobrego domu, jaką wzięłam ze Szczecina. Powiedz raczej: „ty pohańcu sprośny, ty kurewniku, bodaj byś gnój żarł”. No co, przez usta ci nie przejdzie? Takie groźne usta, pełne ostrych ząbków...

Udawał dzielnego. Nawet w takiej chwili. Nie zatracił się w grozie. Naraz zrobiło mi się go żal, a on spojrział na mnie ze zrozumieniem: tak, jak mąż patrzy na żonę.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy po raz pierwszy...? – zapytał. – Od razu wiedziałem... nawet o posag wuj się specjalnie nie targował. Pamiętasz, co wtedy mówiliśmy? – wyrzucał z siebie słowa, świadomy, że nie zostało mu wiele czasu. – Cały świat miał być nasz.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie pamiętam.

– Kochałem cię. – Posmutniał. – Tamto... to, to było tylko... wiesz dlaczego.

Tak, wiedziałam.

– Ale teraz nieważne – dodał szybko – teraz możemy być razem. Pij moją

krę! Zobacz, jaka jest świeża! A kiedy uczynisz mnie podobnym do siebie, spłodzimy wiele demonów. Nareszcie dam ci dzieci, o których marzyliśmy. Już nigdy cię nie opuszczę. Jestem twój! Przysięgam.

Stałam długo w milczeniu, słuchając bicia własnego umarłego serca.

Przyglądałam mu się w milczeniu. Oczywiście, próbował się wykpić od strasznego losu, ale ja tak bardzo chciałam, by jego słowa były prawdziwe. Pragnęłam tego nawet bardziej niż utraconego nieba. Ale nie mogłam mu wierzyć. Już raz przecież zdradził. Zrobił to dla tej drugiej, tej suki. Nie mogłam dać mu następcy tronu, a ona go potrzebowała.

Poczułam, jak mrowieją mi same koniuszki palców, widomy znak, że zbliżała się wizja. Przymknęłam oczy. Obrazy były niejasne. Widziałam ją i jej szczęście. Z całych sił zapragnęłam je zniszczyć i odkryłam, że mogę. Pod naciskiem mojej woli, tamtej nocy silniejszej niż kiedykolwiek przedtem, obrazy zaczęły się zmieniać.

– Dobrze – odparłam wreszcie Przemysłowi. – Stawiam tylko jeden warunek. Zważ jednak, że jeśli się zgodzisz, Bóg wszechmogący, który nie chciał mnie w niebie, nie pozwoli ci złamać obietnicy. To jedno jest mi jeszcze winien.

Przemysł skrzywił się z niechęcią, ale kiwnął głową.

– Jaki?

– Prosty. Ta twoja Polska... – wieszczyłam – nigdy nie stanie się wielką. Przejdzie przez nią dziejowa zawierucha, niszcząc cokolwiek tam ludzie zbudują. A ty będziesz patrzył. Sąsiedzi rozedrą ją na strzępy. A ty będziesz patrzył. Sojusznicy sprzedadzą ją najgorszym wrogom. A ty będziesz patrzył. Jeśli kiwniesz choć palcem, by jej pomóc, by zmienić bieg dziejów – rozplynie się w niebycie. Jakbyś nigdy nie istniał.

Spojrzał na mnie. I zawahał się.

Naprawdę się zawahał.

Wreszcie, kiedy serce Przemysła niemal przestało pracować, kiwnął głową i przymknął powieki, a ja rzuciłam się na ziemię i zaczęłam pić. Chłptałam łapczywie, zlizywałam z szyi, jadłam garściami nasączony juchą śnieg. Smakował letnim dniem w lesie i jeżynami, smakował miłością.

Pomyślałam wówczas: jestem Ludgarda Meklemburska, córka Henryka i Anastazji. Wierzę w Boga Wszechmogącego, który zesłał na mnie sprawiedliwą pokutę.

Anno Domini 1919, 3 kwietnia

Znów były zapusty. Minęło sześćset dwadzieścia trzy lata i znów był karnawał. Może nie w sensie formalnym, ale z pewnością w sensie faktycznym. Polska właśnie odzyskiwała niepodległość, a powstanie wielkopolskie było jednym z niewielu prawdziwie zwycięskich. Cały Poznań cieszył się jak głupi.

Tak, wciąż mieszkaliśmy na plugawej poznańskiej ziemi. Wieszczyce i wieszczki nie lubią zaledwie oddalać się od miejsca swojego pochówku i my również nie pomyśleliśmy nawet, by odejść gdziekolwiek indziej. Szkoda, być może wówczas wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Na przestrzeni wieków nosiliśmy dziesiątki personaliów, do perfekcji doprowadziliśmy sztukę znikania bez wieści – długowieczność miała też swoje wady – mili ludzie, którzy nagle orientowali się, że od lat nie postarzałam się ani o jotę, bardzo szybko przestawali się zachowywać jak mili ludzie, a w niektórych przypadkach – w ogóle jak ludzie.

Przemysł dotrzymywał słowa: patrzył, jak Rzeczpospolitą najeżdżają Tatarzy i Krzyżacy, jak Szwedzi przelewają się przez jej ziemie niczym szarańcza, jak politykujący szlachcice okaleczają ją dla własnych korzyści, jak Rosja, Niemcy i Austria odsyłają w niebyt – i nie uczynił nic, by jej pomóc.

Mimo wszystko nie miałam pewności. Jeszcze za życia znany był ze swojej cierpliwości, latami potrafił czekać na nadarzącą się sposobność do przejścia kolejnej dzielnicy i doskonale wyczuwał sprzyjające okoliczności. Co dopiero teraz, gdy przeżył setki lat, zobaczył tysiące wynalazków, potrafił dostrajać umysł do zmieniającej się mentalności. Więc nie: nie przekonałam się jeszcze, czy bardziej kocha mnie, czy tę drugą.

Ze swojej strony robiłam to, co może robić kobieta: zakładałam stroje, chodziłam do fryzjerów, doskonaliłam się w sztuce uprawiania miłości. Zakładałam suknie w chyba każdym możliwym kroju, miałam wszelkie możliwe upięcia włosów, a w łóżnicy wykorzystywałam każdą pozycję znaną cyrkowcom i ladacznicom.

Jedno, czego nie udało mi się zrobić, to dać mu potomka, mimo że teoretycznie było to możliwe. Ale Przemysł, teraz nieobciążony obowiązkiem przedłużenia dynastii, zdawał się zbytnio tym faktem nie przejmować.

Przeżyliśmy razem wiele miesięcy miodowych, cichych dni, potłuczonych sprzętów, kwiatów na przeprosiny oraz tych szarych zwykłych poranków, które spajają bodaj najmocniej. A jednak, z każdym dniem coraz bardziej czułam się jak narzeczona, która, kładąc się spać, przeczuwa, że następnego dnia zostanie porzucona przed ołtarzem. Coś było nie tak. I już wkrótce miałam się o tym przekonać.

Zaprosili go na jeden z tych rautów, gdzie bywały same elity i do białego rana dyskutowały o nic nieznaczących sprawach. Jak zwykle nie chciałam iść, ale tym razem uparł się, żebyśmy zjawili się razem. Wszędzie w Polsce było wówczas wielkie święto.

Spowiedź Ludgardy

– No chodź, chociaż ten jeden raz – gderał. – Przedstawię cię jako... jakoś i poszalejemy, będziemy pić szampana.

– Idź sam – odparłam. – Ja nie rozumiem tego świata, nudzą mnie ich rozmowy. Spojrzał na mnie jakoś tak ukosem i rzekł:

– Ty nie rozumiesz? Ludka, za idiotę mnie bierzesz? Oboje słyszymy urywki myśli, wychwytyjemy szelest przyszłości, czasem potrafimy nawet zagiąć jej delikatne liście, ale, Bóg mi świadkiem, wyprzedzasz mnie o trzy długości, na kogo spojrzysz, od razu wiesz, o czym myśli i czego pragnie. Czasem mnie to nawet przeraża.

Poszliśmy. Razem. Jeśli żyje się z kimś setki lat, nieczęsto słyszy się coś nowego czy godnego uwagi. Ale kiedy już taki moment się zdarzy, wówczas... naprawdę się słucha.

Szliśmy przez brukowane ulice oświetlone latarniami gazowymi, mijając spóźnionych ojców spieszących do domów, później wsiedliśmy nawet do jednego z tych elektrycznych węży. Dotarłszy do Pałacu Działyńskich, wspieiliśmy się w górę schodów, trzymając za ręce jak podlotki.

Na wysokości drugiego piętra w nozdrza uderzył mnie zapach środków czystości oraz trudnych do zidentyfikowania chemikaliów.

– Co to? – wskazałam na salę pełną łóżek.

– Lecznica. Heliodor prowadzi tu swoją praktykę.

O Heliodorze Świącickim, naszym gospodarzu tamtej nocy, wiedziałam niewiele: że wydaje elitarne „wieczory czwartkowe” i jest członkiem lokalnej śmietanki towarzyskiej. A teraz jeszcze to, że utrzymywał się z leczenia, najpewniej swoich zamożnych przyjaciół.

– No tak – skonstatowałam, patrząc na pustą smutną salę. – Patrz, w zdrowiu bogacze otoczeni są wianuszkami stronników, ale w chorobie są jak każdy inny: śmierdzi od nich strachem i samotnością.

– To nie są bogacze – odparł Przemysław głucho. Niestety, jego myśli nie potrafiłam czytać.

– Więc kto?

– To lecznica dla ubogich.

Weszliśmy do rozświetlonej sali, urządzonej w stylu Ludwika XV, której parkiet błyszczał jak tafla jeziora. A jednak z rzadka na nim tańczono. Ci przedziwni ludzie używali go, by mieć gdzie postać i porozmawiać.

Przemysław powiódł mnie od razu w stronę gospodarza, po drodze mijając wiele znamienitszych osób, co wywnioskowałam z buchających wokół nas obłoczków oburzenia.

– Witajcie, przyjaciele. – Mężczyzna z zakręconym wąsem wyciągnął ku Przemysłowi dłoń, ale ten zignorował ją i objął go serdecznie. Serdecznie! Król Polski ścisnął felczera w koszuli poplamionej jodyną.

– Ludka, poznaj profesora Święcickiego, rektora Wszechnicy Piastowskiej i znakomitego lekarza.

Skinęłam głowę.

– Profesor... rektor... w czym się pan specjalizuje? Kardiologia? Chirurgia?

– Ja? – Poskrobał się po brodzie. – Jestem ginekologiem.

– Nie słyszałam o takiej specjalizacji.

– Dbam, by dzieci przychodziły na świat zdrowe, a kobiety cieszyły się satysfakcjonującym życiem oraz... pożyciem.

Rektor uniwersytetu zajmujący się żeńskim przyrodzeniem? Ośłupiała wybałuszyła oczy, co Przemysł skwitował głośnym śmiechem. Nim wydusiłam jakąkolwiek odpowiedź, mężczyźni już pograżyli się w rozmowie:

– ...mam wieści ze stolicy.

– Mówże Heluś! Jakie?

– Pomyślne. Przybędą, mamy już prawie całą obsadę ... tak bardzo brakuje nam ludzi. Wyjechali nauczyciele, dziennikarze, lekarze... Jeśli zaraz nie ściągniemy do siebie inteligencji, to...

– Ale też nie można ściągnąć zbyt wielu. Wiesz, kto to będzie? Gołe antki, Galicoki. Co tacy wiedzą o kulturze, o pracy, o Poznaniu?

Przemysł wziął „Helusia” pod rękę i oddalili się, zostawiając mnie na środku parkietu. Gdzieś w oddali huknął korek od szampana.

Mrugając od nadmiaru cygaretkowego dymu, rozejrzałam się po zgromadzonych i wsłuchałam w ich myśli. Nie wierzyli w Boga. Przynajmniej nie tak, jak myśmy kiedyś wierzyli. Owszem, chodzili na mszę i dawali na zapowiedzi, ale wszystko to jakoś jakby „półgębkiem”. To, do czego naprawdę mieli serce, to był człowiek. Wierzyli w człowieka. W filantropię, ciężką pracę i bezinteresowną pomoc, w to, że da się własnymi siłami naprawić świat. I jeszcze w poezję. W życiu nie widziałam tylu poetów, co na tamtej sali. Namnożyli się jak grzyby w krypcie.

– Przepraszam szanowną panią. – Dobiegł mnie tubalny głos. – Ale czy zechciałyby pani potrzymać ten oto kieliszeczek? – zapytano, po czym wciśnięto mi w dłoń lampkę wina. – O, świetnie, jak naturalnie leży pani w dłoni! A teraz, czy zechciałyby pani dopełnić rytuału i unurzać usta? Wino, którego nikt nie pije, gorzknieje!

Spróbowałam.

Było oleiste, ciężkie i kojarzyło się z tamtym, zakazanym smakiem jeżyn. W przeciwieństwie do wieprzka, czy dzikiego łabędzia, krew człowieka ma w sobie aromat owoców lasu i przyjemną, torfową ciężkość wina.

Krew wieprzka, czy dzikiego łabędzia smakuje bardziej jak alpaga.

– Nazywam się Franc Fiszer. – Brodaty olbrzym patrzył na mnie z wysoka jak Bóg Ojciec. – Proszę wybaczyć natarczywość, ale nagle poczułem się samotny wśród tych wszystkich ludzi, a pani tak dobrze z oczu patrzyło.

Kłamał. Nie patrzyło mi z oczu dobrze, lecz smutno.

– Nikogo tu nie znam.

– Doprawdy? Zupełnie, a to zupełnie nic pani nie traci. Ale dla czystego kaprysu, powiedzmy coś o kilku osobach z brzegu. Kobieta stojąca w rogu to Zofia Nałkowska. W krótkich przerwach pomiędzy przygodami erotycznymi pisuje znakomite wiersze; tuż za nią, lekko przygarbiony jegomość to Ignacy Paderewski, a to, co spoczywa mu na barkach to odpowiedzialność za losy kraju; dziewczę, które bez przekonania z nim flirtuje to...

– A ten cały Heliodor?

– Heluś? A co z nim?

Wskazałam głową w głąb sali, gdzie mężczyźni, z wypiekami na twarzy, pochylali się nad jakimiś papierami.

– Próbują zmajstrować uniwersytet.

– Przecież jeden już jest.

– Jest. – Franc machnęła ręką jak niedźwiedź łapą. – Ale ichni, obcy, a ten ma być nasz. Od tego ma się wszystko zacząć: odbudowa kraju, ferment intelektualny, wolność.

– Oczywiście, pan też jest... patriotą? – Ostatnie słowo wypłynęło z ust jak muchę, która wleciała między zęby.

– Ja? – Poglądził się po wydatnym brzuchu, poskrobał w łysiejacą czaszkę.

– W dzisiejszych czasach każdy jest patriotą, ale, jeśli dobrze rozumiem istotę pytania, odpowiedź brzmi: nie. Widzi pani, z bagnetem w ręku wybitnie mi nie do twarzy.

– Zatem: praca u podstaw?

– Broń Boże. – Energicznie zamachał obiema rękami. – Nawet najbardziej zazarci wrogowie nie ośmielą się zarzucić mi, że uczciwie przepracowałem choćby jeden dzień.

Mówił szczerze.

A ja poczułam do niego ogromną sympatię.

– Och, a więc pan też czuje się tutaj nie na miejscu? Pan również nie rozumie wszystkich tych działaczy? Czy pan również sądzi... – Po raz tysięczny powtórzyłam to „również”. – ...że granica kraju to tylko linia wytyczona na mapie?

– Nietuzinkowe podejście, muszę przyznać. – Przyjrzał się moim drgającym

wargom, zupełnie jakby też potrafił czytać myśli. – Linia wytyczona na mapie może i jest umowna, ale podział, całkiem realny.

– Co pan ma na myśli?

– Granicę oddzielającą przyjaciela od wroga, nas od nie-nas. Bardzo tego potrzebujemy, bo inaczej skąd wiedzielibyśmy, gdzie „my” się zaczynamy, a gdzie kończymy? W ten sposób rozumując, wywnioskować można nawet, że dobry wróg potrzebniejszy jest niżli pośledni przyjaciel.

Brzmiało to wszystko niedorzecznie, a mimo to mój rozmówca mówił z wielkim przekonaniem.

– Czy pan sobie ze mnie żartuje? – spytałam, zbyt wzburzona, by sięgnąć do jego myśli. – A może jest pan jednym z tych ludzi, którzy nigdy nie mówią poważnie?

– Lepiej, szanowna pani – odpowiedział ze śmiertelną powagą. – Jestem filozofem.

– Miałaś nie pomagać! – Jak każda kobieta, która czuje, że mężczyzna jej się wymyka, szukałam kłótni.

– Nie robię niczego, co nie stałoby się i tak.

– Jeszcze.

– Posłuchaj. O co ci właściwie chodzi?

– O to, jak szepczesz po kątach, ile nadziei wkładasz w cały ten uniwersytet, jak patrzysz na „Helusia”! A za Piłsudskiego to dosłownie dałbyś się pokroić! Ciągłe tylko o nim mówisz: „Dziadek to, Dziadek tamto”. Za chwilę przekroczysz granicę, a wtedy, wiesz dobrze, gdziekolwiek będziesz, osiągnie cię klątwa. I po co? Dlaczego? Dlaczego teraz?!

Milczał jak nagrobna płyta.

– To ta twoja ambicja...

– Ambicja? – Zdziwił się. – Jakie ambicje może mieć ktoś, kto żyje już sześćset lat?

– A więc co?

Popatrzył na mnie wzrokiem zwierzęcia zagonionego w kozi róg.

– To tylko głupi uniwersytet! – wykrzyczałam. – Jeden z wielu w tym kraju. Siedziałeś cicho w czasie wojny, kiedy Polskę szarpały cztery różne inwazje, ale teraz musisz się angażować w budowę jakiejś tam wszechnicy?

– Nie jakiejś tam. Naszej! Patrz, Ludeczka, oboje będziemy tam pracownikami naukowymi. – Z entuzjazmem pomachał mi przed nosem papierami, które wskazywały, że dostaliśmy nominacje na posady uniwersyteckie. – Widzisz?

Owszem, widziałam.

– Co to są w ogóle za imiona? Nie jesteś już Przemysły, tylko Cyryl? I dlaczego mamy dwa różne nazwiska?

Milczał.

– A więc... – Domyśliłam się wreszcie. – Już jest jakaś inna kobieta, która nosi twoje nazwisko. – Nie pytałam, co robił i z kim się spotykał, gdy na całe dni zniknął z krypty. Od zawsze potrzebował bogatszego życia towarzyskiego niż ja.

– Przepraszam – wyznał. – Rzeczywiście... ale to nic nie znaczy. Jej ojciec mógł mnie wprowadzić w pewne kręgi. Odziedziczyłem po nim fabrykę. Jestem teraz dyrektorem. Właśnie dlatego chciałem, żebyś tu ze mną przyszła. Chciałem ci pokazać. Chciałem, żebyś zrozumiała.

– Rozumiem, rozumiem... ty, który byłeś królem, zadowolisz się posadą dyrektorzyny? – Próbowałam go sprowokować, wyrwać z ohydneho płaszczyka samozadowolenia i słuszności. – Co to w ogóle za fabryka?

– Nawozów sztucznych.

Powstrzymałam się od komentarza.

Milczeliśmy.

– Wiesz przecież, że cię... – podjął wreszcie. – Ale tułamy się jak zjawy przez odmęty czasu, wszystko się zmienia, a my wciąż pozostajemy tym, czym jesteśmy. A czym my jesteśmy, Ludeczko? No czym? Siłą nieczystą? Nagłą śmiercią czającą się w mroku? Nie. Nawet nie tym. Jesteśmy niczym. Nieustającym głodem może.

– To na tym właśnie polega – zaśmiałam się. – Nie zauważyłeś? Coś ty sobie w ogóle wyobrażał? To jest pokuta.

– Ja już swoje wycierpiałem. I dla Boga. I dla ciebie. Patrzyłem, jak umierają moi bliscy, a potem Polska... Zmierzyłem się z najgorszymi, morderczymi instynktami, które sprawiały, że byłem jak... jak... zwierzę. Ale teraz już dosyć. Przyszła wiosna. Kraj się odradza. Ja też wreszcie chcę...

– Dobrze, załóżmy, że włączysz się w to całe odrodzenie. Jako kto? Cyryl Ra...

– Ratajski. Tak. Zobaczysz, jeszcze będę rządzić całym krajem. A ty możesz być moją prawą ręką.

– Nie – odparłam. – Ja jestem Ludgarda Meklemburska. Imion ojca i matki może i zapomniałam, ale nie tego, że jestem twoją żoną, a nie żadną prawą ręką. I tego, że Bóg, choć niesprawiedliwy, wciąż trzyma cię za słowo. Wybieraj! Ja albo ona.

Spojrzałam w jego oczy.

Zabawne, że z moją niezwykłą zdolnością czytania w ludzkich twarzach, tyle wieków zajęło mi odczytanie tego jednego, najbliższego oblicza.

Ale w tamtej chwili już wiedziałam.

Rozejrzałam się po gabinecie pełnym instrumentów szczękających o metalowe tacki.

– Proszę rozłożyć nogi i rozluźnić się. – „Heluś” okraślił polecenie przepraszającym uśmiechem, rozumiejąc, że na takim krześle żadne rozluźnienie nie wchodziło w rachubę.

Wykonałam polecenie. Nad nami wciąż trwało przyjęcie, mimo późnych godzin nie tracące wigoru: co chwilę przerywały nam dźwięki tłuczonego szkła albo wybuchy śmiechu.

Heliodor zaczął mnie badać, a ja zacisnęłam usta. W znanych mi czasach odbywało się to zgoła inaczej, pozostawało raczej w sferze nadziei i domysłów, proroczych słów babek o nieświeżych oddechach, szczypania w sutki, brutalnego dotyku, ale nigdy nie było aż tak... dosłowne.

Miałam ochotę gryźć i kopać, lecz zniosłam badanie aż do samego końca. W trakcie wyobrażałam sobie, że rozwalam „Helusiowi” czaszkę kopniakiem, a to, co kiedyś nazywał głową, rozsypuje się po starannie zdezynfekowanej podłodze.

– Może się pani ubrać. – Zaczął grzebać w skrzypiących szafkach.

– Czy ja...?

– Tak sądzę.

Zakręciło mi się w głowie. Jak każda kobieta w każdym czasie i miejscu na ziemi, miałam w tamtej chwili wybór. Miałam tyle wyborów, że aż poczułam nudności, choć równie dobrze mógł to być zwykły objaw mojej niedyspozycji.

Mogłam płakać. Mogłam się cieszyć. Mogłam nic Przemysłowi nie mówić.

Mogłam powiedzieć i przyjąć jego opiekę nad nami obojgiem, może nawet jego wyrzuty sumienia. Lub przeciwnie: zabrać dziecko w swoim brzuchu jak najdalej od byłego kochanka – czerpiąc satysfakcję z faktu, że jednak udało mi się zadać mu cierpienie. I trwogę z myśli, że być może wcale by go to nie obeszło.

Za oknem rozległo się gwizdanie: śpiewne i terkotliwe jak głos słowika. Nikt w całym Poznaniu nie potrafił gwizdać tak jak latarnicy. Odchodzący do lamusa, wypierani przez zegarowe zapalacze, zapominani.

Haki drabiny szczęknęły, zaczepione o metalowe ucha latarni, a potem pomarańczowa poświata zaczęła ustępować miejsca ciemności.

Noc gasła jeszcze przed nadejściem świtu.

Anno Domini 1920, 14 sierpnia

Choć czasy były złe, stare wyłomy w murach i ślady po kulach świadczyły o tym, że Warszawa widywała gorsze. Klekotanie kołatki odbijało się echem od opustoszałych kamienic. Szła procesja. W samym środku wojny.

Kopnęłam porzuconą w podwórzu skrzynkę i usiadłam na niej z wysiłkiem. W upały brzuch ciążył mi podwójnie – tak jak ciąża, która u wieszczyc trwa dwa

razy dłużej. Do tego religijne zawrozenia i mamrotanie klechy całkiem zepsuły mi humor.

Ze wszystkich stron w kierunku placu Zamkowego szły pochody ludzi, którzy w obliczu nadciągającej armii wroga za najbardziej stosowne uznali pomodlić się, i to koniecznie w tłumie i na galowo. Czego oni właściwie oczekiwali: cudu? Brak paniki, czy wręcz powalająca beztroska Warszawiaków nie dawała mi spokoju. Może Przemek miał rację, że tak trzymał się tego Poznania?

Potomek wiercił się w brzuchu niczym nadmiar zjedzonej kapusty, nieszczęsne dziecko, które nie zdołało zatrzymać przy mnie swojego ojca.

Obudziłam się którejś nocy, wyciągnęłam rękę tam, gdzie Przemysł leżał jeszcze przed momentem. Ziemia wciąż oddychała jego ciepłem. Nie było listu, ale wiedziałam, że nie wróci.

Wiedziałam to zresztą od pierwszego momentu, gdy zaczęły napływać wieści: alianci upokarzają Polskę w konflikcie z bolszewicką Rosją; Armia Czerwona przekracza Bug, odwrót wojsk polskich; brak czasu na przygotowanie obrony stolicy; Austria, Czechosłowacja i Niemcy odmawiają przejazdu pociągom z amunicją; Warszawy bronić nie będziemy, ponieważ obronić jej nie można; Marchlewski i Dzierżyński gotowi do stanięcia na czele Polskiej Republiki Rad.

Wdeptano w ziemię naiwne nadzieje polskich patriotów, realizował się najgorszy koszmar kraju nad Wisłą. Więc Przemysł w końcu nie wytrzymał. Poszedł ratować tę drugą. Nie miałam mu tego za złe i z chęcią cofnęłabym wypowiedzianą klątwę, ale to nie było możliwe. Mogłam natomiast ratować, dogonić, powstrzymać siłą, jeśli będzie trzeba, przekonać by nie łamał obietnicy. Najwyraźniej jeszcze tego nie zrobił, gdyż czułam, wyraźnie czułam, że żyje.

Przyjechałam do Warszawy, ignorując nieznośne swędzenie z tyłu czaszki, które nasilało się tym bardziej, im bardziej oddalałam się od Poznania. Błąkałam się ulicami i szukałam męża.

Takich jak ja było wiele: niewiast z wyblakłymi fotografiami w rękach i dawno nieukładanymi fryzurami na głowach. W przeciwieństwie do pozostałych ja domyślałam się, gdzie dokładnie jest mój mąż. I szukałam go wszędzie, tylko nie tam.

Jeszcze nie byłam gotowa na spotkanie.

Więc snułam się za niezliczonymi procesjami, odpoczywałam w bramach, potykałam się o rzeczy porzucone przez wyprowadzających się w popłochu lokatorów. Bywałam świadkiem drobnych przestępstw i równie nieznaczących aktów heroizmu. Patrzyłam na spustoszoną rywalkę i nie czułam już złości. Za to coraz bardziej robiłam się głodna.

No idź już, czasu coraz mniej, ponaglałam samą siebie, gdy na podwórzu wtoczyła się duża szmaciana piłka. Nie wiadomo skąd, w ślad za nią

przywędrował zapach jeżyn.

A potem stopy ubrane w za duże buty na sześciocentymetrowych obcasach. Należały do dziewczynki na oko ośmioletniej, o myszowatym kolorze włosów i przeraźliwie chudych kolanach. Mała stanęła, założyła ręce za plecami i przyglądała mi się.

Która matka pozwoliłaby dziecku chodzić w takich butach?

Odpowiedź była prosta: żadna.

– Co tu robisz, sierotko?

– Tylko mama nie żyje. Tata walczy o Polskę, jak wróci, będziemy puszczać latawce – zaczęła, zupełnie jakby poszedł po bułki do sklepu.

Podmuch wiatru zmierzwił jej włosy.

– To dobrze – odpowiedziałam. – Też lubię puszczać latawce.

Kolejny podmuch przywiał w bramę kurz, porzeczki matki boskiej takiej czy siakiej oraz papierową kulkę, która zatrzymała się tuż pod moimi stopami. Podniosłam ją i rozprostowałam stronę „Gazety Śledczej”, na której widniała twarz o ostrych rysach – wyostrzał je jeszcze bardziej padający na nią cień krat – a pod spodem pytanie: *Czy są między wami dezzerterzy? Dezzerter nie wart jest, aby chodził po polskiej ziemi.*

Skoro szukali, to znaczy, że byli.

Dziewczynka odbiegła, najwyraźniej nieciekawia słowa pisanego. Westchnęłam i zastanowiłam się, kto tu jest prawdziwym bohaterem: tato, który nie wróci, czy taki, który wcale nie chciał odejść? Dezzerter czy trup?

Z upływem lat coraz mniej rozumiałam znaczenie słów takich jak Bóg, miłość, honor, ojczyzna. Kiedyś wierzyłam, że są równie realne jak chłód budzący o poranku. Ale z każdym mijającym rokiem wiara stawała się coraz trudniejsza: było to, co było, a czego nie było... zdawało mi się tylko tworem ludzkich umysłów.

A potem zmusiłam się do pójścia do Przemysła, bo jeszcze chwilę, a zawróciłabym do Poznania.

Niebo zasnuwał wyblakły granat, wiatr targał ciężkimi zasłonami w biurze szyfrów w sztabie generalnym. To tu miały się rozstrzygnąć losy bitwy warszawskiej.

Armia Czerwona całą swą łączność opierała na radiowej wymianie szyfrowanych informacji, potrzebni więc byli ludzie znający języki, obdarzeni intuicją i gotowi te szyfry złamać. I wielu takowych się znalazło, ale któż równać mógł się z Przemysłem, który przez wieki tylu różnych języków polskich musiał się nauczyć, a do tego potrafił zarówno przyszłość przeczuć, jak i ułamki myśli

złović na odległość kilkudziesięciu kilometrów? To prawda, że z ciężącą nad nim klątwą nie mógłby zrobić wiele, ale wystarczyłoby jedno celnie rozszyfrowane zdanie, jedna przechwycona myśl, by na zawsze odmienić bieg wydarzeń.

Nigdy nie przyznałam mu, że wtedy, w 1296, sama wywołałam zmianę w losach Polski, nie wiedział, że tak można. Jedynie to, że od czasu do czasu, jak ból głowy migrenika, nachodziły nas wizje. Być może liczył też na to, że jakaś okaże się pomocna?

Do budynku weszłam właściwie bez przeszkód, korzystając z wszechobecnego rozgardiaszu, aparycji zrozpaczonej ciężarnej z fotografią w ręku oraz znajomości kilku haseł, które zdołałam wyczytać w rozedrganych umysłach obecnych.

Zresztą wąsaci mężczyźni w połatanych mundurach – takich, jakie komu udało się zdobyć – zajęci byli swoimi ważnymi sprawami, mijając mnie w pośpiechu.

Tylko jego nie było.

Pytałam wszystkich, wykrzykiwałam jego przybrane nazwisko i stopień wojskowy, nim zdążyli przejść obok.

Nikt o nim nie słyszał, nigdy go tu nie widziano.

Oczywiście, mógł zgłosić się do pomocy w komórkach odczytujących korespondencję przeciwnika na linii frontu, ale czy wówczas również nie musieliby o nim słyszeć?

Wysłałam na zewnątrz, zmęczona porażką oraz duchotą nadchodzącej burzy. Przysiadłam na betonowym murku i przyglądałam się, jak mężczyzna w kombinezonie wpycha pojemniki ze śmieciami do składowiska. Nieustannie coś do siebie mruczał. Kiedy się odwrócił, zobaczyłam też, że twarz ma pooraną bruzdami.

– Co tu robisz?

– Sprzątam.

Nie wstałam, a on nie podszedł bliżej.

– A czego się spodziewałaś? Że w ostatniej chwili, kiedy już bolszewiki sforsują drut kolczasty wokół Warszawy, poświęcę życie i odczytam depezę, która przeważą szalę zwycięstwa, tak? I jeszcze jakiejś pięknej sceny pożegnania, kiedy będę błagać o przebaczenie i wyjaśniać ci, że inaczej nie mogłem postąpić?

– Czegoś w tym stylu.

Wcisnął tylko głębiej czapkę na oczy, a ręce wsadził w kieszenie.

– Ja też. I wiesz, co się okazało? Że to, czego najbardziej pragnę, to żyć. Przyzwyczailem się, cholera, do życia.

Gdzieś niedaleko znów zaklekotała kołatka: zbliżała się kolejna procesja.

– I dlatego wyrzucasz śmieci?

– Chciałem.... pokręcić się w pobliżu. Na wypadek, gdybym jeszcze

zmienił zdanie.

– I co, zmieniłeś?

Pokręcił głową, kopnął kamyk, który potoczył się na skraj murku i spadł. Widywałam już ludzi, którzy patrzyli na mnie tak, jak Przemysław w tamtej chwili: przesiadywali w barach aż do zamknięcia, grzali parkowe ławki, wpatrywali się w słońce pustymi oczami, donikąd się już nie spieszyli. Być może honor jednak istniał naprawdę, jeśli tak wyraźnie dawało się zobaczyć, gdy zniknął.

Coraz głośniejsze klekotanie działało mi na nerwy i wprawiało koniuszki palców w mrowienie. Zbliżała się kolejna pachnąca jeżynami wizja.

– Świetnie sobie radzą bez ciebie – wskazałam w kierunku biura szyfrów.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałam: dobrze sobie radzą! Łamię rosyjskie szyfry bez najmniejszego problemu. I bez ciebie!

Religijne zawrośnięcie urwało się, najwyraźniej zagłuszone moim wrzaskiem. Postanowiłam nie zachowywać proroctwa dla siebie ani nie zmieniać go. Wybaczylam już swojej rywalce.

– Polacy wygrają tę wojnę!!! – wydarłam się na całe gardło.

Najpierw przybiegły dzieci, później wścibskie sąsiadki, a na samym końcu matki i ksiądz. Obserwowali nas z wytrzeszczonymi oczami, lecz my nie zwracaliśmy na nich uwagi.

– Wieszysz? – spytał Przemysław, a ja kiwnęłam głową.

– Wcześniej przyszłość była zamglona, lecz teraz mgły się rozwiały.

Na twarzy czułam pierwsze krople letniego deszczu oraz uważne spojrzenie męża. Podmuch wiatru wyduł moją ciężową sukienkę, niebo przeszła błyskawica. Zgromadzeni wokół ludzie padli na kolana.

Rzeczywiście, w tamtej chwili musiałam wyglądać, wypisz wymaluj, jak Matka Boska na jarmarcznych obrazkach: rozwiana szata, królewska poza na tle nienaturalnego nieba.

Wydarzył się cud nad Wisłą.

Anno Domini 2023, 31 marca

Obudziłam się po stu latach twardego, niezmaczonego snu. Wybrałam letarg. Dziecko spało również, ale teraz jest już gotowe.

Świat najwyraźniej zatoczył koło. Znów, jak za starożytnych czasów, czci się tu miliardy bożków. Na przykład dzieci: mogą absolutnie wszystko, a dorośli spełniają wszelkie ich zachcianki, jak niewolnik w służbie swojego pana. Dziwne to, bo wszak dzieci-bożki kiedyś dorosną i same staną się... sługami, a to nie będzie dla nich wcale miłą odmiana. Jest też Internet, który niczym delficka Pytia potrafi odpowiedzieć na każde pytanie. Para Bożków Eko i Bio, którzy domagają się codziennych ofiar, w zamian za to, że chwilowo nie zniszczą

świata... Zresztą, nie osądzam. Sama do niedawna czciłam bożka, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

*Pociągi odchodzą i statki
Ona nie wróci do matki
Kto by uwierzył w całym Makowie
Że dla niej światem był jeden człowiek¹*

Tak jak w tej dziwnej, nowoczesnej piosence, moim Bogiem był Przemysł. Zrobiłabym dla niego wszystko. I zrobiłam dla niego wszystko: dobre i złe.

Dziewczyna z Makowa z miłości się zabiła. Dla mnie ten luksus jest niedostępny. Dziewczynie z Makowa Bóg wybaczył czyny sercowe i podał w niebie lody malinowe.

Ja wolałabym jeżynowe.

Ale nie sądzę, by Bóg, jeśli istnieje, bawił się w cukiernika. Tak naprawdę nie sądzę, by istniał. Jest tylko morze upływającego czasu i pokuta: wieczna, nie wiadomo, jakimi grzechami spowodowana i gdzie mająca swój kres. Oraz głód.

Jest też dzieciątko w moim łonie, które musi wiedzieć, kto jest jego matką. Dlatego, gdy się urodzi, powiem mu: „Jestem Ludgarda. I bardzo cię kocham”.

A potem je nakarmię.

I nie będzie to krew wieprzka.

1 Z wiersza Agnieszki Osieckiej *Białe Zeszyty*.

O Autorze:

Antropolog kultury, dziennikarka, anglistka. Debiutowała w Fantazjach Zielonogórskich VIII opowiadaniem *Małodobra*, którego bohaterką jest żona kata. Jej teksty były dwukrotnie wyróżniane w „Pigmalionie Fantastyki”. W 2022 roku nakładem wydawnictwa Empik Go ukazała się jej debiutancka powieść *Fuga*, relacja z galaktycznych igrzysk, które publiczność ogląda w aplikacji Gladius. Jej opowiadania można znaleźć w *Magazynie Biały Kruk*, *Fantazjach Zielonogórskich XII*, *Kalejdoskopie Mikołowskim*, *Dniu z Życia Pisarza*, a niedługo także w *Fantazmatach* i *Rubieżach Rzeczywistości*.

Prorocze jajo

Anna Kłodnicka

Malissa leżała na łóżku, jęcząc głośno. Obok krzątało się kilka kobiet mających wprawę w przyjmowaniu porodu.

Nagle do pokoju wkradł się Nekke, dziesięcioletni syn rodzącej. Nikt go nawet nie zauważył, do czego chłopak nie był przyzwyczajony. To na nim zazwyczaj skupiała się uwaga otoczenia. Tupnął zatem z całej siły. Zebrane zerknęły na niego przelotnie, po czym jakby nigdy nic wróciły do usługiwania ciężarnej.

Chłopczyk nie rezygnował. Podeszedł do łóżka i złapał rodzicielkę za ramię.

– Mamo, mamo, opowiesz mi bajkę? – spytał.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale wtedy dopadł ją skurcz, więc tylko krzyknęła.

– Nie przeszkadzaj, Nekke – odezwała się najstarsza z kobiet. – Przecież widzisz, że Malissa rodzi twojego braciszka albo siostrzyczkę. Jesteś tu zbędny. Wyjdź, proszę.

Nekke skrzywił się brzydtko, spojrzął z nienawiścią na wydęty brzuch matki i wybiegł, trzaskając drzwiami.

Niedługo potem powietrze rozdarł krzyk dorodnej dziewczynki. Kobiety obmyły ją i uroczyście ułożyły w kołysce. Do pokoju wmaszerował ojciec dziecka. W dłoni dźmierzył śnieżnobiałe jajo proroka. Najpierw podeszedł do łóżka i cmoknął wyczerpaną żonę w spocone czoło, a następnie zbliżył się do kołyski. Uśmiechając się z czułością, pogłaskał główkę niemowlaka i włożył pod poduszkę malutkie jajeczko.

– Alea. Tak będzie się zwać moja córka – oznajmił.

– Zobaczymy, czym nasiąknie twoja skorupka, Aleo – wygłosiły standardową formułkę zebrane kobiety.

Następnego dnia jajo wyjęto. Było czarne niczym noc pozbawiona gwiazd.

Alea skończyła dopiero osiemnaście lat, lecz trudno się było w niej doszukać bez troski tak charakterystycznej dla młodości. Niezwykle rzadko ktoś patrzył dziewczynie prosto w oczy, ale gdy to robił, zdumiewał się, jak boleśnie stare i doświadczone miała spojrzenie.

– Tylko zło potrafi tak patrzeć – powtarzano z niepokojem.

Złotowłosa i niebieskooka Alea byłyby piękna, niesamowicie piękna, gdyby nie jej lewy policzek, który w całości składał się z paskudnych blizn po oparzeniu. W porównaniu z nieskazitelną prawą połową twarzy robiło to bardzo makabryczne wrażenie.

Rok temu Malissa zmarła na krwawą gorączkę. Nekke zaproponował wtedy siostrze, by zamieszkała u niego i zajęła się domem. Chociaż wyrósł na przystojnego mężczyznę, nie miał żony ani dzieci. Artyści, zwłaszcza tak uzdolnieni, poświęcali czas na rozwój talentu, a nie na tworzenie rodziny.

– Dlaczego chcesz mojej pomocy, bracie? – spytała Alea ze szczerym zaciekawieniem. – Nie lubisz mnie. Nigdy nie lubiłeś. Poza tym wiadomo, że wykluje się ze mnie zło. A niektórzy twierdzą, że już się wykluło.

– Nie lubię cię, to prawda. Ale jednocześnie cię potrzebuję. Złoto na tle czerni wydaje się jeszcze wspanialsze.

Zgodziła się. Jakie miała wyjście? Przynajmniej była komuś potrzebna. Jej dni szczerze wypełniły się pracą, gdyż Nekke okazał się bardzo wymagający. Lubił dobrze zjeść i elegancko się ubrać. Poza tym wszczynął długie i intensywne awantury, gdy w domu zauważył chociaż ślad kurzu, więc bez przerwy biegła ze ścierką i zmiotką. Co ciekawe, zanim się do niego przeprowadziła, sprzątał raz na kilka miesięcy, w dodatku od niechcenia. Wtedy brud mu nie przeszkadzał.

Jak tradycja nakazywała, każde wyjęte z kołyski jajo musiał obejrzeć starszy wioski. Na placu zawsze zbierała się cała wieś, by dowiedzieć się, jaki wkład w życie społeczności będzie miał nowo narodzony mieszkaniec. Tym razem oględzinom nie towarzyszyło miłe oczekiwanie, ale niechęć i strach. Starszy obracał w dłoniach czarne jajeczko, przyglądając mu się z zafrasowaną miną.

– To zły znak. Zły znak – powtarzała co chwila Malissa. – Bardzo zły znak. Żałuję, że ją urodziłam. Przyniesie nam tylko cierpienie.

– Racja! Sprowadziliście nieszczęście na całą wioskę! – dało się słyszeć wzburzone głosy mieszkańców. – Jajo mówi prawdę, jajo nas ostrzega. Usuńmy to zagrożenie! Wynieśmy dziecko do lasu! Zakopmy je! Pozbądźmy się tego plugastwa! Pozbądźmy się go, zanim nas zniszczy! Nawet matka się go wyrzekła! Starszy podniósł rękę. To wystarczyło, by wszyscy posłusznie zamilkli.

– Nie ważcie się skrzywdzić tego dziecka – powiedział. – Nie ważcie się,

jeśli nie chcecie sprowadzić na siebie karzącej ręki losu. Zgadza się, czarna skorupka to bardzo niedobry znak. Nie przecina jej nawet delikatna żyłka koloru, który dawałby nam nadzieję. Alea z pewnością stanie się źródłem ogromnych zgryzot i bólu. Jednak świat nie może istnieć bez zła, tak jak nie może istnieć bez nocy, która gasi słońce, i bez zimy, która wysysa z ziemi życie. Dlatego ta dziewczynka jest potrzebna. Ma do odegrania swoją rolę, inaczej nie zostałaby sprowadzona na nasz świat. Zresztą, Malisso, wspomnij własne jajo. Wychowasz córkę troskliwie. Będziesz tolerować jej obecność. My wszyscy będziemy.

– Skoro wiemy, że nas skrzywdzi, czy nie lepiej narazić się losowi i się jej pozbyć? Dla dobra wioski? – spytał jeden z mieszkańców, zyskując gorące poparcie tłumu.

– Dopóki niczego nie zrobiła, nie możemy nic zrobić. Tak mówi prawo – odparł starszy tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Poza tym jeśli ją teraz zabijecie, uwolnicie ten mrok, z którym się urodziła. Tak czy inaczej sprowadzicie nieszczęście na wioskę. Pozostaje nam czekać. Podziękujmy w pokorze losowi, że nas ostrzegł. Dzięki temu będziemy mieć stałe baczenie na Aleę, żeby jeszcze w zarodku zdusić jej nikczemność. I pamiętajmy, że im więcej zła kryje się w niej, tym mniej jest go w nas.

Nekke wpadł w szal tworzenia. Rwąc sobie włosy z głowy, narzekając głośno i rozchlapując farby na wszystkie strony, miotał się przy płótnie. W takich chwilach bardziej przypominał rozkapryszone i nadpobudliwe dziecko niż dwudziestoosmioletniego mężczyznę. Przerwał pracę tylko po to, by zażądać na obiad akurat tego, czego nie mieli w domu. Alea musiała więc udać się do sąsiedniego miasteczka po sprawunki.

Nie zmitrężyła tam dużo czasu – nigdy nie mitrężyła. W miasteczku wszyscy znali z widzenia dziewczynę z czarnym jajem i zachowywali się, jakby miała ich skazić samą swoją obecnością. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby matki straszyły nią niegrzeczne dzieci. Dlatego gdy tylko weszła do jednego ze sklepów, długa kolejka klientów rozsypała się, po czym gorączkowo zbliła się w ciasny tłumek w jednym z rogów pomieszczenia. Sprzedawca podbiegł do Alei i błyskawicznie obsłużył, by spędziła w środku jak najmniej czasu. Pospiesznie pakował produkty trzęsącymi się dłońmi. Nie mógł ukryć wyrazu ulgi, kiedy dziewczyna ruszyła w stronę wyjścia.

Alea zazwyczaj traktowała takie zachowanie ze spokojną rezygnacją, ale tym razem była zbyt poirytowana fochami brata i wędrownką w palącym słońcu. Dlatego nagle odwróciła się w drzwiach, spojrzała prosto na sprzedawcę

i wydała z siebie coś w rodzaju charczenia połączonego z sykiem. Mężczyzna pobrał, jakby usłyszał wyrok śmierci, a jedna z klientek krzyknęła.

– Do zobaczenia za tydzień – rzuciła dziewczyna z uśmiechem, po czym wyszła.

Mogłaby się założyć o wszystko, że teraz właściciela sklepu czekają ciężkie chwile. Wieści rozejdą się szybko. W najbliższym czasie ludzie będą się bali tam przychodzić, żeby zło, które rozsiewała Alea, nie przylgnęło do nich. Za tydzień lokalu prawdopodobnie nie odwiedzi nawet jeden klient, by przypadkiem nie natknąć się na nią.

Wracając z miasteczka, Alea często zachodziła w jedno miejsce – na fermę proroków. Tym razem też się tam udała. Zasiadła na trawie przy ogrodzeniu, patrząc na małe, bure ptaszki. Takie niepozorne, a ich jaja mają ogromną moc, nadają bieg całemu ludzkiemu żywotowi. Jak zwykle wyobraziła sobie, że te głupie stworzenia, które zniszczyły jej życie, padają martwe. Oczywiście nic się nie zadziało. Ptaki spokojnie grzebały w ziemi i dziobały karmę, popiskując od czasu do czasu.

– Kiedyś umrzecie – powiedziała im na pożegnanie. – Jeśli będę przychodzić wystarczająco często, zarażę was czernią. Wasze jaja stracą biel, a wtedy staną się bezużyteczne i wylądujecie w garnku.

Jeden z proroków, jakby na złość Alei, zamachał skrzydełkami i zniósł śnieżnobiałe jajeczko. Potoczyło się beztróska w miękką trawę.

Malutka Alea naiwnie myślała, że jeśli udowodni wszystkim, jaka miła i uczynna z niej dziewczynka, jej jajo zmieni kolor. Zakładała, że czynami przekona ludzi o swojej dobroci. Nie czuła w sobie zła, więc miała nadzieję, że los się pomylił i wszystko uda się naprawić.

Dlatego uśmiechała się uprzejmie do napotkanych mieszkańców wioski i grzecznie się z nimi witała. To nic nie dało. Na jej uśmiechy i powitania ludzie reagowali popłochem i krzywili się, jakby zjedli coś kwaśnego.

Nie rezygnowała. Kiedy widziała kogoś potrzebującego, podbiegała, żeby pomóc. Nikt nie skorzystał. Zarzekali się, że świetnie radzą sobie sami, albo krzyczeli, by się wynosiła.

Nie poddawała się. Uznała, że tak czy inaczej zacznie udzielać pomocy, a wtedy ludzie zrozumieją, że jest dobra. Niestety nie szło tak, jak to sobie wyobrażała. Chwyciła za ciężki tobolek niesiony przez staruszkę. Kobięcina zaczęła się szamotać, a wtedy z tłumoka wypadła cała zawartość, prosto w błoto. Chłopiec zgarniający jesienne liście tak spanikował na widok Alei łapiącej za grabie, że rzucił się do ucieczki. Potknął się o kamień i uszkodził sobie kolano. Kobieta z sąsiedztwa pobrudziła świeżo uprane prześcieradła trawą. Wysypały

się jej z rąk, gdy zobaczyła zbliżającą się dziewczynkę.

– Skorupka jaja nigdy nie kłamie. Mamy potwierdzenie – mówili mieszkańcy, kiwając ponuro głowami.

W końcu Alea zrozumiała, że niezależnie od tego, co robi, przeznaczenia nie oszuka.

Po powrocie z miasteczka Alea zastała szeroko uśmiechniętego brata.

– Skończyłem obraz! – poinformował z dumą. – Możesz popatrzeć jako pierwsza – dodał po chwili łaskawie.

Podeszła do sztalug i spojrzała. Patrzyła w milczeniu przez dłuższy czas. Dzieło przedstawiało mgłę snującą się rankiem po jesiennym polu. Było naprawdę dobre, wręcz znakomite, ale nie wybitne. Przytłumione kolory w przemyślany sposób zlewały się ze sobą i tworzyły zgraną wizualnie całość. Na wzrok oddziaływały świetnie. Jednak brakowało czegoś, co sprawiałoby, że widz poczułby chłód i zapach zamglonego poranka. Przez to kompozycja wydawała się niepełna.

Jak zwykle. Nekke stworzył coś, co zachwycało i rzucało każdego na kolana, a Alea jako jedyna widziała braki. Zawstydziała się, ale jednocześnie nie mogła się wyzbyć przekonania, że ona – gdyby tylko pozwolono jej sięgnąć po pędzel – stworzyłaby coś kompletnego, co grałoby na wszystkich zmysłach.

– I jak? – spytał w końcu brat, przyglądając się jej badawczo. – Nie, wiesz co, nie odpowiadaj. Widzę po tobie. Jest dokładnie tak samo jak zawsze. Coś ci nie pasuje, prawda? Nie podoba ci się.

– Ja...

– Nie przerywaj mi, jeszcze nie skończyłem! Nie podoba ci się. Znalazła się wielka znawczyni! Nigdy nie pochwaliłaś mnie szczerze, jako jedyna. To wspomniała obraz, sam to widzę. Na pewno sprzedam go za kwotę, jakiej ty nie zarobiłabyś przez rok. Ale wciąż śmiesz mnie w myślach krytykować, zupełnie jakbyś była lepsza. A nie jesteś! Słyszysz? Wiesz, dlaczego nie podobają ci się moje dzieła? Bo zło zawsze doszukuje się brzydoty w pięknie, dlatego! Wypatruje defektów w doskonałości. Taka jest jego natura.

Przerwał, dysząc głośno. Alea stała jak skamieniała, bojąc się cokolwiek zrobić, by jeszcze bardziej nie narazić się na jego gniew. W końcu Nekke dodał już spokojniej:

– Nigdy nie stworzysz czegoś równie pięknego jak ja, nawet jeśli pozwoliłbym ci skorzystać z moich przyborów. A po tym, co zrobiłaś w przeszłości, nie pozwolę. Możesz co najwyżej mazać sobie węglem po deskach szopy. To by do ciebie pasowało. Miałabyś wtedy palce czarne jak twoja dusza.

Jajo proroka wyjęte z kołyski Nekkego w połowie było żółte niczym słońce, a w połowie złote. Złoto oznaczało, że chłopak urodził się, by zostać artystą i dawać społeczności piękno. Posiadał ogromny talent, na którym powinien się skupić zarówno on, jak i jego otoczenie. Z kolei żółć stanowiła oznakę zawiści i zazdrości.

– Ale to naturalne – uspokoił wszystkich starszy. – Artyści, którzy dźwigają ciężkie brzemie geniuszu, potrzebują mnóstwo uwagi i uwielbienia. Mają prawo być zazdrośni i porytowani, gdy nie traktuje się ich wyjątkowo. Trzeba im wybaczać, gdyż dzięki nim możemy chociaż na chwilę dotknąć nieba.

Świeżo upieczeni rodzice jednocześnie czuli się dumni i zakłopotani, że trafiło im się tak wyjątkowe dziecko. Gdy paroletni Nekke wziął do ręki kawałek kredy i wyrysował na stole całkiem udany portrecik matki, stało się oczywistym, że jego przeznaczeniem jest malarstwo.

Chłopak dostał więc wszystko, czego potrzebował, żeby się rozwijać: wsparcie, miłość, wyrozumiałość i – rzecz jasna – drogie, ale bardzo potrzebne akcesoria. Już jako kilkulatek dysponował sporym zapasem sztalugi, płótna, pędzli i farb we wszystkich kolorach tęczy. Nie zawiódł pokładanych w nim nadziei; tworzył niemal bez ustanku, z każdym dniem coraz lepiej wykorzystując własne umiejętności. Najpierw karmił się zachwytem rodziców, potem całej wsi. Gdy już podrosł, a jego sława rozeszła się po okolicy, ludzie zjeżdżali z daleka, żeby nabyć za przyzwoitą cenę – lub chociaż podziwiać – obrazy, które zapierały dech w piersiach i sprawiały, że z kącika oka wypływała samotna łza.

Mała Alea również się wzruszała, obserwując pracę brata. Jednak im była starsza, tym coraz częściej dochodziła do wniosku, że pozornie doskonałym dziełem czegoś jednak brakuje; że są bardzo dobre, ale nie wybitne. Zapragnęła sama coś stworzyć. Marzyła, że prześcignie brata i ludzie zaczną ją uwielbiać, zamiast nienawidzić. Wstydziła się tych myśli i próbowała z nimi walczyć, lecz w końcu przegrała. Gdy miała dziesięć lat, poprosiła matkę o sztalugi i farby. Została wyśmiana.

Niedługo potem Alea została w domu sama na kilka godzin. W wyniku nagłego impulsu, nie bacząc na nic, dorwała puste płótno. Gdy wzięła do ręki pędzel i ostrożnie umoczyła go w farbie, ręka jej zdrząła. Czuła się, jakby popełniała świętokradztwo, ale mimo to malowała, malowała, malowała... Wylewała na płótno łęki i frustracje, nadzieje i marzenia. Czuła się wspaniale, jak jeszcze nigdy w życiu, taka wolna, beztroska i pełna mocy.

Kiedy skończyła i przyjrzała się swojemu dziełu, padła na kolana i zapłakała. Jej zdaniem obraz przewyższał wszystko, co kiedykolwiek namalował jej brat. Nigdy w życiu nie widziała niczego piękniejszego.

Nekke zastał ją właśnie w takim stanie wniebowzięcia. Zerknął na płótno i pobladł.

– Ty to zrobiłaś? – zapytał, z trudem powstrzymując wściekłość.

– Tak – wyszeptwała.

Wtedy wpadł w szal. Chwycił nóż i wbijał w malowidło raz za razem, aż pozostały same kolorowe strzępy. Następnie uderzył zdezorientowaną Aleę w twarz i boleśnie wykręcił jej rękę.

– Nigdy, rozumiesz, nigdy więcej nie dotykaj moich rzeczy – rzekł. – Ja tu jestem artystą, nie ty. To, co stworzyłaś, było złe. Plugawe. Tak samo jak ty.

Dzień później Nekke wyprowadził się, zabierając ze sobą wszystkie przybory malarskie. Nie pominął nawet jednego pędzla.

Jajo proroka należące do Malissy miało barwę intensywnej zieleni, niczym wiosenna trawa na łące. Na skorupce nie dało się zauważyć nawet jednej żyłki czy plamki w innym kolorze. Taka jednolitość zielonego oznaczała tylko i wyłącznie poświęcenie się rodzinie. Dla dobra swojego i całej społeczności Malissa musiała stworzyć ciepły i przyjazny dom, przyjąć rolę opiekunki, by bliscy mieli warunki do rozwijania się zgodnie ze swoim losem.

– Nie powinna szukać w sobie innych ambicji, bo i tak skończą się porażką – poinformował starszy.

Dlatego nie szukała. I zgodnie z wolą starszego nie odrzuciła córki. Pilnowała, by Alea nie chodziła głodna ani brudna. Nauczyła córkę czytać, pisać i rachować. Ubierała ją skromnie, ale ładnie. Nigdy nie podnosiła głosu, nawet gdy udzielała reprymendy. Nie wymierzała kar cielesnych. Cała wieś zachwycała się – często przy samej dziewczynce – z jak ogromnym poświęceniem i pokorą kobieta dba o tak wyrodne dziecko.

Kiedy Alea była jeszcze malutka, nie rozumiała, czemu sąsiedzi mówią o niej przykre słowa i patrzą na nią z lękiem. Dziwiła się również, że Nekke może wskakiwać na kolana matki za każdym razem, gdy nachodzą go chęci, natomiast ona jest odganiana fuknięciem i niecierpliwym machnięciem ręki. Na szczęście miała ojca, który ogrzewał ją miłością i wsparciem. Ale zmarł, gdy miała sześć lat. Wtedy całe brzemię utrzymania córki na dobrej drodze wzięła na siebie Malissa.

Kobieta każdego dnia obserwowała młodsze dziecko ze źle skrywanym niepokojem i wzmożoną uwagą, nieodmiennie wypatrując wszelkich sygnałów zła. Alea nie miała ani chwili wytchnienia. Baczne i przenikliwe spojrzenie matki wżerało się w nią rankami i wieczorami, przy posiłkach i przy sprawunkach, na co dzień i od święta.

Na niezadowolenie kobiety można było bardzo łatwo zasłużyć. Alea nie umyła starannie uszu przed snem, zamarudziła rano w łóżku o jedną minutę za długo, stłukła szklankę, naniosiła do domu błota, nie zjadła całego groszku, śmiała się za głośno albo w ogóle się nie śmiała... Malissa kręciła wtedy głową z rozczarowaniem przemieszanym ze smutkiem.

– Jesteś wypełniona złem po brzegi – mówiła do córki przynajmniej pięć razy dziennie.

Nigdy nie mówiła tak do Nekkego, gdy robił dokładnie to samo co Alea. On mógł brudzić ubrania do woli, tłuc szklanki jedna za drugą i zostawiać cały groszek na talerzu. Nigdy, przenigdy nie zasłużył na szorstkie słowa. Zbierał natomiast bez ustanku słodkie pocałunki, długie uściski, radosne przekomarzanie i uspokajające głaskanie po włosach.

Alea zaczęła się tak denerwować niekończącym się nadzorem i stałymi pretensjami, że wszystko leciało jej z rąk, gdy matka tylko się zbliżała. Każde rozlane mleko, każdy wyszczerbiony kubek, każde rozbite na podłodze jajko utwierdzało Malissę w przekonaniu, że wydała na świat potwora. Oczywiście komunikowała to głośno córce.

Alea od czasu do czasu śniła sen, w którym do matki podlatywał wielki kruk i wydziobywał jej oczy. To był dobry sen; przynosił ukojenie, bo matka już nie mogła krzywdzić córki tym okropnym, świdrującym spojrzeniem. Po pobudce dziewczynka czuła błogość, ale tylko przez chwilę. Malissa już czekała przy posłaniu, a jej oczy patrzyły tak samo nieprzyjaźnie jak zwykle. Wtedy Aleę dopadały gwałtowne wyrzuty sumienia.

„Matka ma rację”, myślała sobie. „Oni wszyscy mają rację. Tkwi we mnie zło. Gdybym była dobrą dziewczynką, nie miałabym takich potwornych snów”.

Dorastająca Alea z zazdrością obserwowała bawiące się wspólnie dzieci. Tworzyły razem zamknięty światek, wypełniony radością i beztróską. Ona nie miała tam wstępu. Rodzice zabronili swoim pociechom zbliżać się do dziewczyny od czarnego jaja.

Aż w końcu Alea poznała Heikego. Lubiła chodzić nad rzekę, siadać na brzegu i patrzeć na płynącą wodę. Miała swoje ulubione miejsce; inne dzieci o tym wiedziały, więc się tam nie zbliżały. Zdziwiła się bardzo, pewnego razu zastając w swojej samotni bladego i wątłego chłopca. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy na jej widok nie spłoszył się i nie uciekł, ale po prostu uśmiechnął się i powiedział:

– Nazywam się Heike. A ty?

– Nie wiesz, kim jestem? Naprawdę?

– A powinienem? Nie znam wszystkich dzieci z wioski. Dużo chorowałem, do tej pory rodzice niemal nie wypuszczali mnie z domu. Teraz czuję się lepiej i doktor zalecił mi spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu. Rodzice nie mogą chodzić ze mną na spacer, bo dużo pracują, dlatego chodzę sam. Dopiero poznaję okolice.

– Alea. Moje imię to Alea – przyznała niechętnie.

Nie zareagował lękiem. Najwyraźniej rodzice nigdy nie ostrzegali go przed wypełnioną złem dziewczynką. Sama nie zamierzała go w tej kwestii uświadamiać.

Szybko zostali przyjaciółmi. Spędzali dużo czasu nad rzeką, tylko we dwoje. Wrzucali kamyczki do wody, rysowali patykami po mokrym piasku, rozmawiali o wszystkim i o niczym albo po prostu razem milczeli, obserwując bystry nurt.

Pewnego razu Heike pokazał jej swoje jajo. Całą skorupkę pokrywały malutkie, różnokolorowe plamki. Ta szalona feeria barw wyglądała prześlicznie.

– Podobno starszy powiedział, że to oznacza nieograniczone możliwości – poinformował chłopak. – Nie istnieje jedna droga, którą powinienem iść. Mogę wszystko, naprawdę wszystko. Niezależnie od tego, co wybiorę, los będzie mi sprzyjał. Moje życie zależy tylko i wyłącznie ode mnie.

– To... wspaniale – rzekła Alea, walcząc z gwałtowną falą zawiści.

– Wspaniale? Chyba żartujesz! Każdy dostaje jajo, które mówi mu, jak żyć. Ja tego nie wiem. Muszę decydować sam. Wiesz, jakie to trudne? Inni są prowadzeni za rączkę, ja nie. Mam tyle możliwości, że robi mi się od tego niedobrze. Wciąż się boję, że nie wybiorę najlepszej opcji z możliwych. Albo że nie zdążę nic zrobić, bo za długo będę się zastanawiać nad sobą. Wolałbym, żeby los potraktował mnie tak samo jak innych i pozbawił wyboru.

Alea, słuchając wynurzeń chłopaka, miała ochotę potrząsnąć nim porządnie albo zacząć krzyczeć. Nie zrobiła tego; jedynie siedziała, zaciskając zęby. Jak mógł tak bezczelnie narzekać? Zamieniłaby się z nim bez zastanowienia.

– A co z twoim jajem? Jakie ono jest? – zainteresował się Heike.

– Nudne – zbyła chłopaka. – Naprawdę nie ma o czym mówić.

Przyglądał się jej z zainteresowaniem, mrużąc lekko oczy. Chyba zauważył, że kłamała, ale nie naciskał. Bardzo to w nim ceniła.

Niestety rodzice Heikego w końcu dowiedzieli się o nowej przyjaźni syna. Zareagowali tak, jak powinni – zabronili mu wychodzić i spotykać się z przekłętą dziewczynką. Przyszli też do Malissy i nakazali jej lepiej pilnować córki. To była długa awantura.

Alea tęskniła za przyjacielem. On najwyraźniej za nią też, bo próbował wykraść się z domu, żeby pójść nad rzekę. Rodzice przyłapali go, gdy był w trakcie wychodzenia przez okno. Tak się przestraszył, że stracił równowagę i upadł, łamiąc sobie nogę. Doktor robił, co mógł, ale w otwarte złamanie wdało

się zakażenie. Chłopak, zbyt słaby po wcześniejszym chorowaniu, w końcu przegrał tę walkę.

– To już druga śmierć, jaką spowodowałaś. A masz dopiero dziesięć lat. Co będzie, gdy dorosniesz? – zapytała Malissa zrozpaczoną córkę.

Kiedy Alea skończyła siedemnaście lat, matka zaniemogła. Niemał nie wstawała z łóżka, często nawet nie otwierała oczu. Gorączka czyniła spustoszenie w jej organizmie, powolutku zatruwając krew.

Nekke od dawna mieszkał we własnym domu. Dostał poważne zlecenie na namalowanie serii obrazów, więc nie miał czasu na odwiedzanie rodzicielki. Pojawił się raz, ale tylko po to, by zabrać z piwnicy trochę smakowitych przetworów. Nie zasiadł przy łożu matki, nawet nie zapytał o jej zdrowie.

– Nie rozumiesz – oburzył się, gdy Alea poczyniła mu wymówki. – Artyści unoszą się ponad takimi sprawami. Sztuka jest u nas na pierwszym miejscu, potem rodzina i inni ludzie. Teraz tworzę piękno, więc nie mogę iść do matki i patrzeć na brzydotę choroby. To skazi moją pracę, zniszczy ją doszczętnie. Tego chcesz, prawda? Zawsze wiedziałem, że czekasz na moją porażkę.

– To nieprawda, ja...

– Zresztą, matka wiele razy mówiła, że jest ze mnie dumna – kontynuował, nie zwracając uwagi na siostrę. – Za to ty sprawiłaś jej wyłącznie zawód, więc teraz się nią opiekuj. Może chociaż trochę odkupisz swoje winy.

I Alea się opiekowała. Delikatnie obmywała ciało chorej ze śmierdzącego potu, przykładając zimny kompres do rozgrzanego czoła. Karmiła, poila, okrywała kołdrą. W głębi serca liczyła, że Malissa jej podziękuje, jednak ta albo narzekała na jakość pomocy, albo dopytywała o syna. Dziewczyna za każdym razem kłamała, że Nekke przyszedł w nocy i przez wiele godzin trzymał śpiącą matkę za rękę.

W końcu stan kobiety pogorszył się na tyle, że nie było już nadziei. Majaczyła i rzucała się w mokrej pościeli. Tuż przed śmiercią na chwilę odzyskała świadomość.

– Wiesz... – powiedziała do córki, która wiernie siedziała na krzesła obok łóżka. – Kiedy twoje jajo zabarwiło się na czarno, ludzie ze wsi chcieli przebić cię widłami.

– Wiem, matko. Mówiłaś mi o tym wiele razy.

– Powinnaś im była pozwolić. Nekke przyniósł mi radość, ty przyniosłaś zgryzotę. Ale mimo to spełniłam rolę matki. Dostałaś ode mnie więcej miłości, niż zasłużyłaś. Nawet po tym, jak zabiłaś swojego ojca. Ale wiedz, że nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczyłam. I nie przebaczę również na tamtym świecie.

– Sama sobie nie przebaczyłam, matko – odparła Alea cicho.

Siedziała przy sztywniejących zwłokach matki przez wiele godzin. Nie uroniła nawet jednej łzy, jedynie tępo patrzyła w przestrzeń. „Gdyby było we mnie dobro, zapłakałabym nad własną matką” – pomyślała.

Alea miała tajemnicę. Tajemnica nazywała się Yorke i była przystojnym brunetem o olśniewającym uśmiechu.

Yorke nie urodził się w wiosce Alei. Rodzice oczekiwali od niego, że pozna trochę świata i wyszumi się, zanim zajmie się na poważnie dorosłym życiem. Zatem wypełnił sakiewkę pieniędzmi ojca – bogatego kupca – wsiadł na konia i ruszył w świat. Jeździł to tu, to tam, bawił się to lepiej, to gorzej. Aż w końcu na ubitej drodze spotkał Aleę dźwigającą naręcze chrustu. Już lekko zmierzchało. Pomarańczowo-czerwone promienie zachodzącego słońca delikatnie muskały sylwetkę dziewczyny. Yorke zatrzymał się gwałtownie, zsiadł z konia i szarmancko zaproponował, że poniesie drewno.

I tak się zaczęło. Wynajął pokój w najbliższym miasteczku. Dni spędzał na zabawie i odpoczynku, a wieczorami wymykał się do wioski. Spotykał się z Aleą w ustronnych miejscach, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Sama to zaproponowała.

Yorke patrzył jej prosto w oczy, nie umykał wzrokiem. Rozmawiając z nią, uśmiechał się szczerze, a nie nerwowo. Lubił ją dotykać – ot, przelotne, ale jakże przyjemne muśnięcia palcem po włosach albo ramieniu. Nie krzywił się na widok brzydkich poparzeń. Mówił, że Alea tak czy inaczej jest piękna. Nic dziwnego, że szybko zawrócił jej w głowie.

Nie przejął się, gdy dowiedział się o czarnym jaju; wręcz przeciwnie, wtedy jego zainteresowanie dziewczyną wzrosło. Na każdym kroku udawał, że staje się dla niego tą jedyną. Więc pozwalała mu na coraz więcej – śmielszy dotyk, zachłanne pocałunki.

Aż w końcu oddała mu siebie całą. Na początku się wzbraniała. Nie czuła się gotowa na taki krok. Poczwała strach, gdy Yorke, przygniatając ją swoim ciężarem, rozsznurowywał jej suknię. To było za szybko, za intensywnie. Zaprotestowała. Odpychając go rękami, prosiła, by się odsunął.

– Kocham cię. To naturalne, że chcę być z tobą. Gdybyś też mnie kochała, naprawdę kochała, nie kazałabyś mi przestać – powiedział.

Zabrała ręce i pozwoliła na wszystko, chociaż bolało i nie sprawiało żadnej przyjemności. Ale Yorke wyglądał na zadowolonego – i to się naprawdę liczyło. Kolejnym razem bolało już mniej.

Czas mijał, a oni dalej się spotykali, wciąż w ukryciu, wciąż po zapadnięciu

zmroku. Yorke niezmiennie obsypywał dziewczynę komplementami i powtarzał, że jest dla niego najważniejsza. Lubił jej też opowiadać o książkach, które przeczytał, i miejscach, jakie zobaczył. Miał naprawdę imponującą wiedzę. Alea często czuła się przy nim głupiotka jak gaska. Nie rozumiała, czemu wybrał właśnie ją. W jaki sposób zasłużyła na tyle szczęścia? Zastanawiała się tylko, kiedy to zniszczy – przecież ci, którzy ją kochali, w końcu umierali.

Malutka Alea miała jedną osobę, na którą mogła liczyć, a mianowicie ojca. Jajo należące do niego było szare, z zielonymi plamkami. Takie skorupki trafiały się najczęściej. Zieleń oznaczała rzecz jasna troskę o rodzinę. Natomiast szarość wędrowała do tych, którzy powinni się zająć pracą fizyczną.

– Niech będzie drwalem – zdecydował starszy. – Tak samo jak jego dziadek. Niech wie dzie spokojny, skromny, wypełniony pracą żywot. Tak najlepiej przysłuży się zarówno bliskim, jak i całemu społeczeństwu.

Alea mogłaby przysiąc, że ojciec nienawidzi swojej pracy. Smutniał za każdym razem, gdy brał siekierę i wychodził. Po powrocie krzywił się z bólu i w zadumie oglądał odciski na rękach. Ale przecież z proroczymi jajami się nie dyskutowało.

Ojciec kochał Aleę ogromnie. Przytulał i nosił na rękach. Głaskał po włosach. Mówił, że jest jego najwspanialszą dziewczynką. Strugał z drewna zabawki, nawet jeśli był bardzo zmęczony po ciężkim dniu. Przynosił z lasu poziomki, które absolutnie uwielbiała. Malissa kręciła na to nosem, niezadowolona, że jej mąż rozpuszcza córkę.

Alea uwielbiała ojca. Żałowała jedynie, że zawsze ignorował przykre słowa matki. Poza tym nigdy nie trzymał dziewczynki za rękę podczas wspólnych wędrowek przez wieś. Zupełnie jakby się wstydził to robić, gdy inni go obserwują.

Pewnego razu mężczyzna nie wrócił na noc. Jego ciało, stratowane przez dziką, znaleziono rankiem na obrzeżach lasu. Dookoła czerwieniły się rozsypane poziomki.

– Ty go zabiłaś! – wykrzyczała matka. – Nie byłoby go wtedy w lesie, gdyby nie twoje zachcianki!

Alea nie protestowała. To prawda, ojciec umarł z jej winy. Odebrała mu życie swoim łakomstwem. Już nigdy nie tknęła poziomek.

Jajo znalezione w kołysce Yorkego było brunatne, ze szkarłatnoczerwonym czubkiem. Brunatny kolor wyraźnie wskazywał, że przed chłopczykiem stoi otworem kariera naukowa.

– Nie zaniedbujcie tego dziecka. Dbajcie o jego umysł – nakazał starszy. – Zatrudnijcie porządných nauczycieli. Podsuwajcie mu tyle książek, ile zdoła przeczytać. A gdy dorośnie, wyślijcie na jakiś uniwersytet. Ale wcześniej pozwólcie mu trochę zaszaleć. Widzicie ten czerwony czubek? Chłopak powinien w młodym wieku przeżyć eksplozję namiętności, zanim się w całości odda roli naukowca. Potrzebuje takiego doznania. Ale musi to zakończyć dosyć szybko, jeśli chce przysłużyć się ludziom.

Dlatego Yorke pewnej nocy oznajmił Alei, że pora się rozstać. Leżeli nago na jego miękkim płaszczu, zdyszani i zmęczeni. Wyznał jej wszystko. Wiedział od dawna, że nie jest mu pisane szczęśliwe życie w małżeńskich pieleszach. I w pełni to aprobował. Do książek ciągnęło go dużo bardziej niż do dziewcząt. Podczas swojej podróży uznał, że pora odhaczyć krótką namiętność na liście zadań do wykonania, a wtedy ze spokojną głową zajmie się tym, do czego został stworzony. Alea natychmiast przykuła jego uwagę – piękna dziewczyna z policzkiem naznaczonym strasznymi bliznami. Czegoś takiego potrzebował. Interesująca tajemnica, którą warto odkryć. To te blizny sprawiły, że nie przejechał obok.

– Właściwie to powinnaś mi dziękować – dodał, wstając i ubierając się. – Na trochę przegoniłem twoją samotność i dałem ci zasmakować ciepła drugiej osoby. Gdyby nie ja, nigdy byś tego nie doświadczyła. A teraz zjeżdż z mojego płaszcza, proszę. I przestań ryczeć. Chyba nie oczekiwałaś, że splotę swoją przyszłość z kimś, w kim drzemie zło?

Kiedy Alea ukończyła dwanaście lat, dało się u niej zaobserwować zaczątki przyszłej urody. Dziewczyna zapowiadała się na prawdziwą piękność; widział to każdy, kto nie był ślepcem.

Malissa coraz częściej zauważała gorące spojrzenia zarówno młodych chłopaków, jak i starszych mężczyzn, wycelowane prosto w jej córkę. To było niewłaściwe i niepokojące. Nie mogła tego tak zostawić.

Pewnego razu w zamyśleniu mieszała strawę nad piecem. Alea siedziała przy pobliskim stole, obierając ziemniaki. Złote włosy splotła w schludny warkocz.

– Podejdz tu – rozkazała Malissa.

Alea odłożyła nożyk i zbliżyła się do kobiety. Ta chwyciła twarz córki w obie dłonie, starannie przyglądając się uroczym oczom, małemu noskowi i pełnym wargom.

– Jesteś śliczna – powiedziała.

To był pierwszy raz, kiedy dziewczyna usłyszała od matki miłe słowa. W jej sercu rozlało się przyjemne ciepło. Nie wiedziała, jak zareagować.

Zamrugła, żeby nie rozpląkać ze wzruszenia.

– Jesteś śliczna – powtórzyła Malissa, nawijając na swoją dłoń długi warkocz córki. – To niewłaściwe. Zło nie powinno być takie piękne. Złem nie wolno się zachwycać.

Zaniepokojona Alea próbowała się cofnąć, ale matka mocno chwyciła złoty warkocz i nie pozwoliła go wyrwać.

– Przyciągasz uwagę mężczyzn już teraz, a niedługo będzie jeszcze gorzej – kontynuowała. – Kiedy podrośniesz, sprowadzisz kogoś z zauroczonych nieszczęśników na złą drogę. Moim obowiązkiem jako matki jest w miarę możliwości zapanować nad twoim złem. Dlatego muszę zrobić to.

Szarpnęła za trzymane włosy. Alea, nie spodziewając się tego, straciła równowagę. Zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, matka już przyciskała jej lewy policzek do rozgrzanej płyty pieca i przytrzymała z całej siły. Bolało okropnie.

Tego wieczora Nekke wpadł na wieczerzę. Przyglądał się przez chwilę poparzeniom siostry, po czym wzruszył ramionami i usiadł do stołu. Nie zapytał, co się stało.

Nikt nigdy nie zapytał. Żaden z mieszkańców. Gdyby to spotkało kogoś innego, kobiety na wyścigi rzuciłyby się z maściami, opatrunkami i dobrym słowem, a mężczyźni dopytywaliby, kto ją skrzywdził. Natomiast nią nikt się nie przejmował. Została ze swoim bólem sama.

Wbiegła do domu, zalewając się łzami. Rozstanie z ukochanym bolało bardziej niż wszystkie cięgi, jakie dostała do tej pory od losu. Miała wrażenie, że poczucie krzywdy zaraz rozsadzi ją od wewnątrz. Chciała zwinąć się na łóżku i przestać myśleć.

Niestety Nekke jeszcze nie spał. Siedział przy zapalanej świecy i czyścił pędzle. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach terpentyny.

– Co się stało? – zainteresował się na jej widok. – Ach, nie mów, chyba się domyślam. Ten piękniś, z którym się prowadziłaś w sekrecie przede mną, w końcu cię pogonił? Czas najwyższy. Coś ty taka zdziwiona? Myślałaś, że nie wiem? Tutaj wszyscy wiedzą wszystko. Życzliwi mieszkańcy donieśli mi, że moja niegrzeczna siostra ma adoratora. Nie przejmowałem się, bo wiedziałem, że to nie przetrwa. Od początku było wiadome, że chłopak chce się tylko zabawić i skosztować zakazanego owocu. Nikt rozsądny nie zainteresowałby się na poważnie dziewczyną z czarnym jajem.

Te słowa przepełniły czarę goryczy. Gwałtowne mocje, kotłujące się w Alei, eksplodowały. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, chwyciła za nóż

i przyłożyła bratu do szyi.

– Zamilcz! – krzyknęła.

Posłuchał. Po raz pierwszy widziała Nekkego tak przerażonego i niepewnego. Spodobało jej się to. Dlaczego do tej pory tak dawała sobą pomiatać? Właśnie zdała sobie sprawę, że przecież jest dużo silniejsza od brata. Silniejsza fizycznie, bo w przeciwieństwie do niego pracowała przy obejściu, wyrobiła sobie kondycję i mięśnie, podczas gdy on pozostał wątpliwy i delikatny. Silniejsza psychicznie, bo przeżyła swoje, natomiast jego klepano po głowce i nigdy nie dano mu poczuć smaku przykrości czy odrzucenia.

– Siostrzo... Odłóż nóż. Proszę. Wcale nie chcesz mnie skrzywdzić. Wiem że nie chcesz. – Głos brata brzmiał bardzo żałośnie.

– Dlaczego miałabym tego nie zrobić? Przecież jestem zła. Może przed tym ostrzegało jajo? Może właśnie z powodu tego, co ci zaraz zrobię, moja skorupka w pełni zabarwiła się na czarno?

– Nie, nie! Jesteś dobra! Tak naprawdę jesteś dobra!

– Jajo mówi co innego – wycedziła Alea, przyciskając nóż nieco mocniej.

Mężczyzna pisnął, kiedy ostrze leciutko, ale boleśnie przecięło jego skórę. Rysa szybko zabarwiła się czerwienią.

– Jesteś dobra! Mogę to udowodnić! Tylko nie rób mi krzywdy! Błagam, błagam, nie rób mi krzywdy! – Nekke trząśł się jak osika, tracąc resztki opanowania.

– Udowodnić? Jak? – Zmniejszyła nacisk ostrza, ale nie zabrała noża.

W panice opowiedział jej wszystko. O tym, jaką czuł zazdrość, gdy się rodziła. O tym, że bladym świtem, zanim inni wstali, zajrzał pod jej poduszkę. O tym, że wyjął jajo w całości zabarwione złotem. O tym, jak przeraził się, że będzie znacznie bardziej utalentowana niż on. O tym, że dorwał farby i starannie zamalował jajo na czarno. O tym, że czekał w napięciu, niepewny, czy skorupka w porę wyschnie i czy podstęp się uda. O tym, jaką ulgę poczuł, gdy świętokradztwo, jakiego się dopuścił, nie wyszło na jaw. O tym, że pociął nożem jej obraz, bo stworzyła coś znacznie wykraczającego poza jego umiejętności. O tym, że to przecież nie jego wina, bo połowę jaja miał żółtą, a więc zawiść została wpisana w jego los. O tym, że tak czy inaczej żałuje, ogromnie żałuje.

– Sama zobacz – powiedział na koniec. – Użyj trochę terpentyny i zobacz, że czern zejdzie. Jesteś dobra, Aleo. Więc nie możesz mnie zabić. Nie możesz.

Alea na chwilę straciła zdolność oddychania. Chciała wierzyć bratu, bo to oznaczało, że nie tkwiło w niej zło. A jednocześnie bała się uwierzyć, gdyż wtedy wszystko, czego doznała przez lata, okazywało się tak bardzo krzywdzące.

Zabrała nóż i z całej siły uderzyła Nekkego w twarz, tak samo jak on ją lata temu. Zakwilił. Z jego nosa pociekła krew.

Alea, nic nie mówiąc, wzięła się za pakowanie swojego skromnego dobytku. Czuli, że jeśli zostanie tu chwilę dłużej, naprawdę zrobi coś złego. Dołożyła trochę jedzenia, a na koniec spakowała stojącą na stole buteleczkę z terpentyną. Nekke obserwował ją w milczeniu, przyciskając do twarzy zakrwawioną szmatkę. Dziewczyna wyszła w ciemną noc, nie oglądając się za siebie.

Alea szła przez uśpioną wioskę, dzwignając tobolek. Nagle zauważyła skupisko światełek zbliżających się do pierwszych zabudowań. Grupa ludzi z pochodniami. To musieli być bandyci, o których ostatnio mówiono w miasteczku. Okradli i spalili inną miejscowość, na tyle odległą, że nikt się ich tutaj nie spodziewał. Znajdowali się jeszcze daleko, więc miała czas ostrzec mieszkańców. Wystarczyło pociągnąć za sznur dzwonu alarmowego.

Podbiegła do dzwonu i zawahała się. Przypomniała sobie obojętność ludzi, ich okropne szept i spojrzenia. Poglądziła się po rwących bliznach na policzku i podjęła decyzję. Wyjęła krzesiwo i hubkę. Niedługo potem sznur płonął w najlepsze.

Odeszła cichutko w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przybywali bandyci. Szła, nie odwracając się za siebie. Dużo, dużo później przystanęła i zerknęła przez ramię, podziwiając krwawą lunę nad wioską. Uśmiechnęła się.

Postanowiła znaleźć jakiś zaciszny kącik w lesie i przespać się trochę. Jutro zmyje farbę z jaja i nareszcie zacznie żyć. Ze złotą skorupką może liczyć na zaszczyty i zachwyty niezależnie od tego, gdzie się uda. A jeśli czerń nie zejdzie? To nic, Alea sobie poradzi. Tak samo jak radziła sobie przez te wszystkie lata.

O Autorze:

Urodzona w 1988 roku. Mieszka w Lublinie. Absolwentka trzech kierunków: dziennikarstwa i komunikacji społecznej, psychologii, stosunków międzynarodowych. Współprowadzi firmę marketingową, specjalizując się w copywritingu. Fascynuje się kulturą Japonii. Uwielbia zbierać kamienie nieszlachetne. Do tej pory publikowała dwukrotnie w *Fantazjach Zielonogórskich*.

Piórek

Mateusz Dworak

Głowa zagoiła mi się dopiero po trzydziestu zdrowaśkach. Zwykle wystarczało dwadzieścia, ale dziś miałem pecha. Matka uderzyła mocniej, a wyszczerbiony brzeg patelni pozostawił po sobie głębokie rozcięcie.

Krew zalewała mi twarz. Wybiegłem z domu w kierunku lasu, nim sąsiedzi zobaczyli, co się stało. I tak mieli mnie za czarta w ludzkiej skórze, a ilekroć widzieli, jak traktuje mnie matka, zastanawiali się tylko, co zrobiłem tym razem. Wolałem, żeby nie oglądali świeżej krwi, ani tym bardziej tego, jak rana znika w ciągu kilkunastu minut, zamiast tygodniami zdobić mi czoło.

Odetchnąłem, ukryty między drzewami. Zboczyłem z wydeptanej przez tutejszych ścieżki i odnalazłem swoją – dziką i nieprzyjazną. Kończyła się przy źródelku, ale dało się do niego dojść bez przedzierania się przez wiecznie wyschnięte jeżyny i pokrzywy sięgające twarzy, więc nikt tędy nie chadzał, byłem bezpieczny. Pierwszy raz przyszedłem tu w dniu śmierci ojca. Tak strasznie wtedy krzyczał... na matkę, na mnie. Bałem się, że zabije nas oboje.

Sięgnąłem po różaniec. Zawsze nosiłem go przy sobie, modlitewnik też – były kradzione, ale nie miałem wyboru, bo matka nie chciała mi dać własnych. Nie posłała mnie nawet do pierwszej komunii. Mówiła, że to nic nie da.

Odmawiałem tajemnice bolesne, wyobrażając sobie, że krew wypływała z rany nie po starej patelni, a po cierniu z korony, i to przyniosło mi ulgę. Cierpiałem jak Jezus, a moje cierpienie było ważne... i niezawinione.

Powtarzałem kolejne zdrowaśki, pozwalając nogom nieść się znajomą ścieżką. Bardzo chciałem zrozumieć tę modlitwę, ale nie potrafiłem. Dlaczego prośby były na samym końcu? Większość słów po prostu wychwalała pod niebiosa zwykłą dziewczynę i za co? Za to, że anioł zrobił jej dziecko? Czy to czyniło ją kimś wyjątkowym? A może gdyby nie modlitwa i te wszystkie pochwały, nadal byłaby zwyczajna? Nie wiedziałem, ale matce nie spodobały się moje wątpliwości. Postanowiłem więcej o to nie pytać, tylko powtarzać słowa jak wszyscy. Wierzyłem, że kryje się za nimi coś więcej... musiało się kryć, bo moje modlitwy działały. Matkę to przerażało. I każdego, kto o tym usłyszał.

Zatrzymałem się przy źródelku. Wiosną zamieniało się w mały strumyk leniwie płynący do pobliskiej rzeki, ale o tej porze roku przypominało raczej zmaconą kałużę – ledwie mogłem nabrać wodę w dłonie. Zamoczyłem twarz i powoli ścierałem zaschniętą krew. Rana zniknęła, Bóg wysłuchał moich modlitw. Zdjąłem koszulę i zamoczyłem ją w mętnej wodzie. Matka twierdziła, że krwi nie da się sprać, ale moja schodziła za każdym razem, wystarczyło się pomodlić. Gdy wracałem w czystym ubraniu, bez śladu po karze, to było tak, jakby nic się nie stało. Matka udawała razem ze mną. Czasem pozwalała mi zjeść kolację z Zośką i Helą, krzyczała tylko, że się włóczę.

Coś się stanie, uderzyło mnie, gdy tylko mokry materiał przyłgnął mi do pleców, jakby ktoś wepchnął mi tę myśl do głowy. Zadrzałem. Miałem wrażenie, że chłód wody przesiąknął mi przez skórę i wlał się prosto w serce. Nawet bez zdrowasiek o wiele łatwiej było się pozbyć zaschniętej krwi niż takiej obcej myśli. Plamiła każdą inną i wkrótce nie potrafiłem skupić się na niczym poza wpatrywaniem zagrożenia.

Ruszyłem przez las. W jednej chwili stał się dla mnie jak pole bitwy. Kulilem się na każdy szelest, szukając okropności, która mogłaby wywołać moje przeczucie. Miewałem podobne co kilka tygodni, ale nigdy nie doświadczałem ich aż tak mocno. Dłonie mi drżały, nawet zaciśnięte na różańcu. Musiałem wiedzieć, musiałem...

W oddali między drzewami mignęły jasne warkocze i nagle wszystko zrozumiałem. Zerwałem się do biegu.

– Heła! Zośka!

Dopadłem do nich zdyszany. Nabrałem wprawy w udawaniu i czasem ludzie nie zauważali, że bieganie męczyło mnie o wiele mniej niż kilka zdrowasiek w ważnej sprawie, ale siostry i tak wpatrywały się we mnie ze zgrozą.

– Matka mnie szuka? – zapytałem z ledwie iskierką nadziei.

– Po coś tu przylazł, Marcel? Kto ci powiedział? – syknęła Zośka.

– Ale co?

– Nico. Wracaj do domu!

– Gadaj!

Mimowolnie zacisnąłem pięści i świat przede mną ustąpił. Wyras twarzy Zośki stał się nieobecny i obojętny.

– Znaleźli w lesie bunkier i Rafał chce zobaczyć, czy są tam trupy. Idziemy z nim.

– Marcel! – jęknęła Heła. – Powiem matce, zobaczysz!

Podążyłem za jej wzrokiem i zobaczyłem czarne pióra. Nie rozumiałem, dlaczego tak się działo, ale to nie był pierwszy raz. Żadnej modlitwy, nic, wystarczyło, że poniosły mnie nerwy. Tylko na matkę to nie działało, na wszystko odpowiadała mi gniewnie uniesioną dłonią.

– Nie chciałem, słowo!

– Chodź. – Zośka chwyciła Helę za rękę i pociągnęła ją ze sobą.

Obejrzała się na mnie. Czekałem. Odmówiłem trzy zdrowaśki, nim ruszyłem za nimi, ale i tak się zorientowały.

– Marcel, do domu!

Potrząsnąłem głową. Miało się stać coś złego, a moje siostry szły z chłopakami szukać trupów. I to tutaj! Nie mogłem ich puścić samych, wojna zostawiła w lesie zbyt wiele pamiątek. Na nieoznaczony grób lub walające się luzem kości przy odrobinie szczęścia mógł natrafić każdy. Równie łatwo było znaleźć niewypały, choć to już nie było szczęście. Od zeszłego lata wybuchy pozabijały kilkanaście dzieciaków z okolicy. Trzem urwało ręce, a niedaleko nas mieszkał jeden chłopak oślepiiony przez odłamki. Chciałem się za niego pomodlić, ale matka mi nie pozwoliła.

– Zośka? Co się tak guzdracie? – z daleka dobiegł nas głos Rafała. – No chodźcie... Ej!

Dopiero mnie zobaczył, skulonego pod ciężarem złych przeczuć, jakbym się chował za siostrami. Weszły na polanę ze spuszczonej głowami, ja zatrzymałem się na skraju. Oprócz Rafała czekało tu trzech chłopaków: dwóch Staśków i jeden Michał. Michał był w wieku Zośki i od dawna się w niej podkochiwał. Starszy Stasiak był wysoki i przyszczaty. Ten drugi, brat Rafała, w tym roku był u komunii. Kiedyś użądliła go pszczoła i zrobił się cały siny. Odmówiłem za niego dziesięć zdrowasiek. W życiu nie mówiłem różańca tak szybko, ale po wszystkim Rafał mi podziękował. To był jedyny raz.

– Czego tu, Piórek? Nie zapraszaliśmy cię! – Rafał wreszcie odzyskał głos.

Piórek. Zaczął mnie tak nazywać po tym, jak pomodliłem się za Stasia. Wszystko przez te wypalone ślady na ziemi – wyglądały jak rozsypane pióra.

– Znalazł nas po drodze i uczeplił się jak rzep – wymamrotała Zośka, a Hela gorliwie pokiwała głową. – Matka dała mu rano po łbie i teraz boi się wrócić do domu.

Michał i Stasiak parsknęły głupekowato. Rafał uniósł rękę i wskazał las, w kierunku źródelka, jakby rozkazywał psu. Nawet nie drgnąłem. Mały Stasio pociągnął go za rękaw. Wymienili spojrzenia i Rafał dał za wygraną.

– Dobra, niech zostanie. Przyda się specjalista od trupów.

Znowu śmiech, tylko moje siostry wbiły wzrok w ziemię. Tak, byłem specjalistą od trupów i Rafał lubił mi o tym przypominać. Naprawdę potrafił dopiec, ale odkąd uratowałem Stasia, przynajmniej nie pozwalała chłopakom rzucić we mnie kamieniami.

– To co, idziemy?

Trzymałem się z tyłu. Nie zamierzałem mieszać się w to ich towarzystwo, wystarczało mi, że miałem dziewczyny na oku. Las mnie niepokoił.

Rafał prowadził nas daleko, w nieznane rejony i z każdym krokiem czułem, że to zły kierunek. Powietrze wydawało się ciężkie i ostre, w dodatku plecy mnie bolały i miałem wrażenie, że oblażło je stado mrówek. Co chwila oglądałem się za siebie, by zobaczyć na ściółce wypalone czarne ślady mojej modlitwy. Co to był za bunkier? Co tam się stało? A może to jakiś zbiorowy grób? Wciąż zaciskałem palce na różańcu, ale przestałem odmawiać kolejne zdrowaśki. Musiałem oszczędzać siły.

Wiedziałem, że to już, nim Rafał się zatrzymał. Było mi duszno, a ziemia zdawała się skrzypieć pod moimi stopami jak belka w szopie, gdy ojciec... Potrząsnąłem głową. Musiałem wziąć się w garść.

Rafał wskazał olbrzymią gałąź ułożoną na ziemi, bardzo zwracała na siebie uwagę. A może po prostu czułem, że coś ukrywała? Michał i Stasiak ją odciągnęli, odsłaniając pokryty rdzą, prawie zupełnie wciśnięty w ściółkę wąż.

– Robi wrażenie, co? – zapytał Rafał.

Spojrzałem na niego i zrobiło mi się niedobrze. Na obraz, który widziałem, nałożył się nowy. Twarz Rafała była na nim blada jak u nieboszczyka, niby biała, ale nie do końca – gdzieś tam przemykały inne kolory, sine szarości i brudne odcienie zieleni. Oczy miał puste, zarośnięte mgłą. Przesunąłem wzrok na wąż i zobaczyłem na nim świeżą krew, a dookoła znajome ślady wypalone na ściółce, więcej niż kiedykolwiek, nawet tego dnia, gdy odmówiłem różaniec za Stasia.

To trwało ledwie kilka sekund, potem wizja zniknęła. Nie miałem jednak wątpliwości, że wróci, tym razem prawdziwa.

– Musimy stąd iść – szepnąłem do dziewczyn. Rafał to usłyszał.

– Co, Piórek, strach cię obleciał? Nigdy nie widziałeś trupa?

Znów zaśmiał się w chórze z Michałem i Staśkiem. Bo widziałem trupa. Wszyscy we wsi wiedzieli i oni też.

To ja znalazłem ojca. Przewrócony stołek, sznur, skrzypiąca belka w szopie. Jego krzyki z tamtego ranka do dziś odbijały mi się echem w głowie.

Stara kurwa! Matka diabła!

Do mnie odezwał się tylko raz, ale spojrzenie miał takie, że uciekłem do lasu.

Kim ty, do cholery, jesteś?!

To się stało po tym, jak pierwszy raz odmówiłem swoje zdrowaśki. Powiedziałem ojcu, że wolałbym mieć jasne włosy jak matka i moje siostry. Śmiał się. Powiedział, żebym się pomodlił, to może Bóg mnie wysłucha.

Modliłem się całą noc i Bóg mnie wysłuchał, ale ojciec... ojciec tego nie zniósł, a matka mnie znienawidziła.

Gdy znalazłem ojca, nie pobiegłem po pomoc. Było za późno, śmierć biła od jego ciała jak najstraszliwsze zimno, a piekło rozciągało się pod jego dyndającymi stopami. Usiadłem i czekałem, aż coś się stanie. Aż ktoś przyjdzie i wyjaśni mi, dlaczego świat nadal istniał. Dlaczego to straszne zdarzenie go nie skończyło.

Zimno śmierci zapadło mi głęboko w pamięć. Dziś znowu je czułem, tu, w lesie.

– Zostawcie to! – zawołałem do chłopaków mocujących się z włazem. – Tam na dole jest śmierć!

Parsknęli śmiechem, tylko mały Stasio spoglądał to na mnie, to na Rafała, nie wiedząc, komu wierzyć. W końcu też zaczął się śmiać, ale bez przekonania.

– Marcel, idźże do domu! – warknęła Zośka.

– Nie!

Ona nie rozumiała, musiałem tu być. Chwilę temu widziałem na włazie krew, moją krew. Musiałem zostać. Beze mnie krwi by nie było, a właz pozostałby zamknięty z nimi wszystkimi w środku. Co powiedziałbym matce? Że zimno zabrało moje siostry? Przecież wtedy piekło rozciągnęłoby się i pod jej stopami.

Okropne skrzywienie wstrząsnęło lasem, jakby otwierały się wrota zaświatów. Zamarłem. To nie był bunkier. Na dole musiał czekać ojciec wraz ze swoim piekłem. Może powie mi, przed czym tam uciekł? Dlaczego nazwał matkę kurwą? Kim byłem? Czemu Bóg zawsze mnie wysłuchiwał?

– Tam jest śmierć – powtórzyłem drżącym głosem.

Hela spojrzała na Zośkę, Zośka poczerwieniała, a chłopaki wymienili spojrzenia.

– No pewnie, że tak – powiedział Rafał. – Szukamy trupów, nie? Rusczy wymordowali masę tutejszych, jacyś jeńcy pewnie zostali w bunkrze.

To wyjaśnienie nie miało dla mnie sensu. Trupy nie mogły nas skrzywdzić, co najwyżej nastraszyć dziewczyny i Stasia, a chłód wypływający przez otwarty właz wyraźnie niósł krzywdę. Tu stało się coś strasznego i znowu miało się stać.

– Trupy w niepoświęconej ziemi to bardzo źle. Bardzo! – zawołałem, przypominając sobie, co wszyscy mówili o ojcu.

– No właśnie, musimy coś z tym zrobić – nalegał Rafał. – Mamy wodę święconą, zobacz!

Wyrwał Michałowi butelkę z wodą, raczej ze źródelka niż z kościoła, odkręcił ją i podetknął mi pod nos. Woda była mętna i nie czułem od niej niczego poza lasem.

– To nie jest woda święcona.

– No pewnie, że jest. Ksiądz święcił na Wielkanoc i w ogóle.

– Nie jest!

– To sam ją sobie poświęć, mądralo.

Postawił butelkę na ziemi obok włazu i wycofał się do chłopaków. Coś szeptali, ale nie służyłem, tylko wyciągnąłem swój modlitewnik ukradziony księdzu. Były w nim rzeczy, których w zwykłym modlitewniku bym nie znalazł – na przykład modlitwa na poświęcenie wody. Przez niego obcy mówili, że pójde na księdza, choć dla tutejszych był to tylko kolejny dowód na moją diabelską naturę.

Tuż przy włązie uczucie wiszącej w powietrzu śmierci zrobiło się jeszcze silniejsze. Cokolwiek kryło się na dole, na pewno nie bało się wody święconej. Przerzuciłem kilka stron i znalazłem lepszy rytuał: egzorcyzm wody i soli. Soli nie miałem, ale rozumiałem dość łaciny, żeby znaleźć część dotyczącą wody. Zacząłem czytać.

– *Exorcizo te, creatura aquae, in nomine Dei* – nakreśliłem nad butelką znak krzyża – *Patris omnipotentis, et in nomine...*

Moja modlitwa zamieniła się w krzyk, gdy we trzech mnie przewrócili i wrzucili w ciemność bunkra. Uderzyłem o coś głową, ból mnie ogłuszył. Słyszałem trzask opadającego włazu, odległe śmiechy, krzyk... Czulem śmierć... Przychodziła po mnie? A może to ojciec? W myślach powtórzyłem kilka zdrowasiek i śmierć ode mnie odstała. Znow mógłem się ruszać, roztrzęsiony i obolały, ale żywy.

Wstałem i ruszyłem przed siebie, opierając się o ścianę. Była chropowata i zimna jak całe to miejsce. Podążałem za tym chłodem, musiałem znaleźć jego źródło pierwszy. Cokolwiek go roztaczało, dostanie tylko mnie, a jeśli zdąży odmówić różaniec, nie dostanie nikogo.

Dotarłem do drzwi z grubego metalu – wydały mi się lodowate w zupełnie nierzeczywisty sposób. Spróbowałem je otworzyć, ale nawet nie drgnęły. Czulem, że nie drgnęłyby, choćby Rafał, Michał i Stasiak mocowali się z nimi przez cały tydzień. Były zamknięte, a my byliśmy bezpieczni.

Usiadłem na ziemi, naprzeciw śmierci. Odkąd dziś umyłem się przy źródle, wyczuwałem jej straszliwy chłód, a jednak okazała się uwięziona i bezwolna. Kto ją tu zamknął? Czym był ten bunkier i dlaczego był w stanie ją zatrzymać? Przecież ja mógłem wyjść, musiałbym tylko odmówić kilka zdrowasiek, żeby właz dał się podnieść.

Nie chciałem wychodzić. Tu, za tymi drzwiami, było coś znajomego. Czulem się trochę jak wtedy, gdy siedziałem przy ojcu. Śmierć go ode mnie oddzieliła, ale był gdzieś po drugiej stronie. Za tymi drzwiami też ktoś był. Ojciec? Czy to możliwe? Nie czulem jednak piekła, tylko śmierć, jak zimny mur... i coś ukrytego za nią.

Poderwałem się na zgrzyt podnoszonego włazu. Dobiegł mnie zniekształcony głos Zośki, a potem Rafała.

– Marcel!

– Piórek, żyjesz?

Żyłem. Matka nieraz próbowała mnie zagłodzić i nigdy jej się to nie udało, a gdy byłem w wieku Stasia, starsi chłopcy wrzucili mnie do studni. Nie utonąłem.

Ruszyłem z powrotem do wejścia, moje kroki niosące się echem dały im odpowiedź. Diabły nie umierają – matka zawsze mi to powtarzała.

– Mogę już wyjść? – zwróciłem się do jasnego kręgu nad moją głową.

Zaśmiali się.

– I co, znalazłeś śmierć?

– Tak. Jest zamknięta.

– Jak to *zamknięta*?

– Za drzwiami. Jak chcecie, sami zobaczcie.

Już się nie bałem. Wrzucili mnie do bunkra pełnego śmierci, więc coś się stało i nie musiało się dziać nic więcej. Chciałem im pokazać drzwi. I tak były zamknięte, a może chociaż raz poczują to co ja? Może chociaż jakiś niewytłumaczalny strach i chęć powrotu do domu? Cokolwiek...

Zeszli po kolei, Michał i Rafał zapalili latarenki. Rafał dał swoją Stasiowi, który ani myślał odsunąć się od drabiny.

– No, gdzie ta śmierć? – zapytał Rafał.

Wskazałem ledwie widoczny w półmroku zarys drzwi w głębi korytarza.

– Cuchnie?

– Nie.

– To skąd wiesz, że tam są trupy?

– Nie trupy, tylko śmierć. Zimno.

Machnął ręką. Nikt nigdy nie rozumiał, o czym mówiłem. Nikt nie wyczuwał w powietrzu tego co ja ani nie widział tego, co widziałem. Zimno dochodzące zza drzwi w bunkrze było zupełnie inne niż zimno pieca wygasłego przez noc, a jednak nie miałem na nie lepszego słowa. Zimno. Chłód. Śmierć.

Rafał załomotał pięścią w drzwi.

– Halo! Śmierć? Jesteś tam?!

– Nie budź jej!

To znowu nie były dobre słowa. Ona nie spała, była uwięziona, związana... Te więzy były jak wiszący w powietrzu zakaz niemożliwy do złamania. Tak jak kury miały zakaz odlatywania do ciepłych krajów, a koty zakaz znoszenia jajek.

– Piórek, chodźże tu!

Posłuchałem. Chciałem zobaczyć drzwi w świetle latarenki, zrozumieć, czemu wyczuwałem zza nich coś znajomego. Ich widok sprawił, że moje serce zmieniło się w drżącą bryłę lodu. Mimo to nie potrafiłem oderwać od nich wzroku.

– Umiesz trochę po rusku? Albo Zośka?

– To... to nie jest ruski.

Drzwi pokrywały znaki obcego, kanciastego alfabetu. Nie rozumiałem ich, ale czułem bijące od nich setki zakazów i ostrzeżeń stojące na drodze zimnu. Słaby. Może dlatego rozpoznałem śmierć z daleka? Cokolwiek ją więziło, nie miało już siły.

– Co tu jest napisane?

Rafał spoglądał na wszystkich po kolei, ale nikt mu nie odpowiedział.

– Starsze ode mnie byty nie istnieją, chyba wieczyste, a jam nieprzeżyta – szepnąłem.

Ktoś za drzwiami do mnie mówił. Dzieląca nas śmierć zagłuszała te słowa, ale i tak je słyszałem.

– Śmierć, buuu! – zawołał Michał

Nie zareagowałem. Rafał też nie. Wpatrywał się w drzwi jak zakłęty.

– Piórek, otwórz je.

– Co?

– Otwórz te drzwi.

Złapałem za uchwyt. Był lodowaty, aż zapiekła mnie dłoń. Szarpnąłem, drzwi nawet nie drgnęły. Zamiast ulgi poczułem zawód. Naprawdę chciałem je otworzyć. Choć na chwilę zajrzeć do środka.

– Otwieraj!

– Nie da się...

Wzrok miał skupiony i zimny, jakby zaraził się od drzwi. Jego oczy znów wydały mi się martwe. Stasio błagalnie pokręcił głową, ale tym razem Rafał go zignorował.

– Wiem, że potrafisz... Otwieraj, bo powiem proboszczowi, kto mu zwinął brewiarz!

Co zrobi matka, gdy się dowie? Pewnie zabierze mi książeczkę i różaniec. Nie pozwoli mi więcej nawet podejść pod kościół posłuchać mszy...

Spojrzałem na Stasia. Nie wiedział, co czekało na nas po drugiej stronie, ale i tak się tego bał, jakby dosięgnęły go moje przecucia. Tyle że ja nie potrafiłem się już skupić na strachu, ciekawość była silniejsza. Ten głos, który wcześniej do mnie mówił... Musiałem wiedzieć, co tam się ukrywało, oddzielone od świata śmiercią, i dlaczego było takie znajome.

Wszyscy się cofnęli, gdy zrobiłem krok w stronę drzwi. Omiotłem je wzrokiem: cięższe od tych od szopy, metalowe i zamknięte nie na kłódkę, a na wiarę mniejszą od ziarnka gorczycy. Mniejszą od mojej.

Wsadziłem rękę do kieszeni i złapałem w palce pierwszy koralik różańca. Jedna zdrowaśka – tyle potrzebowałem, żeby zrozumieć, że zrobiłem coś złego. Było za późno, ból odebrał mi modlitwę. Nogi się pode mną ugięły, ktoś zrzucił mi na głowę kościół... katedrę. Dzwony, w uszach dźwięk wszystkich dzwonów świata i bicze smagające ciało. Droga krzyżowa? Krzyczałem... a może tylko leżałem skulony, czekając na koniec. Na moją Golgotę i grób, z którego już nie powstanę.

Wszystko ustało. Czy to anioł odsunął głaz i mnie wypuścił? Otworzyłem oczy. Nad sobą zobaczyłem Hełę, Zośkę i Stasia. Byli bladzi nawet w pomarańczowym świetle latarenki.

– Co z tobą, Marcel? – zapytała Zośka.

– Zostawcie go, niech sobie jęczy!

Usiadłem i rozejrzałem się w poszukiwaniu śmierci. Nigdzie jej nie widziałem, choć ciężkie, metalowe drzwi stały otworem. Rafał, Michał i Stasiak byli już po drugiej stronie, z wnętrza dobiegał ciepły blask drugiej latarenki.

– Dziewczyny, chodźcie tu! – zawołał Rafał.

Na zewnątrz zostaliśmy tylko ja i Staś. Zerkał to na mnie, to na drzwi. Nie chciałem, żeby tam wchodził. Śmierć mogłaby go pomylić z bratem, a gdyby ktoś znów uderzył mnie w głowę kościołem, moje zdrowaśki by mu nie pomogły.

– Czegoś się tak przestraszył, Piórek? – zapytał półgłosem.

– Nie przestraszyłem się. Bolało.

Znowu złe słowo. Ból oznaczał, że z ciałem działo się coś złego, a gdy otworzyłem drzwi, pomocy wzywało nie moje ciało, lecz dusza. Krzyczała, ile sił, a ja nie mogłem nic zrobić.

– Rozszpaleś się.

Wskazał podłogę dookoła mnie. W świetle latarenki dostrzegłem mozaikę czarnych śladów przypominających pióra. Drzwi chciały mnie skrzywdzić. One lub to, co za sobą ukrywały. Coś jednak im przeszkodziło. Musiałem dowiedzieć się co.

Zostawiłem Stasia samego na korytarzu i przekroczyłem próg. Powietrze zrobiło się szorstkie, a moje ciało ugięło się jak pod ciężarem krzyża. Znów słyszałem dzwony, choć tym razem bardzo odległe.

Znalazłem się w najdziwniejszym pokoju, jaki kiedykolwiek widziałem. Matka nie pozwalała mi chodzić do sąsiadów, więc poza własnym domem widziałem tylko proboszczowe kwatery, do których raz dostałem się, otwierając drzwi zdrowaśką, i gdyby nie to, pomyślałbym, że w tym bunkrze mieszkał ksiądz. Nie było nawet łóżka, tylko biurko i biblioteczka... i krzyże, mnóstwo krzyży. Pokrywały większość ścian, nachodziły jeden na drugi, przeszkadzały sobie. Większość pożerała rdza i pleśń, a nieliczne, które ostały się nienaruszone, tworzyły pętlę obejmującą pokój. Jednego w niej brakowało, sporego, mosiężnego – Rafał podrzucał go w dłoni, jak zabawkę.

– Odłóż go na miejsce, on musi tam być!

Spojrzał na mnie tak jak zwykle – jak na szaleńca, z którym nigdy do końca nie było wiadomo, czy był niebezpieczny, czy po prostu śmieszny. Po chwili wiercenia mnie wzrokiem wyszczerzył zęby.

– Boisz się krzyża, Piórek? Buuu!

– Oddawaj!

Trzymał go do góry nogami, nie mogłem na to patrzeć. Rzuciłem się na niego i chwyciłem krzyż. Syknąłem i odskoczyłem, dłoń piekła mnie, jakbym złapał za nagrzaną koniec pogrzebacza. Rafał się zaśmiał.

– Czyli jednak się boisz?

Dołączył do pozostałych, przerzucających prastare książki. Usiadł na biurku, zaskrzypiało pod jego ciężarem. Czekałem, aż się załamie. Sięgnąłem po różaniec i zacząłem odmawiać zdrowaśkę, ale zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłem, coś mnie powstrzymywało. Nie powinno się prosić w modlitwie o cudzą krzywdę, ale sam kiedyś słyszałem, jak matka błagała Boga, żebym umarł. Nie ukarał jej za to, a ja nie mogłem popsuć głupiego biurka?

Nie mogłem. Jezus spoglądał na mnie z każdego krzyża wrośniętego w te przekłete ściany i mówił to samo, co matka: żebym przestał, bo bezczeszczę modlitwę. Że lepiej by było, gdybym się nigdy nie modlił. I nigdy nie urodził.

Puściłem różaniec i wbiłem wzrok w podłogę. Chociaż na niej nie było krzyży, ale i ona kryła w sobie coś złowrogiego. Ślady jak ciernie... Nie, ludzkie kości. Do kogo należały? Jak długo musiały tu leżeć, skoro zdążyła na zawsze je zapamiętać?

Krzyże, dwa stare meble, jeszcze starsze książki i zniszczona podłoga. To wszystko za takimi drzwiami? Gdzie się podziała śmierć strzegąca tego miejsca? Po co były te drzwi? Czegoś brakowało, coś wciąż umykało nawet przede mną, ale przecież ten głos, napisy na drzwiach...

I wtedy to zobaczyłem: ciężka skrzynia w przeciwnym rogu pokoju. Mógłbym przysiąc, że jeszcze przed chwilą jej tu nie było i dopiero teraz wychyliła się z ukrycia jak zza niewidzialnej zasłony. Wyglądała jak trumna... Nie, trumna dawała zmarłemu miejsce spoczynku, a nie więziła go w śmierci wbrew jego woli. Podeszedłem do niej. Bijące od niej zimno słabło wypierane przez tę samą obecność, którą czułem nawet przez drzwi.

Położyłem dłoń na skrzyni. Była ciepła i pulsowała delikatnie jak olbrzymie, choć bardzo słabe serce. Nabierało sił. Cofnąłem rękę i sięgnąłem do kieszeni po różaniec, ale znów poczułem na sobie karcące spojrzenie setek krzyży.

– Piórek, coś ty tam znalazł?

Teraz i oni zauważyli skrzynię. Zostawili w spokoju stare książki i biurko pełne niezrozumiałych notatek i rzucili się na nią. Rafał mnie odepchnął, grożąc krzyżem zerwanym ze ściany. Michał i Stasiek chwycili wieko.

– Nie otwierajcie jej – jęknąłem.

Ciekawość mnie opuściła. Las, bunkier, drzwi, niewidzialna zasłona i wreszcie skrzynia – to była ostatnia linia obrony, za którą czyhało coś gorszego od śmierci. Znajome czy nie, nie chciałem na to patrzeć, a jeszcze bardziej nie chciałem, żeby to patrzyło na mnie.

Rafał dał znak Michałowi i Staśkowi. Ignorując karcące spojrzenie Jezusa, chwyciłem różaniec i zacząłem się modlić, żeby skrzynia pozostała zamknięta.

Za późno. Wieko ustąpiło i pomieszczenie zalała fala chłodu – wsiąknął w pokryte krzyżami ściany, jak rozlana woda wsiąkała w ziemię. To trwało

mgnienie oka, ledwie to poczułem, a pozostali tylko się wzdrygnęli, skupieni dookoła skrzyni.

Je też zajrzałem do środka. Wnętrze wypełniał popiół, w którym zagrzebane były resztki kości, cztery zardzewiałe gwoździe i łańcuchy niewiążące już niczego. Moje siostry odsunęły się, wydając z siebie zgodny jęk odrazy, ale Rafał z uznaniem pokiwał głową.

– No, Piórek, miałeś rację. Śmierć zamknięta w skrzyni, nieźle. Stasio, chodź zobacz! Znaleźliśmy trupa!

Stasio zapomniał słów. Kręcił głową, a jego twarz traciła kolory. Rafał dał mu spokój i sam zaczął grzebać w skrzyni, przeczesując popioły palcami. Po raz kolejny tego dnia wydał mi się okropnie martwy jak na kogoś żywego.

– Chodźmy stąd, proszę...

Zośka posłała mi karcące spojrzenie. Ani myślała pokazać reszcie, że się boi, podobnie Hela. Od bania się byłem ja. Czort, potwór, bękart i ojcobójca zostawiający wszędzie wypalone ślady piór jako dowód zbrodni.

Podszedłem do skrzyni i chwyciłem wieko, gotowy je zatrzasać, choćbym miał odrąbać Rafałowi ręce. Spojrzałem w dół i zamarłem.

Kości przybywało. Proch poruszony przez Rafała osiadał na nich i powoli je odbudowywał. W oczach stawały się pełniejsze, a pomiędzy nimi pojawiały się nowe grudki, które również rosły do rozmiaru kości. Nie rozumiałem, jak mogli tego nie widzieć. Próbowałem tłumaczyć, ale na niewiele to się zdało: Rafał się śmiał, Michał i Stasiek mówili, żebym się zamknął, a Zośka i Hela, żebym poszedł do domu. Stasio czekał na korytarzu z latarenką, odsuwał się coraz dalej i dalej. Nikt mnie nie słuchał.

Rafał wrzasnął i dopiero wtedy przejrzeni na oczy. Kościste szpony zacisnęły się na jego przegubie, wbijając się głęboko w ciało. Krew mieszała się z popiołem, płynęła coraz szybciej i szybciej, wsysana przez skrzynię. Wszyscy krzyczeli, Rafał się szarpał, Michał i Stasiek próbowali go odciągnąć, a ja... mnie wcale tu nie było. Patrzyłem na to jak na kłótnię sąsiadów podglądanych przez okno. To się musiało stać, Bóg i Szatan zdecydowali o tym, gdy dziś rano szedłem nad źródółko, tak jak kiedyś zdecydowali o losie Hioba. Teraz tylko odgrywało się to, co już dawno zostało ustalone.

– Marcel, zróbże coś! – wrzasnęła Zośka.

Jej głos mnie ocucił. Moja dłoń odnalazła w kieszeni różaniec, druga chwyciła kości, odciągając je od Rafała. Jezus spoglądał na to pogardliwie z setek krzyży, ale przecież nie miałem wyjścia.

Ledwie zacząłem odmawiać pierwszą zdrowaśkę, dłoń ze skrzyni puściła i Rafał upadł na ziemię, przewracając pozostałych. Ale dłoń chwyciła mnie. Chwyciła moją modlitwę i wydarła mi ją z gardła, z myśli, z duszy. Zmieszała ją z prochem i już nie krew, a moja wiara przywracała mu pierwotną postać.

Skrzynia runęła niczym wieża Babel, wzbijając wszędzie tumany kurzu. Latarenka zgasła, jedyne źródło światła stanowiła teraz ta porzucona przez Stasia na korytarzu. Pomieszczenie wypełniały ciemność i chłód uciekający przed sylwetką powstającą pośród szczątków skrzyni.

– Drzwi! – zawołałem, przekrzykując ich wrzaski. Nie byłem nawet pewny, czy widzieli to co ja, ale coś musieli widzieć. – Musimy je zamknąć, szybko!

Rafał znów wrzasnął i tym razem wiedziałem, że moje przecucie i wizja znad źródła się dokonały. Szkielet otulony grubą warstwą prochu stojącego się ciałem ścisnął go za skronie. Miał już oczy, płomiennie-złote, rozżarzone jak węgle. Spróbowałem go odepchnąć... ją, to była kobieta. Rafał upadł na ziemię zbyt martwy, żeby wstać, i zbyt żywy, żeby umrzeć do końca. Ona uniosła mnie i cisnęła z taką siłą, że nie rozumiałem, jak mogły ją tu utrzymać jakiegokolwiek łańcuchy, jakiegokolwiek skrzynia i jakiegokolwiek drzwi.

– Jesteś jak ja... – syknęła i byłem absolutnie pewien, że nie zrobiła tego w ludzkim języku.

Moje plecy przywarły do ściany, do dziesiątek martwych krzyży. Każdy palił żywym ogniem, rozpaczliwie, ostatnim wysiłkiem, próbując ją tu zatrzymać. Chłód od niej uciekał, a proch ją otulał i budował. Spojrzała dla mnie. Dwa gwoździe ze zniszczonej skrzyni przebiły moje ramiona.

Wrzasnąłem. Gwoździe paliły bardziej niż krzyże, ból mnie oślepił i rozpraszał myśli, a wszechobecny chłód wlewał się we mnie przez dwie małe rany. Gdybym był arką, a ona powodzią, Noe by utonął. On, jego rodzina i dwie pary każdego rodzaju zwierząt, dzięki którym świat miał się narodzić na nowo.

– To tylko na chwilę. – Jej głos dotarł do mnie, przedzierając się przez ból. – Nie chcę, żebyś przeszkadzał.

Zmusiłem się, żeby otworzyć oczy. Patrzenie na nią było jak obserwowanie czyjejś śmierci od końca. Umierała odwrotnie, w oczach stawała się bardziej żywa, aż wreszcie pośrodku pomieszczenia stała piękna dziewczyna. Podłogę dookoła niej zasłały czarne ślady piór, zupełnie jak te pozostawiane przez moje zdrowaśki.

Podeszła do mnie i spojrzała mi głęboko w oczy. Za jej oczami, pięknymi i złotymi, kryły się wciąż te same rozżarzone węgle. Nachyliła się. Myślałem, że mnie pocałuje, ale ledwie przytknęła wargi do moich warg. Nabrała powietrza, zabierając mi coś więcej niż oddech. Osunąłem się po ścianie i zawisłem na dwóch gwoździach. Plecy bolały mnie tak, jakby zdarła z nich płaty skóry i mięsa, a pode mną rozlała się czerń martwych piór.

Pierwszy krzyż odpadł od ściany.

– Nie martw się, pióra odrosną – powiedziała, nie używając do tego ust. Słyszałem jej głos w głowie, w uszach za bardzo mi dzwoniło, żebym mógł cokolwiek usłyszeć normalnie. – Marcel, tak? Dziękuję, że przyszedłeś.

Wołałam cię, ale nie byłam pewna... Taki młody, niedoświadczony... I jeszcze to!

Wyszarpała mi różaniec. Koraliiki rozsypały się po podłodze, przydeptała je bosą stopą.

– To ci niepotrzebne, głupi. Oni są przeciwko nam, rozumiesz? Nie chcą, żebyśmy istnieli, nie wolno nam. A my już tu jesteśmy i nie możemy tak po prostu zniknąć.

– Jacy oni? – wyrzuciłem z siebie.

– Oni – powtórzyła, wskazując najpierw zniszczony różaniec, a potem krzyże odpadające od ścian jak martwe robaki. – A ludzie wcale nie są lepsi. Boją się nas i próbują nas uwięzić. Za kilka lat skończyłbyś w takiej samej skrzyni, związany samą śmiercią i wszystkimi zakłęciami świata. Ale już dobrze, obronię cię. Już nigdy nie będziesz sam.

Popatrzyłem na nią, potem na pozostałych. Skupieni przy ciele Rafała oglądali tę scenę zmrożeni jak rzeźby. Nie pozwalała im się nawet poruszyć.

– Ale najpierw zajmę się tymi, którzy mnie tu zamknęli – podjęła po chwili. – Z twoją pomocą.

Potrząsnąłem głową – za późno. Czegokolwiek ode mnie potrzebowała, już to zabrała, i wystarczył jej jeden oddech.

– Nie rób im krzywdy...

– Dlaczego?

Właśnie, dlaczego? Zawahałem się. Od początku ich ostrzegałem, a oni tylko się ze mnie śmiali. Sami byli sobie winni... Tylko Staś mi wierzył, ale on dawno zdążył uciec, był bezpieczny. Rafałowi nie pomogłoby nawet sto pięćdziesiąt zdrowasiek, a Michał i Stasiak mogli tu zostać na zawsze, związani, spaleni, ukrzyżowani – nie obchodziło mnie to. Ale Zośka i Hela... je musiałem przyprowadzić do domu. Żywe.

– To moje siostry!

– Nadal nie rozumiesz? To ja jestem twoją siostrą. A to... – Machnęła ręką w stronę pozostałych. – To tylko kukły z bardzo szybko gnijącego mięsa napędzane przez jedną małą iskrę. W porównaniu z nimi jesteśmy płomieniem. Pokażę ci.

Zrobiła krok w ich stronę i wiedziałem, że ich zabije, zupełnie niepotrzebnie. Szarpnąłem, ból znów mnie oślepił, ale gwoździe nie puszczały.

Odwróciła ode mnie wzrok i wtedy zrozumiałem, że Jezus też już na mnie nie patrzył. Patrzył na nią. Obserwował ją z setek konających krzyży, mnie dając milczące przyzwolenie. Nie, mówił do mnie. Krzyczał.

Co masz czynić, czyń prędej!

Zaprzagnąłem mieć w ręce różaniec, ale polecenie wydane z wysokości krzyża znaczyło więcej niż wszystkie koraliiki świata. Wystarczyła jedna zdrowaśka, by gwoździe dały się wyrwać ze ściany. Moja krew w nie wsiąkała, a to,

co wcześniej wziąłem za rdzę, żarzyło się jak zatrute piekłem złoto.

Zatrzymała dłoń przed twarzą Zośki. Odwróciła się i spojrzała mi w oczy.

– Marcel, przestań. Mówiłam, że to tylko na chwilę...

Utknąłem na *Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi*. Nie pamiętałem, co było wcześniej ani później, ale to się nie liczyło. Grzeszyłem na rozkaz krzyży, jak Judasz. Dookoła mnie wciąż przybywało wypalonych piór, nie miałem pojęcia, skąd się brały.

Dookoła niej również. Udawała niewzruszoną, ale ja już rozumiałem. Nie mogła stąd wyjść, wciąż była za słaba. Krzyże i drzwi jej zabraniały, całe to miejsce było przeciwko niej. Potrzebowała mojego oddechu i moich zdrowasiek, żeby stanąć na nogi. Potrzebowała *mnie*, żeby zająć czymś Jezusa patrzącego z setek krzyży, by mogła je zniszczyć. Ale Jezus nie dał się nabrać, poznał jej zamiary i stanął po mojej stronie... tak długo, jak ja stałem przeciwko niej.

Uniosła rękę i uderzyła mnie fala chłodu, jednak zamiast we mnie, w moje ciało i duszę, wniknęła w gwoździe. Wyszarpałem je z nadgarstków. Ból był niczym wobec ulgi, którą to przyniosło.

– Marcel, nie...

Rzuciłem się na nią, nim zdążyła skończyć. Pierwszy gwóźdź zadrasnął jej dłoń, z rany zamiast krwi wypłynął rdzawy żar i posypał się popiół. Wrzasnęła, w jej głosie zdumienie mieszało się z wściekłością.

Drugi gwóźdź wbiłem w jej pierś. Zamarła, nawet jej oddech się zatrzymał. Czulem chłód napływający zewsząd i pędzący do tej jednej, małej rany. Cofnąłem się o krok, ale ona nie ruszyła się z miejsca, tylko patrzyła na mnie gasnącym spojrzeniem. Jej oczy znów przypominały węgle, tyle że na konającym palenisku.

– Czy ty wiesz, co zrobiłeś... – wyrzuciła z siebie. Proch opadał jej z ust, a wargi i język nikły w oczach, zostało jej niewiele słów. – Mogą nas więzić i torturować, ale nie mogą... tylko my...

Osunęła się na kolana. Przypominała pękający witraż, który wypadł z okna. Zośka, Hela, Michał i Stasiak ożyli. Rafał pozostał martwy.

– Uciekajcie! Zamknę drzwi i...

Nie słuchali. Uciekli, ale nie byłem pewien, czy przed nią, czy przede mną. Zostawili otwarte drzwi. Chciałem do nich dotrzeć, chciałem się stąd wydostać i zamknąć je na dobre, ale Jezus znów skierował na mnie spojrzenie i czulem na barkach ciężar setek gniewnych krzyży. Z trudem powstrzymywałem krzyk. Oddech... nie mogłem marnować oddechu.

Rafał otworzył oczy, a gdzieś za jego pustym, martwym spojrzeniem czały się rozżarzone węgle. Poderwał się z ziemi i rzucił na mnie, bez trudu przygwoździł mnie do ściany.

– Pożałujesz... Nigdy stąd nie wyjdiesz, nigdy!

Ale spojrzenie z setek krzyży znów odwróciło się ode mnie i spoczęło na nim... na niej. Odepchnąłem ją i przewróciłem na szczątki skrzyni. Znalazłem na podłodze trzeci gwóźdź i wbiłem go, tym razem w pierś Rafała. Wybiegłem na korytarz, nim krzyże znów zwróciły się przeciwko mnie. Dopiero tam dobiegło mnie jego rozpaczliwe wołanie.

– Marcel, ratuj!

Nie, to wciąż była ona. Rafał mówił na mnie Piórek.

Zatrzasnąłem drzwi. Zmówiłem przy nich zdrowaškę i narysowałem na nich kilka krwawych krzyży. To było jak próba uwiązania rozwścieczonego psa raz nadwyreżonym sznurem. Słyszałem, jak kolejny krzyż odpada od ściany i ląduje na podłodze. Ile jeszcze musiało odpaść, by się uwolniła? Czy wytrzymają dość długo?

Rzuciłem się do ucieczki. Moje dłonie, śliskie od krwi, obce i niezdarne, nie nadawały się do wspinaczki, ledwie zdołałem wydostać się z bunkra. Moich sióstr już nie było, chłopaków też nie. Zatrzasnąłem właz, ale znów poczułem się, jakbym trzymał na uwięzi olbrzymiego psa i słyszałem, jak lina jęczy z bólu. Ona wciąż tam była, toczyła bój ze śmiercią i setkami krzyży.

Wstałem i spojrzałem na właz. Pokrywała go krew, zupełnie jak w mojej wizji. Rafał nie żył, a ja zostałem sam, jakby to, co czułem i widziałem wcześniej, nie było żadnym ostrzeżeniem, a ledwie zapowiedzią wydarzeń, które i tak musiałem przyjąć.

Co było dalej? Ten właz... jeśli ona wydostanie się z pokoju, na pewno go otworzy. Gdybym chociaż miał wodę święconą. Rozejrzałem się dookoła. Nie miałem nic, nawet różańca ani modlitewnika. Nic, tylko wiarę.

Miałem krew... Przecież Izraelici pokropili krwią drzwi, żeby anioł śmierci nie mógł wejść do ich domów podczas ostatniej plagi egipskiej. Właz to prawie jak drzwi, a ona, kimkolwiek była, niewiele różniła się od anioła śmierci.

– Egzorcyzmuję cię, krwi, stworzenie Boże. W imię Boga żywego, w imię Boga prawdziwego, w imię Boga świętego...

Własna krew zaczęła mnie palić w żyłach jak krzyże w bunkrze. Nie przestawałem, choć od tego żaru chciało mi się krzyczeć. Ona też krzyczała, zamknięta tam, na dole, powoli rozsypująca się w proch, z którego dziś wstała. Zamknięta przez swojego brata. Przeze mnie.

Wstałem dopiero, gdy moja krew zaschła na włazie. Rany po gwoździach wciąż nie chciały się goić, ale przynajmniej już nie paliły. Próbowałem wyleczyć je zdrowaškami, ale pojedyncze nie działały, a bez różańca nie umiałem się skupić na całych dziesiątkach.

Ruszyłem w głąb lasu, byle dalej od domu. Zośka i Hela na pewno powiedziały matce, co się stało. Nie. Powiedziały jej, że to ja przywołałem z piekła potwora podobnego do mnie, bo Rafał nie chciał zamknąć skrzyni. Próbowałem zabić ich

wszystkich, bo kazali mi iść do domu i nie chcieli, żebym szukał z nimi bunkra. A może nic nie powiedziały o bunkrze? Pewnie nie, jeszcze ktoś by tam poszedł. Jeden Rafał wystarczył, nie chciałem mieć na rękach krwi matki. I tak miałem już ojca...

Znów utknąłem na *Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi*. Tym razem nic się nie działo, nikt mnie nie wysłuchał ani nie powstrzymał, więc po prostu pozwalałem nogom się prowadzić. Nie wiedziałem, dokąd i po co idę. Szedłem, aż w końcu w mojej głowie coś się odblokowało.

Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

Spojrzałem w górę. Wysoko nade mną, na grubej, dębowej gałęzi wisiał sznur, ten sam, który matka musiała przeciąć, żeby ściągnąć ojca. Przystanąłem, w głowie znów słyszałem dzwony. Skąd się tu wziął? Wymodliłem go sobie? A może to ojciec mnie wołał? Na moment wymknął się z piekła i zostawił go dla mnie, bym wreszcie mógł do niego dołączyć.

Co masz czynić, czyń prędezej!

Wspiąłem się na dąb i założyłem pętlę na szyję. Poczułem znajomy chłód. Wypłynął z liny i oplótł się wokół mojego ciała jak olbrzymi wąż, gotowy mnie zmiażdżyć. Wiedziałem, że powinienem się bać, ale nie potrafiłem.

Myślałem o ojcu. Co wtedy czuł? Czy powitało go to samo zimno? Czy patrząc w dół, nie czuł prawie nic i zbierał siły do wykonania ostatniego kroku, prosto w objęcia piekła?

Skoczyłem.

Ból łamanego karku, a potem nic, pustka. Z pustki wyłonił się znajomy chłód, wpłynął we mnie... i zniknął. Czekałem na niego cierpliwie, wracał raz za razem, ale choć mnie dotykał, nie potrafił mnie zabrać. Piekło też zwlekało. Bało się. Nie chciało się rozciągnąć pod moimi stopami.

Tkwiałem tak, zawieszony w pustce na granicy śmierci, aż ona również zaczęła znikać. Wracał świat, jak wtedy, w studni, gdy tonąłem długimi godzinami. Dusłem się. Nic nie widziałem, mgła przesłaniała mi oczy. Moje ciało... bolało, paliło, znikало i zaraz znów pojawiało się z nowym bólem. Próbowало umrzeć, ale śmierć go nie chciała.

Minęły trzy dni i chłód przestał mnie nawiedzać. Niewiele myślałem, myśli zbyt szybko się rozplýwały, ale niekiedy pojawiało mi się w głowie urwane *Zdrowaś Mario*. Czekałem, ale nie chciałem już czekać. Chciałem dokończyć modlitwę. Chciałem, żeby lina pękła.

Były momenty, w których coś widzialem lub słyszałem między kolejnymi musnięciami śmierci. Ciężkie kroki na ściółce. Słowa.

– Ładny tam macie widok?

Męski głos, wschodni akcent... tyle zapamiętałem. Gdy ocknąłem się po raz kolejny, oglądałem z bliska ciężkie, wojskowe buty. Leżałem na ściółce niemal martwy, ale niezdolny umrzeć. Bezżyteczny sznur leżał obok mnie.

– Taki ładny okaz... Długo tam wisieliście?

Długo. Trzy dni.

Związał mi ręce, nogi i szyję, mamrocząc coś pod nosem. Lina paliła jak krzyże w bunkrze. Zniosłem to bez skargi. Potrząsnął mną.

– Żyjecie, chłopcze? To tak na wszelki wypadek, żebyście nikogo nie pozabijali. Ostatnią taką musieliśmy spalić i zamknąć w skrzyni. Dacie wiarę?

Podniósł mnie i przerzucił sobie przez ramię, jakbym nic nie ważył. Na moment otworzyłem oczy. Wzrok jeszcze nie całkiem mi wrócił, ale zdołałem dostrzec na jego mundurze piekło.

Miało kształt czerwonej gwiazdy.

O Autorze:

Pisaniem zaraziłem się jeszcze w szkole podstawowej, a wszelkie próby leczenia okazały się nieskuteczne. Balansuję na granicy gatunków i zdarza mi się tworzyć “międzypółkowniki” niemożliwe do sklasyfikowania na potrzeby rynku wydawniczego. Jako czytelnik, preferuję światy pełne zagadek i rozbudowany lore pozwalający na wieczne snucie teorii. Debiutowałem opowiadaniem nagrodzonym w konkursie “Miasto, magia, maszyna” organizowanym przez Falkon w czasach jego świetności. Z wykształcenia (i z konieczności) jestem programistą.

Tytuł tego opowiadania nie ma żadnego znaczenia

Adam Raglan

Początek jest tajemnicą. Wszystko zaczęło się na długo przed nami i możemy jedynie domyślać się, w jaki sposób nastąpiło. Co tu wiele mówić? Nie pamiętamy nawet pierwszych lat naszego własnego życia. To, co się wtedy z nami działo, znamy jedynie z opowieści innych. Wiemy jednak, co będzie ostatnie i w jaki sposób zamknie się historia każdego z nas. Jej zwieńczeniem będzie słowo ko... O nie, to będzie potem. Być może z tobą jest inaczej, ale ja urodziłem się i umrę ze świadomością, że kiedy nastąpi... on... nie będzie już niczego.

Naprawdę tylko tyle? Tylko i aż. Czy jeśli w takim razie będę go unikał – tego jednego ostatecznego wyrazu – nigdy nie nadejdzie? To ciekawe. Nie uważasz? Ojej, przepraszam! Gdzie moje maniery? Nie przedstawiłem się jeszcze.

Nazywam się Alwin. Nietypowe imię, wiem. Moja mama uwielbiała Elwisa Presleya. Etymologicznie Elvis i Alwin to podobno to samo. Ojciec nie zgodził się na Elwisa, więc został Alwin.

Zwykle w tym miejscu pisze się chyba coś w stylu: *jestem przeciętnym, niczym niewyróżniającym się facetem; takim, jakich wielu mijasz codziennie na ulicy i nawet ich nie zauważasz*, ale to nie byłaby prawda. Bo co to właściwie znaczy „przeciętny”?

przeciętny

1. «zwykły, typowy»
2. «słaby, pospolity»

Nie wiem, czy są zwykłe, albo typowe Alwiny... zwykli Alwini? Alwinowie? Tak czy inaczej, nie, nie czuję się przeciętny i nigdy się takim nie czułem. Mam bujną czuprynę, która od zawsze sprawia, że rzucam się w oczy. Przeciętny człowiek raczej nie rzuca się w oczy, co? Często mi też mówiono, że bardzo donośnie się śmieję – tak charakterystycznie, że jak szedłem szkolnym korytarzem, to było mnie zawsze słychać z daleka. Czy ludzie pospolici mają w sobie coś charakterystycznego?

pospolity

1. «często się zdarzający, spotykany lub powszechnie znany»

2. «taki, jakich wiele»

Czy coś często spotykanego, coś takiego, czego jest wiele, może mieć w sobie element wyróżniający z tłumu? Ja mam włosy, imię i śmiech. Jeśli cechą ludzi jest to, że każdy ma w sobie coś wyjątkowego, mogę się zgodzić na bycie pospolicym. Ale nadal uważam, że brzmi to bardzo źle.

Może to trochę snobistyczne, ale zawsze miałem wrażenie, że jestem nieco ponad innymi. Jak ten Raskolnikow. Kojarzysz? Ten, co siekierą zaciukał babkę, która mu pokój wynajmowała. Już wiem, to ze *Zbrodni i kary* było. Znasz? W sumie nieważne. Jak nie znasz, to lepiej dla ciebie. Nie rozumiem, dlaczego nadal każą nam czytać te koszmarnie książki. Co roku na rynku pojawiają się dziesiątki tysięcy nowych tytułów! W skali światowej to miliony pozycji. Nawet jeśli jedna na sto tysięcy ma prawdziwą wartość, nadal zostają nam setki do wyboru! Setki współczesnych, ciekawych, poruszających książek, którymi można by zastąpić tę koszmarną, martyrologiczną listę lektur... Ale nie! Z jakiegoś powodu wszyscy musimy przez kolejne pokolenia czytać o tym, jak biedny student morduje starą flądre, w kółko bez koń...

Ha! Prawie się złapałem. Ale nie. T a m t o ma być ostatnie. A ja się dopiero rozkręcam.

Nuda?

Nie chcę cię zanudzać. Obiecuję dołożyć trochę... Czego dołożyć? Pikanterii dołożę. To podobno zawsze działa.

Mam dziewczynę. Chociaż przyznam się, że z pewnym oporem nazywam ją swoją dziewczyną. Nigdy nie padło między nami oficjalne „bądź moją” albo „czy będziesz ze mną chodzić?”. To się stało dość spontanicznie, po jednej imprezie. Spontaniczne rzeczy po imprezach są na porządku dziennym.

Sam nie wiem, co właściwie między nami jest. Z jednej strony miło być razem, czuć jej spokojny oddech na policzku, kiedy wtula się we mnie nad ranem, tuż przed tym, jak ubierze się, pożegna i wyjdzie na zajęcia. Po nich zwykle wraca do siebie. Odzywa się raz na dwa, trzy dni, żeby powiedzieć, że będzie u mnie wieczorem. A ja próbuję sobie wmawiać, że to taki dorosły związek jest. Że przecież chodzenie na randki, mizianie się w miejscach publicznych i wysyłanie serduszek na komunikatorze jest dla dzieci, nie dla dojrzałych ludzi. Wierzę, że ona po prostu jest już ponad to i ja też powinienem. To nie obojętność, powtarzam sobie. To już taki etap.

Jak dorośli ludzie spotykamy się tylko raz na jakiś czas – przecież, każde z nas ma swoje życie. Nie zostawimy wszystkiego, żeby bawić się w romantyzm. Jak dorośli nie rozmawiamy ze sobą o pierdołach, tylko o ważnych sprawach. A ważnych spraw nie ma aż tak dużo, więc w sumie rzadko ze sobą rozmawiamy. Mogłoby się wydawać, że cena za dorosłość jest trochę wysoka, ale w pakiecie mam przecież ją.

Długie wspólne wieczory potrafią zrekompensować bardzo wiele. Smak jej ust, muśniętych czereśniową pomadką, zapach lekko tropikalnych perfum, długie, ciemne włosy okalające doskonałą twarz kaskadami loków... Przychodzi do mnie, najdojrzałszym z dotyków sunie wierzchem dłoni po nagim torsie. A kiedy zatapia usta w mojej szyi, czuję ciepłe piersi ocierające się o rozpaloną skórę. Dłońmi mogę pieścić doskonałość jej krągłości i napawać się nimi, jak nie potrafią się czymkolwiek napawać beztroskie młokosy. Żeby tak kochać, trzeba mieć już za sobą jakiś багаż doświadczeń, bo jak można cokolwiek w pełni docenić, jeśli nie ma się żadnego porównania?

Chociaż mnie najczęściej przychodzi porównywać noce spędzone z nią, do tych samotnych, kiedy nie mam pewności, czy to odpowiednie dla mężczyzny pisać komuś: *Słodkich snów kochanie. Myślę o Tobie*. Dlatego doceniam. Doceniam jej czarne pończochy przypięte cienkimi tasiemkami do koronkowego pasa ze złotym serduszkiem pośrodku. Doceniam długie szpilki, których na moje życzenie nie zdejmuję, kiedy idzie ze mną do łóżka i to, że po wszystkim chodzi po domu jedynie w czerwonym, prześwitującym topie, który kończy jej się tuż za linią pośladków. Nie odwraca zawstydzona wzroku, nie całuje się z zamkniętymi oczami i nie potrzebuje zgaszonego światła, bo przecież nie jest głupią siksą rozbierającą się po raz pierwszy przed napalonym gówniarzem.

A potem kładziemy się obok i czekamy poranka, wsłuchani w swoje oddechy. Przylega do mojej ręki i wtula się w nią tak mocno, że w każdej chwili może mi zacząć drętwieć ramię, ale nie zabieram go, bo po prostu lubię tę bliskość. Ona szepcze mi do ucha, że wszystko jest w porządku, że już się nie może doczekać kolejnego spotkania, a mnie zaczyna dopadać nieprzyjemne uczucie, że ten związek nieuchronnie zbliża się do koń...

O, nie, nie! Znów byłbym dał się złapać. Chociaż, czy to nie byłoby romantyczne? Nie, chyba nie. Zabrakłoby jakiegoś *i żyli długo i szczęśliwie*, ale w tym miejscu zupełnie to nie pasuje. Musisz jednak wiedzieć, że mi osobiście taka opowieść zupełnie by nie przeszkadzała. Nawet jeśli tobie życie moje i Belli – na imię ma Iza, ale woli jak się na nią mówi Bella – może się wydawać nudne. Chciałbym ciągnąć tę naszą wątpliwej szczerości relację, żyć tylko dla niej i przejmować się jedynie tym, co tu i teraz. Wmawiać sobie, że nasza niepewna przyszłość istnieje. Chwytać dzień. Ale to by było nudne, prawda? Konformistyczne i spokojne, i najpewniej zakończyłoby się w sposób tak

żałosny, że przyglądanie się temu wzbudziłoby tylko twoje zażenowanie. Pragnę żyć dla niej, tylko dla niej i zapomnieć o wszystkim innym. Niestety nie żyję dla niej. Żyję dla ciebie. Dobrze. Postaram się w takim razie dopasować.

Czego pragną ludzie tacy jak ty? Przygód? Wrażeń? Emocji? Niezwykłych idei? Nie wiem, czy to nie za wysokie progi na moje nogi, ale podejmę wyzwanie. Uznajmy, że do tej pory tylko kłamałem.

Tak naprawdę ja i Bella wcale nie jesteśmy razem. Śnię o nas co noc i robię, co mogę, żeby się do niej zbliżyć, ale potrzebuję do tego więcej czasu. Na szczęście mam czas.

Trzy lata temu północną granicę Królestwa Supradu przekroczyły barbarzyńskie oddziały najeźdźców. Bezceremonialnie wkroczyły do krain będących pod panowaniem rodu, z którego wywodzi się Bella. Jej krewni i przodkowie zawsze postrzegani byli jako wyjątkowo waleczni ludzie, od pokoleń strzegący granic Supradu przed pogańskimi plemionami z północy. Wojny nikt się nie spodziewał. Ba! Zdawała się ona wręcz nie mieć najmniejszego sensu.

Jaką szansę mogli mieć bowiem prymitywni pasterze koczownicy wobec naszej potęgi? Minęły dwa pokolenia, odkąd w naszych magicznych akademiach opracowano sposób pozyskiwania energii przyzmatycznokrystalicznej. W ciągu kilkudziesięciu lat osiągnęliśmy poziom technologiczny, który zapewne pozwoliłby nam na dominację nad resztą świata, gdybyśmy zechcieli po nią sięgnąć. Ale nie chcemy. Pochłonięci gwałtownym rozwojem i odkrywaniem własnych możliwości, wojny i podboje odsuwamy na drugi plan. Niemniej ostatnią rzeczą, jakiej byśmy się spodziewali, był atak na nas.

Spróbuję wytłumaczyć ci ten absurd. Wyobraź sobie bazy wojskowe stacjonujące na północy, a w nich potężne statki i pojazdy o ciężkich metalowych szkieletach i drewnianych cielskach. Statki, które nie podróżują jedynie po wodzie, ale siłą przyzmatów mogą z łatwością przemierzać i równiny, i góry, i gęste lasy i doliny. Niektóre mogą się nawet wznieść w powietrze, wraz z setkami ludzi na swoich pokładach. Żołnierze posługują się bronią mogącą celnie trafiać we wroga z kilkuset metrów i nie potrzebują do tego długich lat szkoleń. Wieże murów obronnych uzbrojone są w śmiertcionośne działa, mogące jednym pociskiem powstrzymać cały wrogi oddział. I przeciwko temu wszystkiemu, przeciwko sile, którą władamy, której my sami nie zdążyliśmy jeszcze dobrze poznać, stanęła prymitywna konnica wyposażona w łuki i szpady.

To oczywiście, że nikt nie potraktował najeźdźców poważnie. Już dawno minęły czasy, w których mogliby stanowić dla nas jakiegokolwiek zagrożenie. Przynajmniej tak nam się wydawało. Nie wiedzieliśmy bowiem o tym, że wcale nie byli tak bezbronni wobec nas, jak mogłoby się wydawać. Prymitywni poganie skorzystali z jedynej rzeczy, którą posiadali, a której nie mieliśmy my.

Ze swojej prymitywnej wiary. I to dzięki niej obudzili dawne bóstwa, które stanęły po ich stronie.

Co ty na to? Czujesz podniosłość tej opowieści? Chcesz więcej? Chcesz wiedzieć, co było dalej, jak wyglądała bitwa, w której po jednej stronie stanęły nauka z magią a po drugiej niebiańskie, nieludzkie byty? Chcesz wiedzieć, jaką ja odegrałem w niej rolę? Znaczącą.

Nie powiem, że bym uważał się kiedykolwiek za wyjątkowego patriotę. Moja rodzina nieszczęśliwie miała wpływ na gwałtowny rozwój Supradu. Żyliśmy spokojnie, rządząc niewielkim księstwem znajdującym się w centralnej części królestwa. Nasze tereny obejmowały głównie puszcze, cenione przez sąsiadów za wspaniałe tereny łowieckie. Byliśmy ziemią neutralną dla książąt walczących ze sobą na dużej scenie politycznej. Byliśmy miejscem spotkań, targów i przypieczętowywania umów. Według mojego ojca byliśmy sercem królestwa. Według mnie nikim. Gdyby nie wojna, zapewne nadal bylibyśmy nikim, ale dawni bogowie zmienili wszystko.

Barbarzyńcy przekroczyli północny mur z łatwością, która powaliła naszą pewność siebie na kolana. W jednej chwili byliśmy panami świata, w drugiej niczym mrówki uciekaliśmy spod stóp pogańskich demonów. Ród Belli był pierwszą ofiarą niedoceny wroga. Na przestrzeni półtora roku zginęli jej dziadkowie, ojciec i trzech braci. Ona wraz z matką zdołały uciec na południe. Do nas. Do tej niewiele znaczącej leśnej krainy, którą władał skromny, arystokratyczny ród.

Widziałem bolesną pogardę w oczach matki Belli, kiedy przekraczały próg zamku wzniesionego przez moich przodków. Nasze włości nie umywały się do przepychu, w którym dorastały, do wysokich komnat z bajecznie zdobionymi stropami i kanap ubranych w obicia ze złożonych nici. Do ogrodów pełnych orientalnych kwiatów i do zimowych oranżerii. Matka Belli zdawała sobie sprawę, że być może nigdy już nie wrócą do domu. Nie widziałem tej odrazy w oczach Belli, ale w ogóle prawie nie miałem okazji w nie spojrzeć. Zamknięta w sobie dziewczyna unikała spotkań, nie dając mi zbyt wielu okazji do cieszenia oczu jej wdziękami. Musiała rozumieć powagę sytuacji i to, w jak dramatycznym położeniu się znalazła. Być może właśnie straciła wszystko, co kiedykolwiek miała? Czy jeśli nie uda się odeprzeć ataku dawnych bogów, na zawsze zostanie tylko wygnaną księżniczką? Straciła ziemię, majątek i swoją tożsamość. Nie pozostał przy życiu żaden z męskich potomków rodu. Teraz była skazana już tylko na łaskę reszty arystokracji. A mój ojciec tę łaskę chciał im okazać.

Wiem, że negocjował już jej zamążpójście ze swoim najstarszym synem. Z tym tylko, że mój brat... nie byłby w stanie docenić zaszczytu posiadania jej. Nigdy. Może byłby dobrym władcą, może nawet jak nikt inny potrafiłby zmobilizować wszystkie siły do walki, ale nie potrafię znieść myśli, że mógłby

być z nią. Nie mogę pojąć, czemu miałby o tym decydować tak absurdalny archaizm jak kolejność urodzenia. Jakby to, że przyszedł na świat rok przedemną, miało dodać mu inteligencji czy sprytu.

Wyjścia mam dwa i prawdę powiedziawszy, jest mi wszystko jedno, które wybiorę. Chyba rzucę monetą. Jeśli wypadnie reszka, pozwolę sobie na cichy przewrót i będę liczył na to, że i brat i ojciec wykażą się rozsądkiem. W końcu potrafię władać magią. Uwierzysz? Naprawdę potrafię władać magią. Mogliby wreszcie spojrzeć z powagą na tę sztukę i przyznać moją wyższość nad resztą rodzeństwa. To przecież jak błogosławieństwo. Znak z nieba.

Ale jeśli wypadnie rewers, ten, na którym do dnia dzisiejszego wybija się profil mojego pradziadka – Alwina Mocnego, po którym dostałem swoje imię – nie będę się bawił w uprzejmości i dyplomację. Obędę się bez negocjacji i głupich szantaży. Może pozwolę bratu odejść we śnie, może spotka go przykry wypadek na schodach, kiedy będzie wracał pijany wieczorem do swoich pokoi, może zabije go obluźwana belka stropu...

Mogą mieć po swojej stronie tradycje rodu, ale to mnie przypadło członkostwo w magicznej gildii, która po raz pierwszy od pokoleń doczekała się szlachetnie urodzonego w swoich szeregach. Magowie chcą pokazać w końcu...

Ha! O mały włos.

Co na to powiesz? Mogę zdradzić, co byłoby dalej. Zostałaby moja żona, zebrałbym potężne armie przeplatane tak zwykłymi żołnierzami jak i najlepszymi magami, skupiłbym pod swoim sztandarem wojska, jakich świat dotąd nie widział i maszynierię, która nie uległaby żadnym bóstwom, a potem stał się władcą, który po wieki zajmowałby szczególne miejsce w królewskim poczcie. A ona pozostałaby u mojego boku aż do śmierci, i dałaby mi wspaniałych synów i piękne córki. I co? Przesadzam? Cóż, próbuję cię zadowolić. Nie mam pewności, czy w tej historii nie stawiam siebie w nazbyt wyjątkowej pozycji. Tak, osiągam ostatecznie wszystko, czego zapragnąłem – władzę, szacunek, majątek i miłość. Za dużo? Zbyt łatwo? Oczywiście, że chcę uniknąć trudów i poświęceń! Nie wiem tylko, czy tobie się to podoba.

Przerzucasz kartki? Przeklikujesz strony czytnika, żeby zobaczyć, ile jeszcze zostało? Scrollujesz w poszukiwaniu ostatnich zdań? Mam nadzieję, że ich nie znajdujesz. To nie jest łatwe istnieć tylko na papierze. No dobrze, bądźmy realistami, nie łatwe być tylko wirtualną sekwencją informacji. Chociaż, możesz wierzyć lub nie, wcale mi to nie przeszkadza. Możesz myśleć, że moje życie jest sztuczne i smutne, ale tak nie jest. Spójrz na to w ten sposób: co, gdyby okazało się, że ty i cały twój świat też jesteście tylko częścią symulacji? Albo co, jeśli tak jak ja jesteś tylko ciągiem literek? Nie zdajesz sobie z tego sprawy, bo twój twórca nie chce, żebyś to wiedział. Nikt nie wystukał dla ciebie sentencji: *nagle wszystko stało się jasne, kiedy prawda, najprawdziwsza prawda, zastała*

ci objawiona. Jeśli twój twórca nie zaplanuje dla ciebie poznania, nigdy go nie doświadczysz. Ale czy to źle? Spójrz na mnie. Ja wiem, i co to zmienia? A może to tylko moja chora wyobraźnia? Może po prostu oszalałem?

Co by to dla ciebie znaczyło, gdyby ktoś ci powiedział, że jesteś jedynie tworem? Powstałeś, zamiast się urodzić. A może wszystko wokół ciebie to tylko porzucona dawno zabawka, a komputerowi, który nią steruje, za chwilę skończą się baterie? A może historia została już w całości zapisana? Może życie twoje, twoich przodków i potomków, od dnia powstania wszechświata do dnia jego śmierci, jest zamknięte między dwiema twardymi okładkami, a ty po prostu przeskakujesz po jej stronach, nie zdając sobie sprawy, że wszystko, co było, jest i będzie, pozostaje skończonym dziełem, na które nie masz najmniejszego wpływu?

Wiesz, co by to znaczyło? Nic. Zupełnie nic. Jeśli potrafisz mi udowodnić, że ta wiedza mogłaby wpłynąć na twoje życie, spróbuj. Chcesz znać moje zdanie? Uważam, że prawda nie ma żadnego znaczenia. Czemu więc miałbym się przejmować tym, że dla ciebie jestem sztucznym tworem? Czy ma mi to przeszkodzić czerpać radość z siedzenia na grubym dywanie przed rozpalonym kominkiem w zimowy wieczór? Czy twoje zdanie na mój temat może wpłynąć na to, że nadal co rano będę brał zimny, orzeźwiający prysznic i odczuwał przy tym masochistyczną, rozbudzającą przyjemność? W żaden sposób jesteś w stanie wpłynąć na mnie i na sposób, w jak cieszę się swoim sztucznym życiem. Tobie polecam to samo. Nie wnikać, jaka jest prawda i nie pozwól prorokom, którzy zdążyli podejrzeć następne strony twojej historii, zabrać ci drobnych przyjemności życia. Innego nie masz.

Nie zmienia to faktu, że ja żyję głównie dla ciebie i dzięki tobie. Tak długo, jak przyglądasz się historii mojego życia, istnieję naprawdę. To tak, jak z tym drzewem Berkleya:

Czy drzewo upadające w lesie, gdzie nikt nie może go usłyszeć, wydaje dźwięk?

Wielu filozofów na ten temat dyskutowało. Chcesz poznać moje zdanie? Nie. Takie drzewo nie wydaje dźwięku. Dźwięk jest zjawiskiem, które zaczyna istnieć w momencie, kiedy pojawiają się receptory mogące go zarejestrować. Pomyśl, jeśli masz projektor skierowany na powierzchnię doskonale czarną, to czy obraz z tego projektora istnieje? Nie. Nie ma obrazu. Światło pada na czerń, a czerń go nie odbija. Bez odbitego światła nie ma o b r a z u. Bez ucha nie ma dźwięku, nawet jeśli powietrze drga. Bez ciebie nie ma mnie, nawet jeśli ciągnę liter, z których mnie stworzono, pozostaje niezmienny w momencie, kiedy na mnie patrzysz i kiedy odkładasz czytnik, książkę, czy gdzie tam mnie

akurat znalazłeś. A co, jeśli słuchasz mojej opowieści czytanej przez kogoś innego? Istnieję wtedy dla ciebie, tylko jeśli skupiasz się na tym dźwięku. Kiedy zatkasz uszy, nie ma mnie.

Znów trochę odbiegam od tematu, ale teraz łatwiej ci będzie zrozumieć, jak bardzo zależy mi na twojej uwadze. Poczucie, że jest ktoś, do kogo mogę się zwrócić i zaistnieć tak naprawdę c h o ć na chwilę, trochę mnie uspokaja. A co, jeśli... Co, jeśli tak właśnie działa Bóg? Bogowie? Co, jeżeli istniejemy dzięki nim nie dlatego, że nas stworzyli, a dzięki temu, że nas obserwują albo słuchają? W takiej sytuacji jesteś moim Bogiem. A ja mam co? Modlić się do ciebie?

Nie, nie rób tego. Nie zamykaj książki, nie wyłączaj czytnika, nie odchodź od komputera... Która z modlitw jest właściwa? Obrazisz się na mnie, jeśli będę ci mówić o papierze, a ty słuchasz mnie w wersji audio? Z góry przepraszam. Jak widzisz, jestem istotą potwornie ograniczoną i nie wiem, jaka jest prawda o tobie. Nie mam jej nawet jak poznać. A ty... najzabawniejsze jest to, że ty – mój Boże – nie możesz we mnie niczego zmienić. Decydujesz tylko o tym, czy mam istnieć, czy nie. Tak dużo i tak mało zarazem.

*Rano, wieczór, we dnie, czy jaką porę masz tam,
czytaj mnie. Błagam. Boję się zostać sam...*

Beznadziejne, wiem, ale jakoś nie mam kapłanów, którzy by na twoją cześć układali mi lepsze psalmy. Ale wiem, co mogę ci zaproponować – tak, żeby nie zanudzać cię już wywodami. Świątynię. Sam chyba nie potrafisz żadnej stworzyć, ale znajdę najpiękniejszą i będę w niej ciebie czcić. Pozwól mi spróbować raz jeszcze. Tym razem skupię się w historii na tobie właśnie. Do diabła ze mną i z Bellą.

Ona nie wierzy w bogów. Uważa, że nawet jeśli istnieją, muszą być strasznymi skurwysynami. Za dużo dookoła brutalności, biedy i smutku, żeby przejmować się tym, czy ktoś istnieje, czy nie istnieje ponad nami.

Tak naprawdę jesteśmy razem od dawna. Poznaliśmy się w sierocińcu. Na imię mam Alwin, bo obowiązywał tam taki system, że nowym dzieciom dawano imiona z listy, w kolejności, w jakiej były zapisane. Ostatni Alwin był osiemdziesiątym trzecim wychowankiem męskim przede mną. Na liście było dokładnie tyle imion. Zatoczyła krąg i w ten sposób zostałem kolejnym Alwinem. Równie dobrze można było używać numerków. „Który teraz w kolejce? Piętnasty? Chodź tu, od dziś jesteś Piętnasty”. Jestem Alwin. Alwin Piętnasty.

Z Bellą byliśmy w tym samym wieku, więc też w tym samym czasie wywalono nas z sierocińca na bruk. Dostaliśmy nakazaną przez system odprawę i zamknięto za nami drzwi, żeby zrobić miejsce dla kolejnego Alwina i kolejnej Izy.

Zagubienie nas połączyło. Wyobrażasz sobie to przerażenie, kiedy stanęliśmy twarzą w twarz z wielką metropolią i świadomością, że nie mamy dla niej najmniejszego znaczenia? Przez dobrą godzinę siedzieliśmy na przystanku submetra i oglądaliśmy przemykające za szklanymi ekranami pociski pociągów. Miałem wrażenie, że po raz pierwszy w życiu czuję prawdziwy zapach ulicy. Dziwny olej, którym smarowano szyny nadulicznych tramwajów, zraszał nas nieprzyjemnym kwaśnym zapachem intensywniejącym w upalne dni. Ich wagony nad naszymi głowami w regularnych odstępach czasu przesłaniały słońce drżącymi cieniami. Jak blaszane, klekoczące chmury, z których czasem skapywał deszcz żarzących się niedopałków i flegmy.

Ludzie są obrzydliwi.

Z otworu śmietnikowego, prowadzącego do podziemnego zsypu, zionął słodko mdły fetor rozkładu. Nie zdziwiłbym się, jakby gniło tam jedno czy więcej ciał. Filtry powinny wprawdzie blokować wydobywające się z wysypisk zapachy, ale regularnie je rozkradano, przerabiano na domowe oczyszczacze okienne i sprzedawano na czarnym rynku. Bogatsze dzielnice mogły pozwolić sobie na monitoring, ale tutaj nie było na to szansy. Czy to ktoś ciemną nocą zapuścił się gdzie nie trzeba i wepchnięto jego szczątki do rur zsypowych, czy któremuś z wychudzonych, młodocianych złodziei filtrów powinęła się noga i przepadł w czeluściach śmieciarni?

Długo nie odzywaliśmy się do siebie. Pozwalaliśmy strugom kolorowych świateł zalewać nasze oczy, padać na nas ze wszechobecnych hologramów i migotliwych, ledowych zdobień. Chłonęliśmy swoją dorosłość i próbowaliśmy przekuć strach w zachwyty wielkim światem. Ale zachwyty nie przyszedł.

Wynajęliśmy małą klitkę, w zasadzie jednoosobową, ale we dwójkę było taniej, a my i tak nie byliśmy przyzwyczajeni do zbytków. Męczyliśmy się ze znalezieniem pracy. Bella nie wytrzymała, kiedy po raz kolejny brakowało nam pieniędzy na chleb i znów przychodziło nam jedynie obserwować ciepły posiłek na ekranie monitora. Nie potrafiłem nigdy zrozumieć, dlaczego to bezpłatny dostęp do sieci ustanowiono prawem ludzkim, a nie bezpłatny dostęp do jedzenia. Wiele razy przychodziło nam karmić się jedynie wiadomościami puszczanymi w serwisach informacyjnych i serialami komediowymi. Wszystko inne, wszystko, co miało prawdziwe znaczenie, trzeba było kupić.

Pamiętam, jak puściły jej nerwy. Zniknęła na kilka dni. Ja za dużo pracowałem, żeby móc się tym przejąć na dobre. Kiedy wróciła, miała ze sobą nieduży zestaw do tatuowania, tusze i parę starych igieł. Może nawet tych, których sama czasem używała? Zaczęła robić tatuaże za pieniądze. Ładnie jej to szło, nie powiem, ale nie zdecydowałbym się nigdy na zostanie jednym z jej klientów. Cieszyłem się jednak. Wcześniej podejrzewałem... że poszła sprzedawać siebie. Na szczęście się myliłem.

Mniej więcej w tym samym czasie zacząłem szukać czegoś dla ciebie i znalazłem tę świątynię. Nie myślałem wcześniej o modlitwach, choć jakąś tam edukację religijną w sierocińcu mieliśmy. Ale co znaczył Bóg dla kogoś takiego jak my? Mimo to zacząłem nieśmiało spacerować w okolicy potężnego, bogato zdobionego gmachu. Może to głupia chęć poczucia wokół siebie odrobiny luksusu mnie tam sprowadziła? Może to pierogi, którymi poczęstowano mnie kilka razy przy wejściu? Jakby nie było, pojawiałem się tam częściej i częściej. Ignorowałem szyderstwa Belli. Jaki sens miało kłócenie się o wiarę?

Co do samego Boga zawsze można było mieć wątpliwości, ale dom boży istniał naprawdę. Był prawdziwy i namacalny. Dom z ogromnym, zadbanym ogrodem, z alejkami wysadzonymi kamiennymi płytami chodnikowymi i gazonami pęczniejącymi od kwiatów tłumiących swąd miasta swoim słodkim zapachem... Niewielkie ławeczki stały pod altanami, do których w słoneczne dni docierały mgliste krople z okolicznych fontann. Płynęła w nich czysta woda. Przezroczysta.

Żeby w odpoczynku w świątyni nie przeszkadzał zgiełk miasta, otoczono ją inteligentną kopułą, pomagającą kontrolować pogodę. Panele wyciszające filtrowały szum maszyn i odgłosy ulic, a ich ogromne płachty pokryto siecią powyginanych malowniczo drutów. Spoglądając w górę, miałem wrażenie, że cała świątynia jest jak miniaturowy krajobraz zamknięty pod szklanym, zdobionym kloszem. Piękny, unikatowy prezent. Dla ciebie. Wysokie ściany budynku pokryte były bluszczem, ale kamień pod nim lśnił bielą jak nowy, a miedziany dach nigdy nie zaśnieźniał. Sam chciałem wiedzieć dlaczego. W słoneczne dni nadal oślepiał, jakby się patrzyło prosto w gwiazdę. Bogate wnętrze pełne było poświęconych tobie skarbów, podarków i ksiąg niosących boże sło...

Interesuje cię to w ogóle? Myślę, że nie.

Na pewno ciekawsze będzie to, w jaki sposób udało mi się rozpocząć kult, który stworzyłem, korzystając z gościnności opiekunów świątyni. Dla ciebie ten kult, wiesz? Chcę dać ci poczucie wyjątkowości, żebyś mnie pokochał za wierność. Proszę, oddaję ci wszystkich tych ludzi, których udało mi się zebrać.

Nie kłamałem, kiedy mówiłem im, że Bóg pragnie poświęcenia. Wiem, że im więcej dzieje się w moim życiu, tym większą masz z tego radość. Przyznaj, oczekujesz ode mnie nieoczekiwanego. To im mówiłem. Mówiłem, że aby zadowolić Boga, trzeba przekraczać granice i jedynie rzeczy wyjątkowe i wzniosłe przyniosą mu radość. A im bardziej się cieszy, tym dłuższe życie nam zapewnia. Nie mówiłem im, że chodzi przede wszystkim o moje życie. Moje i Belli. Widzisz? Bezcelnie nie wspomnę ich nawet z imienia. To w końcu moja historia. Nie musisz się rozpraszać bohaterami drugoplanowymi. Nie rób tego. Oddałbym ci w ofierze każdego z nich, jeśli taka byłaby twoja wola.

Przekonam ich, że jeśli będą dla mnie mordować, gwałcić i zgodzą się na krwawe rytuały, Bóg będzie miał nas w opiece. Zabiłbyś protagonistę rozpalającego emocje i wyobraźnię do granic możliwości? Dałbym ci wrażenia, emocje i przeżycia, jakie nie sposób znaleźć gdziekolwiek indziej. Będę się starać jak nikt inny na świecie. Zrobię wszystko, czego zapragniesz. Będę wychwalać twoje imię i stanę na głowie, żeby rękoma twoich wyznawców pod moim przywództwem zmienić dla ciebie świat. Zmuszę nawet Bellę, żeby uwierzyła i razem ze mną kłaniała się tobie co rano. Będzie na moją komendę tatuować wiernych takimi rysunkami, które cię zadowolą. Będzie strzec się grzechu, błagać o życie wieczne i żyć w nadziei, że wiara pomoże nam zmienić to, co zostało nam zapisane w gwiazdach. Choć tak naprawdę niczego zmienić się nie da, prawda? Ty też nie możesz tego zrobić, choćby nikt na świecie nie wierzył w to bardziej niż ty. Wiara nie ma nic do rzeczy, kiedy wszystko, co ma być, zostało już dawno ustalone. Wiedziałem to od samego początku. Bolesna to była świadomość, pełna strachu przed grzechem i poczucia bezsilności. Jakże chciałbym móc na ciebie wpłynąć! Jak wiele byłbym w stanie poświęcić w tym celu!

Możesz teraz spojrzeć na ostatnią stronę. Możesz przeczytać finalne zdanie. Oboje wiemy, co tam znajdziesz. Nie zmienia to faktu, że nadal nie mam pojęcia, jak do tego dojdzie.

Ile mi zostało? Piętnaście akapitów? Niewiele. Co potem?

Uczono mnie w szkole o tym, jak podmiot liryczny prowadzi dialog z czytelnikiem. Żadna to liryka i żaden to dialog. Beznadziejny monolog, do tego potwornie nudny. Co mogę poradzić na to, że moje życie nie jest tak ciekawe, żeby trwało bez końca? Wolałbym być bohaterem sagi, takiej, którą kontynuuje się przez następne pokolenia, bo opowieść rozbudza wyobraźnię kolejnych i kolejnych czytelników niegodzących się na rozstanie ze swoim ulubionym protagonistą. Tymczasem widzę... czuję, że zostaje mnie coraz mniej i nie jestem wart tego, żeby ktokolwiek się o mnie jeszcze rozpisywał.

Wiesz, co było symbolem mojego kultu? Oko. Tylko tym dla mnie jesteś. Obserwatorem. Mój Boże, wiem, że na mnie patrzysz, że dajesz mi życie, i że tylko o nie mogę cię błagać. Nic więcej nie możesz mi dać. Dużo we mnie pychy? Życie mi nie wystarcza! Co z ciebie za Bóg, kiedy nie potrafisz mi ofiarować nic więcej?!

Jesteś tylko okiem przyglądającym mi się w milczeniu. A może uchem jesteś? Nie ma to znaczenia. Wszystko zaczyna się od oka. Patrz na mnie, Boże.

Chciałbym, żebyś patrzył na mnie tak, jak ona to robiła. Masz na mnie patrzeć!

Nigdy nie znosiłem odwracania ode mnie wzroku. Wolałem nawet pogardliwe spojrzenia niż ignorowanie. A ona miała dar niedostrzegania mojej osoby, co doprowadzało mnie do szewskiej pasji. Nie chciałem zrobić jej krzywdy, zupełnie nie o to chodziło. Zwyczajnie czułem, że bez jej uwagi

nie mogę istnieć. Była typem najpopularniejszej dziewczyny w szkole. Młoda, piękna, utalentowana. Ja byłem tylko cieciem, który w ostatnim geście rozpaczy zatrudnił się do sprzątania szkolnych korytarzy. Wykorzystałem to, że lubiła tworzyć – artystka – i często zostawała po zajęciach w pracowni plastycznej, żeby szykować dekoracje na szkolne uroczystości. Ja oczywiście też włączyłem się po budynku do późna. Przyłapanie jej w pustym korytarzu nie było specjalnie trudne. Zaciągnąłem ją do podziemi, gdzie miałem swoją kanciapę. Tylko ja z niej korzystałem. Nikt inny się tam nie zapuszczał.

Nie odwracała już ode mnie wzroku, kiedy przywiązywałem ją, zakneblowaną, do krzesła. Patrzyła na mnie zażawionymi oczami ze źrenicami rozszerzonymi do granic ludzkich możliwości. Drżała, pociła się, spinała, przerażona niewiedzą, czego od niej chce i co ją teraz czeka. Usiadłem naprzeciwko i początkowo tylko napawałem się tym, że na mnie patrzy. Zgasilem światła sutereny; tylko jedno zostawiłem. Żarówkę niewielkiej lampy skierowałem na swoją twarz, tak, żeby w ciemności nie było widać niczego innego. Wszystko we mnie rosło, a radość, jakiej dawno nie czułem, rozpierała mnie od środka. Sam chciałem płakać. Dostałem w końcu zaszczytu bycia w centrum jej uwagi.

Czy to duży problem, po prostu się na coś patrzeć? Mówiłem jej, żeby nie odwracała wzroku, ale ona zaczęła się rozglądać, przyglądać sznurom wokół swoich nadgarstków, zaciskać powieki przy kolejnych spazmach płaczu... A przecież chciałem od niej tak niewiele.

Ostatecznie nie wytrzymałem. Chwyciłem szkolny spinacz biurowy i podszedłem do niej wypełniony złością. Miała tylko na mnie patrzeć! Nic więcej. Rzuciła się, kiedy rozciągałem jej powieki w górę i w dół. Delikatne fałdy skóry nie miały szansy przeciwstawić się ani moim szorstkim dłoniom, ani metalowi zszywek zaciskających się przy jej kości czołowej. Nie było to wcale łatwe i krwi było trochę więcej, niżbym się spodziewał, ale Bella nie mogła mi się już sprzeciwić. Szeroko rozwartymi oczami, ze skórą napiętą krzywo i nienaturalnie, mogła tylko obserwować, a krew ze łzami mieszały się na jej delikatnych policzkach.

Musiałem iść do pracy. Noc minęła zdecydowanie za szybko, ale nigdy wcześniej nie czułem tak wyraźnie, że żyję. Wróciłem na szkolne korytarze jeszcze przed pierwszym dzwonkiem, szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Nie zostawiłem jej samej. Nie mogła przecież o mnie zapomnieć. Na ścianie przed nią wypisałem zapasami szkolnej farby słów... Zapisałem:

ALWIN

Żeby nie przestała na mnie patrzeć.

Ty też tego nie rób. Gdybym mógł i ciebie przywiązałbym do krzesła obok niej, wybredny, niezaspokojony Boże. Udekorowałbym twoją twarz delikatnym wzorem zszywek. Zrobiłbym to starannie. Po Belli wiedziałbym już przecież, na co zwrócić uwagę. Nie dopuściłbym już do tego, żeby wdało się zakażenie, bo rozumiem teraz, jak szybko bakterie potrafią doprowadzić do ślepoty, a przecież nie o to chodzi. Nie przestawaj. Ile mi zostało? Trzy akapity?! Jakże pragnę, abyś był tu ze mną, w moich zatęchłych czterech kątach schowanych pod ziemią. Pragnę cię, tak jak jej pragnąłem – fizycznie, cieleśnie, nieuchronnie.

ALWIN!

ALWIN!!

Karmiłbym cię dobrze, przebierał, dbał o ciebie, nawilżał oczy i dezynfekował rany, żeby nic ci się nie stało. Otoczyłbym cię szczerą troską w zamian za tak niewiele.

ALWIN!

*Rano, wieczór, we dnie, czy jaką porę masz tam,
czytaj mnie. Błagam. Boję się zostać sam!!!*

Nie, nie odchodź!

Obiecay, że tego nie zrobisz! Dobrze wiesz, że to będzie mój k o n i e c

o Autorze:

Pisze głównie krótkie formy, choć ostrzy zęby na dłuższy tekst. Nie ogranicza się do jednego gatunku czy stylu. Tworzy zwykle to, co lubi czytać, czyli wszystkiego po trochu. Nie lubi mówić o sobie, ponieważ wyznaje średniowieczną zasadę – ponoć nie do końca prawdziwą, ale jakże celną – że liczy się dzieło, nie jego autor

Paranoidalna

Marlena Urbaniak

XIV. Paranoidalna

Znów znalazłam się w Fomalade. To jednak nie to samo miasto, które znałam na co dzień. Było tam więcej pustej, niezabudowanej przestrzeni. Zupełnie jakbym wróciła się do momentu, kiedy jeszcze nie istniałam. Krajobraz tonął w odcieniach szarości. Na niebie wisiały ciemne, ciężkie chmury, które zwiastowały nie do końca pozytywne w skutki zmiany. Kiedy nieboskłon przeszła błyskawica, zauważyłam, że w oddali ze starej fabryki, gdzie bawiłam się z rówieśnikami jako dziecko, wychodzą Szwendacze. Sunęły po trawie, wyciągając swoje długie, drzewiaste palce po ludzi. Moje nogi nie chciały się ruszyć. Wciąż pamiętałam ostatnią eskapadę, która zakończyła się wizytą tych czerwonookich potworów w naszej siedzibie. Stojąc na skraju lasu, słyszałam tylko okrzyki przerażonych postaci, które padły ofiarą złych demonów. W głowie wciąż starałam się powtarzać, że to tylko sen, tylko moja wyobraźnia, że przecież niemożliwe, abym teraz znajdowała się w Fomalade, skoro jeszcze przed chwilą byłam w Las Vegas. Starałam się nie reagować na otoczenie, choć moje ciało mimo wszystko drżało jak wierzba na wietrze. Zamknęłam nawet oczy, aby nie patrzeć na te przerażające sceny. Z moich nieudolnych prób wyrwał mnie dopiero znajomy głos.

– Zostaw mnie! Odejdź stąd! – Usłyszałam.

– Mama? – spytałam zaskoczona, automatycznie otwierając oczy. Tym razem znajdowałam się w zupełnie innym miejscu. We własnym domu sprzed lat. Wyglądał nieco inaczej. Starzej. Natomiast moja mama zdecydowanie młodziej. Tego głosu nie pomyliłabym z żadnym innym. Żywy i stanowczy, zupełnie jak mój. W przeszłości często porównywano mnie do matki.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że młoda, dwudziestokilkuletnia kobieta krzyczy do Szwendacza, który nieuchronnie się do niej zbliżał. Wyrwałam się w jej kierunku, dostając nagłego przyływu odwagi.

Moja dłoń przeleciała jednak bezwiednie przez potwora. No tak, to w końcu sen. Jak mogłabym coś na to zaradzić? Poza tym moja mama przecież żyła. Musiałam o tym pamiętać. Mimo tego czułam w sercu niewyobrażalnie wielki strach i bezradność, że nie mam realnego wpływu na to, co się przede mną odgrywa.

Moja matka zdawała się nie być do końca bezradna. W pewnym momencie chwyciła za krzesło i rzuciła nim w zaskoczonoego demona. Ciskała w niego również zastawą stołową i wszystkim, co znalazło się pod jej ręką.

Zamrugalam zdziwiona, ponieważ nigdy nie widziałam w niej takiej waleczności. Zwykle była spokojna. Nigdy się nie denerwowała, za to często uśmiechała. Teraz najwyraźniej bardzo jej na czymś zależało. Walczyła o coś ważnego i nie miałam tu na myśli wyłącznie jej życia. Zaokrąglony brzuch wskazywał na to, że była w zaawansowanej ciąży. Nie miałam rodzeństwa, więc to musiałam być nienarodzona ja.

Kolejne porcelanowe naczynia uderzały w Szwendacza. Przez to jeszcze bardziej się zdenerwował. Wyciągnął gwałtownie swoje długie łapska po kobietę i przyciągnął ją do siebie. Mimowolnie krzyknęłam, wystawiając przed siebie dłoń, jakbym chciała ją uratować. Mój okrzyk zlał się z krzykiem mamy. I wtedy wszystko zniknęło. Zostały tylko błyszczące groźną czerwienią oczy kobiety.

Tym razem mój głos zaznaczył wysoką nutą swoją obecność w rzeczywistości. Usiadłam na łóżku, głośno dysząc, jakbym właśnie przebiegła maraton. W przerażeniu spoglądałam przed siebie. Nie spodziewałam się, że chwilę później drzwi otworzą się z hukiem, a do środka wleci całe ASN. Bezlądna miała przerażone oczy, ale dzielnie dzierżyła w dłoniach doniczkę z miętą, Niepohamowany trzymał w ręku pilot, jakby był jego mieczem świetlnym, który lada moment miał uruchomić, Nieobliczalna celowała pistoletem prosto w moją twarz (to akurat była zastanawiająca reakcja). Nigdzie nie widziałam natomiast Wyobraźnego. Cóż, trudno oczekiwać od niego, żeby przybiegł mi na ratunek.

– Spokojnie, nic się nie dzieje – powiedziałam, nerwowo się śmiejąc. Wystawiłam przed siebie uspokajająco dłonie. – To tylko zły sen.

Bezlądna odetchnęła i otarła z czoła pot, zostawiając na nim smugę ziemi (najwyraźniej sadziła chwilę temu miętę), Nieobliczalna z miną bez wyrazu po prostu wyszła z pokoju, a Niepohamowany... cóż, wyglądał na zawiedzionego, że to tylko sen. Widocznie liczył na rozwałkę.

– Szkoda – powiedział, wzruszając ramionami. Machając mi dłonią na pożegnanie, wyszedł na korytarz. Kiedy myślałam już, że zostałam sama, zza drzwi mignęła mi biała czupryna i szare oko.

– Och – rzuciłam zdziwiona, nie do końca wiedząc, jak zareagować na tę niespodziewaną obecność. Aby nie spłoszyć chłopaka, poklepałam zapraszająco materac. Posłałam mu też zachęcający uśmiech.

Przez chwilę najwyraźniej się wahał, ale w końcu wszedł do środka,

zamykając za sobą drzwi. Stał przy nich dłuższy moment, jakby zastanawiał się, czy jednak nie uciec. Rękaw szarej bluzy naciągał jak zawstydzone dziecko. Na dodatek uparcie patrzył się w ścianę i marszczył czoło. Cierpliwie czekałam, aż podejmie inicjatywę. I rzeczywiście, w końcu wziął głęboki wdech, spojrzął na mnie, jakby chciał mnie zabić samym wzrokiem, a potem zaciskając pięści, ruszył w moim kierunku. Zapewne ktoś inny mógłby pomyśleć, że zaraz mi przywali. Domyślałam się jednak, że po prostu zebrał się w sobie i postanowił szybko podjąć decyzję, aby nie uciekać jak tchórz.

Wyobraźalny usiadł, a raczej wskoczył na miejsce obok mnie. Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo dziecięco nieporadny był. Jak na osobę, która zbytnio nie miała styczności z ludźmi, świetnie sobie ostatnio radził. A co najważniejsze, nie bał się mnie tak bardzo jak kilka tygodni wcześniej. Może nawet zaczął mi ufać?

Chłopak spojrzął na mnie ukradkiem. Wyglądało na to, że nie wie, jak dobrać odpowiednie słowa. Po jego głowie musiało teraz krążyć pytanie: o co mam ją spytać, żeby nie było niezręcznie? Postanowiłam trochę mu pomóc. Sama zaczęłam opowieść:

– Ostatnio często śni mi się moje rodzinne miasto. Widzę Szwendacze wychodzące ze starej fabryki. Kiedyś po Fomalade krążyły plotki, że to właśnie tam wszystko się zaczęło. Te krwawe samobójstwa, dziwne zjawiska paranormalne... – Podkuliłam nogi i położyłam brodę na kolanach. – Widziałam też moją mamę. Była ze mną w ciąży i walczyła ze Szwendaczem. Nie wiem jednak, jak zakończyła się ta walka. Mam takie dziwne przeczucie, że jeśli to prawdziwe zdarzenie, to moja mama musiała być jedną z niewielu osób, które przeżyły spotkanie ze Szwendaczem. – Zaśmiałam się niemrawo. – Może to jest powód, dla którego Szwendacze się mnie boją?

Wyobraźalny przez dłuższą chwilę milczał. Nie patrzyłam na niego, tylko przed siebie. Nie oczekiwałam zresztą, że cokolwiek powie. Bo co mógłby dodać?

– Też często śnią mi się Szwendacze – mruknął, co nieco mnie zaskoczyło. Spojrzałam na niego ukradkiem. Sprawiał wrażenie zamyślnego. Jego czoło przeszyła zmarszczka. – Te sny wydają się rzeczywiste. Szwendacze często mnie otaczają i powtarzają, że nie zabiją mnie, bo jeszcze chcą mnie wykorzystać. – Spojrzął na mnie niepewnie. – Odkąd się pojawiłaś, powtarzają też, że jesteś niebezpieczna i powinienem cię unikać. Dopiero niedawno zauważyłem, że... po prostu mną manipulują. Chyba rzeczywiście się ciebie boją. – Wyobraźalny odwrócił wzrok, jakby poczuł się zawstydzony.

Byłam z niego dumna. Wypowiedział więcej słów niż kiedykolwiek wcześniej, to dlatego szeroko się uśmiechnęłam. Przez kolejne minuty nie odzywaliśmy się do siebie, aż w końcu powiedziałam:

– Dziękuję za tę rozmowę.

W podzięce nawet go przytuliłam. Kiedy objęłam chude i zimne ramiona, poczułam, że jego mięśnie się spinają. Na moment przestał nawet oddychać. Niemal zapomniałam, że nie lubi bliskich kontaktów z innymi ludźmi. Mimo wszystko nie uciekł. Może za bardzo się bał, żeby to zrobić? A może po prostu nie chciał tego robić?

Już po chwili poczułam, że jego mięśnie się rozluźniają. To oczywiste, że nie odwdzieczył się uściskiem, ale to wystarczyło. Miałam kolejny dowód na to, że Wyobraźalny powoli zaczynał mi ufać.

Termin zakładu z Niepohamowanym minął. Zgodnie z ustaleniami, powinnam mieć w zanadru gotowy pakiet informacji dotyczących poszczególnych członków naszego zespołu. Czy miałam coś, czego nie wiedział Niepohamowany? To się okaże.

Spotkaliśmy się w południe na murku przed ASN, czyli jedynym w miarę bezpiecznym miejscu, z którego w razie problemów mogliśmy uciec do naszego stowarzyszenia. Miałam tu oczywiście na myśli nagłą inwazję Szwendaczy, którzy ostatnimi czasy bardzo się nami interesowali. Przy sobie miałam swój różowy notatnik, gdzie od kilku tygodni gromadziłam cenne dane. Największym wyzwaniem, choć początkowo się tego nie spodziewałam, okazał się sam Niepohamowany. Kto by pomyślał, że tak otwarta osoba może mieć tyle do ukrycia?

Mój kolega zjawił się na miejscu chwilę po mnie. Wskoczył na murek i spojrzał na mnie tak, jakby z góry stwierdził, że wygrał ten zakład. Niedoczekanie.

– Zaskocz mnie – rzucił, podpierając się z tyłu dłońmi. Zaczął machać nogami jak zniecierpliwione dziecko.

– Myślę, że najłatwiej będzie zacząć od Beźładnej. Tak naprawdę nazywa się Shia Nakamura-Yang. Urodziła się w Tajlandii, jej ojciec był Chińczykiem, a matka Japonką.

– Iście azjatycka mieszanka, czyż nie? – spytał rozbawiony swoim żartem Niepohamowany. Postanowiłam tego nie skomentować. Zresztą podejrzewałam, że to informacje, których mój kolega był już świadomy. Nietrudno było usłyszeć miliony razy historię samotnej Azjatki.

– Trochę mi to zajęło, ale w końcu zrozumiałam, na czym polega jej przypadłość. – Spojrzałam ukradkiem na zainteresowanego Niepohamowanego. – Ma rozdwojenie jaźni.

– Słuszna uwaga, choć ma nieco bardziej złożoną diagnozę.

– Tak samo jak ty poddałam ją małej obserwacji. – Uśmiechnęłam się uroczo do Niepohamowanego, który zaczął mnie irytować swoją pewnością siebie.

Tak bardzo wierzył w to, że wygra, że nawet sama zaczęłam się wahać. – Wszystko wskazuje na to, że obie jej osobowości mają skrajne cechy, a także różne wersje opowieści w zanadru. Pierwsza, bardzo depresyjna, wspomina życie u boku matki, która jej nie kochała. Druga, szczęśliwa i rozgadana, prezentuje wersje zdarzeń z perspektywy szczęśliwej córki żyjącej z ojcem. W tych historiach różni się nawet liczba jej rodzeństwa, dzięki czemu doszłam do wniosku, że jej dwie osobowości nie tylko są różne, ale mają także różne podejście do historii jednej osoby. Co ciekawe, będąc z nami, pamięta wszystko, co się wydarzyło, niezależnie od tego, która osobowość w danym momencie królowała. Ma problem wyłącznie z przeszłością.

Nakreśliłam także jej dzieciństwo oraz dalsze losy, aż do momentu trafienia do ASN. Wspomniałam również o tym, że zapoznałam się z notatkami Nathaniela.

– Dobrze rozszyfrowałaś jej przypadłość, uznajmy więc, że pod tym kątem wygrywasz. Nawet jej poplątaną historię złożyłaś w sensowną całość. Ale czy wiesz, kogo darzy największymi uczuciami? – Niepohamowany uśmiechnął się szerzej.

– Tutejszego psychiatrę, Darrella. O tej historii też mi powiedziała. – Wzruszyłam obojętnie ramionami. – Zrządzenie losu sprawiło, że pewnego dnia przyłapałam ją na spowiadaniu się mu z tego, co robimy i o czym rozmawiamy.

Niepohamowany klasnął w dłonie, jakby się ucieszył, że to odkryłam.

– Sto punktów dla najlepszej detektyw w ASN, oczywiście zaraz po mnie. – Zachichotał się. – A czy wiesz może coś, czego ja nie wiem?

– Wiem coś, czego nie wiesz. – Tym razem to ja uśmiechnęłam się szerzej, co wzbudziło zainteresowanie chłopaka. Postanowiłam zabić go prostotą. W końcu nigdy nie powiedział, jak wielką wagę mają mieć te informacje. – Beźładna ma nieregularny okres i dlatego często zastanawia się, czy nie jest w ciąży, pomimo tego że z nikim nie współżyła.

Niepohamowany niemal spadł z murku, kiedy wybuchnął śmiechem. W jego oczach pojawiły się łzy. Przez dłuższą chwilę trzymał się nawet za brzuch.

– Kocham cię – powiedział zduszonym głosem. Samotną leżkę otarł z kącika oka. – Kocham cię za to, że mądrze myślisz. Faktycznie, nigdy nie interesowały mnie takie rzeczy. Wygrałaś.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Choć wiem, że była to totalna bzdura, nie mogłam wymyślić niczego więcej. Beźładna to dosyć oczywisty przypadek. Mówiła wprost o wszystkim. Pewnego dnia przyznała mi się jednak, że wstydzi się mówić na głos o kobiecych sprawach i zawsze jej przeszkadzało, że nie może o nich porozmawiać z chłopakami. Nieobliczalna natomiast w oczach Shii była po prostu nieodpowiednią osobą do takich zwierzeń. Proste, a wystarczające.

– Idźmy dalej. – Rozchichotany Niepohamowany machnął w moją stronę ręką, jakby zachęcał mnie do dalszej spowiedzi.

– Nieobliczalna – zaczęłam, co momentalnie wzbudziło większe zainteresowanie mojego kolegi. Na dźwięk tego pseudonimu uśmiechnął się w ten dziwny sposób, w jaki w komunikacji miejskiej na młode dziewczęta patrzają starsi mężczyźni. – Tu raczej również cię nie zaskoczę. Sam przyłapałeś mnie na wyciągnięciu wszystkich informacji o niej z twojego tajemniczego zeszytu.

– Ach, jakże mi wstyd, że poznałeś najgłębsze sekrety mojej ukochanej – powiedział teatralnie, kładąc rękę na piersi. – Badanie jej historii tyle mi zajęło, a ty poszłaś na łatwiznę.

– Miałam mniej czasu na zgłębienie tych informacji niż ty, musiałam więc grać nieczysto. – Wzruszyłam ramionami, ponieważ nie miałam wyrzutów sumienia. Wszystkie ruchy były w tej grze dozwolone.

– Doceniam za pomysłowość. – Niepohamowany znowu wsparł się dłońmi o murek. – Canaria Eliana Sølvi Alcante, matka dziwka, ojciec albinos, sierociniec, norweska mafia bla bla bla, oboje znamy tę historię. Przejdźmy do tego, co wiesz o moim słodkim jednorozcu, czego ja być może nie zgłębiłem? – spytał zaciekawiony. Jego oczy wręcz błyszczały zdradzając maniackalne zainteresowanie dziewczyną. Tymczasem ja wciąż zastanawiałam się, czy Niepohamowany nie był pedofilem.

Wreszcie pochyliłam się z poważną miną do przodu i zadałam pytanie:

– Czy wiesz, ile maskotek ma Nieobliczalna?

Niepohamowany położył palec wskazujący na ustach, przybrał zamyśloną minę i spojrział w niebo.

– Według moich najnowszych informacji, które zdobyłem, gdy obserwowałem ją śpiącą w jej pokoju przez całą noc, dziesięć.

– Błąd. – Uśmiechnęłam się chytrze. – Nieobliczalna dostała ostatnio nową maskotkę. Jednorozca z tęczową grzywą. To jej jedenasty pupilek.

– Ach, wszystko jasne. – Niepohamowany uśmiechnął się wrednie pod nosem, kiwając do siebie głową. – Sama jej go kupiłaś i w ten sposób ją przekupiłaś. Zapewne to ona zdradziła, że pod moim łóżkiem kryje się zeszyt z zapiskami. Sprytne. Wykorzystałaś cechę Nieobliczalnej, która na pierwszy rzut oka nie jest widoczna. – Chłopak wystawił w moim kierunku kciuka. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu to, że na razie dobrze mi szło. Albo był zbyt pewny siebie, albo efekty zakładu naprawdę go zainteresowały. – Dwa do czterech. Co powiesz w takim razie o Wyobraźnym? Chyba z nim nie było już tak łatwo.

Miał rację. Trudno było cokolwiek z niego wyciągnąć. Swoje imię zdradził mi całkowicie przypadkiem podczas jednej z nocnych eskapad. Nathaniel też o nim niczego nie napisał w notatkach. Czego się więc dowiedziałam?

– Twardy orzech do zgryzienia – powiedziałam z westchnięciem. – Znam jego imię i przypadłość. Sam powiedział mi, że tęskni za swoją rodziną, nienawidzi owsianki i owoców, a poza tym od dłuższego czasu ma koszmary związane ze Szwendaczami, które do niego przemawiają.

Niepohamowany zamrugał szybko oczami. Nie do końca rozumiałam jego reakcję. To było coś pomiędzy zaskoczeniem a niedowierzaniem.

– Czekaj. Rozmawiałaś z nim? – spytał podejrzliwie.

– No, tak. Co w tym dziwnego? – Tym razem to ja spojrzałam niepewnie na Niepohamowanego.

– Moje pytania zawsze ignoruje. – Chłopak pogładził swój podbródek. Po chwili zastanowienia wystawił palec wskazujący w górę i uśmiechnął się, jakby z czegoś właśnie zdał sobie sprawę. – Czyli jednak Wyobraźalny się w tobie zakochał!

Gdybym cokolwiek teraz piła, zapewne oplułabym Niepohamowanego.

– Sądzę, że po prostu nie zadawałeś mu odpowiednich pytań. – Spojrzałam na niego znacząco. – Wyobraźalny jest płochliwy, a twoja osobowość może zawstydzić niejedną, nawet odważną osobę. – Uśmiechnęłam się pod nosem.

Chłopak znowu pogładził swój podbródek w zamyśleniu, po czym zupełnie ignorując to, co powiedziałam, rzucił:

– Ach, czyli jednak się w tobie zakochał.

Tym razem uderzyłam się dłonią w czoło.

– Nie sądź – mruknęłam od niechcienia. – Czy możemy uznać, że wiedziałam o nim coś, czego ty nie wiesz? – Uniosłam brew.

– O tak. W sumie to nie wiedziałem, że nie lubi owsianki i owoców. – Niepohamowany zachichotał. – Trzy do czterech dla ciebie. A co powiesz o tym przystojniaku siedzącym obok ciebie na murku? – Puścił mi oczko i przybrał dziwnie uwodzicielską minę, jaką zwykle obdarowywał Nieobliczalną.

– Czekasz na to, aż przyznam, że znalezienie informacji o niejakim Raidenie Harney było trudne? – spytałam z wrednym uśmiechem, na co ten szerzej się uśmiechnął i zmrużył z zainteresowaniem oczy. – Wymagało to ode mnie pomysłowości i umiejętności zdobywania informacji, ale dokonałam tego.

– Zatem słucham.

– Szczerze powiedziawszy to dałeś mi kilka podpowiedzi. Nie wiem tylko, czy świadomych, czy nie. Wskazówką okazały się inicjały na twoim zeszycie, gdzie wypisywałeś wszystkie informacje na temat Nieobliczalnej. Za resztę mogę podziękować tylko swojej umiejętności słuchania innych i dobrej pamięci. – Spojrzałam z uśmiechem na swojego towarzysza, który wsparł teraz podbródek na złożonych dłoniach. Wyjątkowo nic nie mówił. – Początkowo znalazłam tylko kilka głupich artykułów o niezwykle ekspresyjnym chłopaku, który wygrał konkurs na recytację wiersza.

Niepohamowany zachichotał.

– To były czasy.

– Pomocny okazał się komentarz jednej z osób. „Raiden to zabójca”. Tym samym dotarłam do innych ciekawych informacji na twój temat. – Tym razem przybrałam poważną minę. – Jako student pozbawiłeś życia jednego ze swoich rówieśników oraz własnego ojca. Ponoć całą historię skomentowałaś: świetnie się bawiłem, a mój kumpel jest pewnie teraz w jakimś zabawniejszym miejscu. – Nie sądziłam, że te słowa wypowiedziane na głos sprawią, że przeszyją mnie dreszcze. Było tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz znalazłam te informacje. – Tylko dlatego, że byłeś ścigany użyto w sieci twoich danych osobowych. Inne artykuły głosiły, że zostałeś złapany, zidentyfikowany jako parapsychologiczny przypadek i zamknięty w IBPP. Zaciekawilo mnie to, że brukowce niewiele mówiły na twój temat. I ty sam nie byłeś nigdy zbyt wylewny, czyż nie? – Przekreśliłam głowę w bok, nawet nie czekając na jego odpowiedź. – Sam Nathaniel nie posiadał o tobie żadnych istotnych informacji, prawdopodobnie poza tym, co zostało publicznie ujawnione. W całej tej historii pojawiła się jednak jedna znacząca postać. Tajemniczy psychiatra, który zaprzeczał, że kiedykolwiek cię leczył, pomimo tego że wiele osób w twoim środowisku potwierdziło to powiązanie. Jedyne, na co wpadłam, to że rzeczywiście byłeś pod stałym nadzorem tego psychiatry i to on zataił o tobie wszystkie informacje. Widocznie musieliście być ze sobą blisko.

Spojrzałam wyczekująco na Niepohamowanego, który skierował wzrok na niebo i uśmiechnął się, jakby wspominał stare dobre czasy.

– Jestem pełen uznania dla twojego zmysłu detektywa. Pomyliłaś się tylko z jedną rzeczą. – Tu zrobił przerwę i skierował na mnie swoje oczy. – Nigdy nie trafiłem do IBPP. Pozwól jednak, że opowiem ci wszystko od samego początku...

O Autorze:

Absolwentka filologii polskiej II stopnia na specjalizacji edytorskiej. Redaktor, content manager i copywriter. Od czasów wygranej w konkursie na powieść w odcinkach wspiera redakcję *Białego Kruka*. Zajęła trzecie miejsce w konkursie organizowanym przez wydawnictwo Genius Creations (antologia: *Niegrzeczni chłopcy*) i pierwsze miejsce w kategorii One Shot w konkursie „Splątane Nici” organizowanym na Wattpadzie. W fantastycznym świecie znana jako elfia księżniczka.

Pajęczyna

Olaf Pajczkowski

27.

Jack milczał, przyglądając się twarzy Tamary. Miał wrażenie, że coś jest nie tak, lecz nie potrafił określić źródła swego niepokoju. Ta niemożność zmieniła się w niemal fizyczny dyskomfort. Czuł się jak człowiek powoli wybudzający się ze snu, mający jeszcze pod powiekami nocne widziadła, ale już na tyle świadomy, by pojąć, że pod pozornym porządkiem krainy Morfeusza krył się absurd i chaos. Coś w jej...

Tamara wreszcie nie wytrzymała jego wzroku i uciekła oczami w bok.

– Nie dziwię ci się – powiedział.

– To puder – rzekła jak gdyby bez związku, dotykając policzka; gdy ponownie popatrzyła na detektywa, zdał sobie sprawę, że musiała opacznie zrozumieć jego spojrzenie. – Ale... Ale ja... Nie chodzi o mnie... To znaczy nie tylko o mnie... On mnie bije, robi... Ale przede wszystkim Betty...

– Byłyście blisko?

– Tak... Nie... Trudno powiedzieć. Tak naprawdę bardzo mało bardzo rzadko rozmawialiśmy. Ale Betty jest dobrym człowiekiem. Tak myślałam często, że jakby okoliczności były inne, to mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Jej historia jest podobna do mojej. I tak jakoś była mi bliska, mimo tego że niewiele, że rzadko rozmawialiśmy. Ale nawet gdybym nie czuła z nią jakiejś więzi, to przecież nikt nie zasługuje...

Zamilkła nagle, niemal polykając końcówkę ostatniego słowa.

– Finch zamordowano, prawda?

– Zniknęła. Utonęła.

– Wiesz, że nie o to pytam.

Chwila ciszy.

– Niczego nie wiem na pewno. Nie znalazłam żadnych... Nic nie widziałam... On mi nie mówił.

– Ale sądzisz, że to on ją zabił, prawda?

Skinęła głową.

– Skąd te przypuszczenia? Oczywiście pomijając to, że to sukinsyn.

Zadrżała. Znów uciekła wzrokiem, tym razem prześlizgnęła się nim po świetlistym prostokącie okna, zanim odparła nieco zachrypniętym głosem:

– Nie potrafię powiedzieć. Ale jej zniknięcie... To znaczy to stało się tak nagle i niespodziewanie... Na początku nikt nie zwrócił uwagi, bo mogła przecież przestać przychodzić, mogło się zdarzyć milion innych rzeczy, ale ona nie była taką osobą. Dla niej Zgromadzenie było życiem. Nie rzuciłaby tego ot tak. Już wtedy wiedziałam, że coś się stało, bo ja... bo ja też... Ja też nie mogłabym, tak jak ona, porzucić Zgromadzenia. Wtedy. Potem rzeka wyrzuciła jej rzeczy i dopiero wtedy wszyscy... Wiesz.

– Tak, ale przecież Anders nie musiał maczać w tym palców. Miasto jest duże, pełne psycholi. – Po plecach Baranskiego przebiegł dreszcz. Przed oczami stanęła mu maska przeciwgazowa.

– Tak, ale ja jestem z nim... najbliżej... i widzę więcej. To znaczy widziałam, że Betty też się do niego zbliżyła.

– Jak bardzo?

– Nie mam... nie mam pojęcia. On mieszka w siedzibie Zgromadzenia, ja też, ale... myślę, że w budynku mogą być przejścia, których mi nie pokazał... Ja... Tak myślę, że widziałam zmianę w nim, w niej. Kiedy Betty zniknęła, nie chciał o niej mówić. Nawet gdy przyszła wieść, że może nie żyje, nie zająknął się. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Jakby zaraz zapomniał. Jakby nigdy nie istniała. Jakby się w ogóle nie liczyła. Jak mucha. Ja znam go dobrze, bardzo dobrze... Ale nie spodziewałam się, że może być taki... Myślałam, że... Ale...

Znowu zamilkła. W lewym oku zalśniła jej łza.

– Jak mam pomóc? – spytał Jack.

– Nie... Myślałam, że ty... To znaczy – w jakikolwiek sposób mogłabym ci pomóc... Jeśli pomogę tobie, to pomogę też sobie. Nie wiem, jaki masz plan, ale pomogę ci, jak tylko będę mogła.

– Konkretnie? Do czego konkretnie możesz się przydać?

– Wiem dużo. Najwięcej poza nim... No i jego zaufanymi. Znam rozkład budynku. Wiem, kto o której mniej więcej gdzie jest. Kiedy jest najmniej osób. Znam kody systemu alarmowego. Naprawdę nie wiem. Wiem, że może nie potrzebujesz mojej pomocy, że sobie dobrze radzisz, bo przecież wszedłeś do jego biura bez niczyjej pomocy, ale jeśli jednak mogłabym się jakoś przydać... Po prostu powiedz. Może mogłabym cię wprowadzić do jego prywatnego gabinetu? Jaki masz plan? Co chciałbyś zrobić dalej?

– Skąd mam mieć pewność, że mogę ci ufać? Sama mówiłaś, że miałaś mnie wybadać i powiedzieć, co chcę usłyszeć.

– Nie możesz mieć. Ale uratowałam cię wtedy.

– A gdybyś chciała mnie wystawić, to teraz byłaby najlepsza okazja. – To oznajmiwszy, wskazał kciukiem na przedpokój. Przez chwilę nasłuchiwał, ale nie dotarły doń odgłosy kroków pnącej się powoli po schodach osoby, która w końcu zatrzymałaby się pod ich drzwiami i delikatnie nacisnęła klamkę.

W tym czasie Tamara, uniósłszy lekko brwi, przyglądała się detektywowi zeszywniała, najwyraźniej czekając, aż będzie kontynuował. Na jej twarzy malowało się napięcie, niepokój i coś jeszcze, czego Jack nie był w stanie zidentyfikować. Jakby od słów Baranskiego zależał jej los. Nim jednak zdołał otworzyć usta, odezwała się pierwsza:

– Do śmierci Betty nie wiedziałam... może nie chciałam wiedzieć... – urwała, westchnęła ciężko, na moment przymknęła oczy. – Zgromadzenie jest... było... dla mnie wszystkim. Przedtem nigdy nie miałam kontroli nad swoim życiem. Wszystko było takie chaotyczne, wszystko, nieważne, czy człowiek się starał, czy nie, wydarzało się jak gdyby samo. Czułam, że niby miałam wybór, ale tak naprawdę go nie miałam, a każdy plan mógł zostać pokrzyżowany przez przypadek. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak.

– Życie... Mówią nam od zawsze, że mamy wybory, że od nas zależy, jak się wszystko potoczy, ale ja czułam, że to nieprawda. Że zawsze może się coś stać... Nie wiem, to głupi przykład, ale możesz chcieć mieć dom, piękny dom, na który latami odkładasz pieniądze, a gdy już przyjdzie dzień, kiedy chcesz w nim zamieszkać, spada na niego meteor. Zostajesz z niczym, pomimo tych wszystkich planów, pomimo tego że przecież nie jest to twoja wina. Przypadek. Chaos. I ja się czułam tak, a tylko w Zgromadzeniu znalazłam ten porządek. Tutaj wszystko jest... Wszystko ma sens. Człowiek uczy się tego wszystkiego, tych wszystkich myśli filozoficznych, i potem może sobie wiele rzeczy wyjaśnić. Albo przynajmniej widzi, że przez tyle tysięcy lat było wielu ludzi, którzy czuli podobnie i też próbowali sobie to wszystko uporządkować. Nie czuje się sam. Tym bardziej że wreszcie ma rodzinę. Tylu ludzi jest z tobą, podobnie myśli, podobnie czuje, widzujemy się codziennie... Ale gdy zginęła Betty, to wszystko runęło. Cała ta iluzja. Ona... on... rozumiesz. Nikt nie przejmuje się drugim człowiekiem, nawet tutaj.

Baranski przyglądał się jej długo, tej zgarbionej kobiecie siedzącej na brzegu łóżka, obejmującej się ramionami, drżącej jak skarcona dziewczynka czekająca na kolejny wybuch gniewu surowego rodzica, i nagle zachciało mu się płakać. Płakać i podejść do niej, przytulić, pomimo tego że oczami wyobraźni widział, jak Tamara wyciąga skądś sztylet i wbija ostrze detektywowi w plecy. Przez moment walczył z napływem tych przeciwstawnych emocji, zdziwiony ich intensywnością. Starając się, by go nie pochłonęły i nie pojawiły na jego twarzy wyraźnie jak na telebimie, zapytał:

– Dlaczego ty, taka... Dlaczego z nim byłaś? Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegłaś? Przecież to musiało się zacząć wcześniej. Musiał wcześniej cię bić.

Jeszcze bardziej się zgarbiła.

– N-nie... On nie jest złym człowiekiem... Nie był złym człowiekiem. Nie przed Betty, miał zawsze cel, cel był najważniejszy, a ja często zasługiwałam na to... Rozumiesz, on wiedział lepiej, ja jestem głupia...

– Nie. Nie zasługiwałaś.

Kontynuowała, jakby go nie usłyszała:

– Dopiero wtedy, po Betty... Ale nie wiedziałam, co robić. Gdzie iść. Trochę się bałam. Nie mam gdzie pójść, wiesz? I wiedziałam, że nikt nie przejmie się moimi słowami. To tylko słowa. Nie jest tak łatwo uciec, kiedy nie ma się dokąd. Ale jak się pojawiłeś, to pomyślałam, że ja dalej tak nie mogę, że przede wszystkim dla Betty powinnam coś zrobić.

– No dobrze – powiedział, a jego głos jakby wyrwał Tamarę z transu; kobieta drgnęła, spojrzała na Jacka, a on miał wrażenie, że na mikrosekundę na jej ustach zagościł cień uśmiechu, ledwie zauważalny jak odbłask ukrytego pośród wysokich traw szkła w słoneczny dzień, i równie szybko znikł. – Jak tu w ogóle trafiłaś?

– Wiesz, byłam... chciałam być... artystką. Tworzyć coś pięknego. Coś z niczego. Albo naprawiać to, co zepsute.

– Rozumiem cię – oznajmił detektyw z przekonaniem.

– Ale życie... Powtarzam się. Po prostu nie wyszło. Zdarza się. Tylko że nie potrafiłam się odnaleźć, a moja siostra... – Westchnęła ciężko, tak ciężko, że Baranskiemu wydawało się, iż pozbyła się całego powietrza z płuc. – Ona... Przepraszam, trudno mi o tym mówić.

– Jeśli nie chcesz, nie mów.

– Nie, ja... Ona... Umarła. Zamordował ją jakiś... – urwała.

– Przykro mi.

– Dziękuję. Poza nią nie miałam nikogo, nasi rodzice... Nigdy nie byliśmy z nimi blisko. Ale ze sobą tak. I kiedy ktoś ją zabił... Wiesz, że do dzisiaj nie znaleziono sprawcy? Kiedy to się stało, świat stracił resztki porządku... Mam wrażenie, że od tamtego czasu dni przepływały mi przez palce. Imałam się różnych prac – tu kelnerka, tam sekretarka, tam robota na stacji benzynowej, nic stałego. I tak trwałam. Jak we śnie. Wszystko było jak we śnie. Ludzie – kolejne twarze, pojawiały się, znikwały. Wydarzenia dokładnie takie same. Jak w jakiejś pętli. A ja skaczę z jednego miejsca do drugiego. Albo raczej coś mnie rzuca. Idę do przodu, dzień mija za dniem, ale życie jakby nie było moje. Podniosłam ulotkę Zgromadzenia. Przeczytałam. I pomyślałam, że nie mam nic do stracenia. Że może tam spotkam kogoś, kto byłby taki jak ja. I tak to się zaczęło.

– Czyli na początku im wierzyłaś?

– Nie, nie do końca. Na początku myślałam, że... Nie wiem. Tak naprawdę nie wiem, co myślałam. Poszłam, bo to był taki impuls. Nie wierzyłam w ich nauki. Dopiero później się przywiązałam. Zobaczyłam, że coś w ich słowach jest. Jakaś prawda, której wcześniej nie widziałam. I nie byłam już sama. Zostałam jego asystentką. Zamieszkałam tutaj.

– Czy to całe Zgromadzenie to nie przypadkiem jakaś przykrywka? Czy Anders nie handluje prochami, czymś takim?

Zadumała się.

– W Zgromadzeniu jest szczerłość. Mam wrażenie, wiem, że on wierzy w to, co mówi. Na pewno wierzy w przeznaczenie, w jakiś kosmiczny plan czy siłę kierującą wydarzeniami. Tu nie kłamie. Życie go tego nauczyło. Odziedzyczył więcej spadków i więcej razy wygrywał na loterii niż ktokolwiek. Tak zbudował fortunę. Stworzył też wśród nas swój mit. Nie tylko mędrca i nauczyciela duchowego. Ci, którzy są u nas dłużej, wierzą, że jest nieśmiertelny.

– Naprawdę?

– Kiedy jesteś długo w Zgromadzeniu i zaczynasz wierzyć we wszystko, co mówi, kiedy widzisz, że nigdy się nie myli i pomaga ci, to naprawdę nietrudno i w to uwierzyć.

– Ty też wierzysz?

– Nie, oczywiście, że nie. Te opowieści o znajomości z hrabią Saint-Germain... Ale wielu tak. Może on też. Chętnie o tym opowiada. Nie mówi jednak nam wszystkiego. Nie wszystkim, tylko swoim zaufanym. A pewnie i przed nimi ma sekrety. Choćby sobowtóra.

– Sobowtóra? Po co?

– Nie wiem. Czasem pojawiał się na spotkaniach zamiast niego. Sam mi to powiedział. Nie mówił dlaczego. A kilka dni temu ten drugi nagle zniknął... Następnego dnia znaleziono go. Miał... Nie żył. Jego gardło... Przecięte...

Po plecach Jacka przebiegł dreszcz.

– Kto? Jak? Co się stało?

– N-nie wiem. Nikt nic nie wie. Na początku się tym przejął, ale potem... tak jak z biedną Betty. Starał się tę sprawę usunąć, zamieść pod dywan. Żeby policja nie łączyła sobowtóra ze Zgromadzeniem, żeby żaden policjant u nas nie węszył.

– Policja coś ustaliła?

– Szukają sprawcy. Ktoś u nas mówił, że podejrzewają motyw rabunkowy, ale nie wiem, czy to prawda. Jemu to odpowiada. Woli, żeby policja tak myślała.

– Anders kompletnie nie przejął się tym morderstwem? Przecież – może to tylko strzał, ale stawiam, że celny – to jasne, że ktoś chciał zamordować właśnie Andersa, a jego sobowtór zginął tylko przypadkiem.

– Mnie też się tak wydaje. Ale nic z tym nie zrobił. Nie zaczął bardziej uważać, nigdzie się nie ukrył, dalej pojawia się na naszych spotkaniach, dalej nadzoruje

działanie ośrodka... Chociaż jedno się zmieniło – prawie już nie wychodzi na zewnątrz. Czasami mi się wydaje, że jest zaniepokojony, że się boi, że to wszystko odcisnęło na nim swoje piętno, ale nie daje po sobie tego poznać. To tylko... Sama nie wiem. To takie dziwne, niepokojące. Gdyby to mnie ktoś próbował zamordować... A może, sama nie wiem, to nie on, tylko jakiś drugi sobowtór? A może kolejny, o którym nic nie wiem? A może to ten pierwszy, a prawdziwy on zginął? Nie, niemożliwe... – Zamyśliła się. – Znam go dobrze, wiedziałabym... – mruknęła.

– Masz jakieś podejrzenia, kto to mógł zrobić? Anders ma jakichś wrogów?

– Nie. Nic nie wiem o żadnych wrogach. Pewnie są tacy, którzy mu źle życzą, ale nigdy nie wspominał... Coraz bardziej się boję – dodała niespodziewanie tak głośno, że Jack zadrżał. – Ostatnio dzieją się dziwne rzeczy. Za kulisami, gdzie większość naszych biednych braci i siostr nie ma wglądu. W tle tych wszystkich opowieści o duchowości dużo się dzieje: ten nieszczęsny sobowtór, biedna Betty... i inne rzeczy...

– Takie jak pająk, prawda?

– Tak. Ale i on wiąże się z tym wszystkim. Ta figurka to klucz.

– Klucz do czego?

– Nie do końca wiem. Zawsze mówił o tym bardzo ogólnie, ale to jest ten jego cel...

– Czy to ma coś wspólnego ze śnieniem? – wszedł jej w słowo Baranski.

– Tak mi się wydaje. On często łączy ze sobą te pojęcia. Mówi o ostatecznym celu, o zwycięstwie, o przejściu gdzieś dalej... Klucz ma coś otwierać, jakąś bramę, za którą odnajdzie to, czego szuka. To chyba brama do tego drugiego świata, o którym często wspomina. Nigdy jednak nie podał nam szczegółów. Powtarza tylko, że wyrwie się z łańcuchów naszej rzeczywistości, uwolni się, odnajdzie prawdę, a potem po nas wróci. Nie musimy tego rozumieć. Musimy tylko w tym pomóc, pomóc w odnalezieniu klucza, a on nas poprowadzi. Jest przecież naszym pasterzem. Dlatego gdy znalazłam artykuł o tym naukowcu, to uznał, że jest już blisko zwycięstwa. Że przeznaczenie się wypełnia. Że los znowu mu pomaga, pokazuje drogę.

– Ten naukowiec to Noel Barton, prawda?

– Tak... Tak, to właśnie to nazwisko. Specjalista od sztuki starożytnej. W artykule było zdjęcie jego kolekcji. A wśród niej pająk. Gdy go zobaczył, uznał, że los się do niego uśmiechnął i znalazł klucz. Powiedział, że musi go zdobyć.

– Wiesz, że doktor Barton nie żyje?

– Tak. – Westchnęła. – Biedak...

– To robota Andersa?

– Nie! – odparła szybko, jeszcze nim skończył zadawać pytanie. – On proponował biednemu doktorowi kupno, ale zanim ten zdążył odpowiedzieć...

Jack skinął głową.

– A pająk zniknął – skonkludowała.

– Anders nie znał wcześniej Bartona?

– Nie. Nigdy o nim nie mówił.

– Dlaczego uznał, że właśnie ta figurka to klucz?

– Bo ja znalazłam artykuł.

– Co to ma za znaczenie?

– On uważa, że mam dar.

– Jaki dar?

– Widzenia.

– Nie rozumiem.

Zawahała się. Potem uniosła dłoń do prawego oka.

– Popatrz – rzekła. – Nie jest moje. Wyłupił mi je, żebym widziała.

– Boże drogi...

Dopiero wtedy Baranski pojął, co uderzało go w twarzy dziewczyny, co nie dawało mu spokoju i rozbrzmiewało fałszywą nutą w uszach, ilekroć spojrzął na Tamarę. Prawe oko było martwe. Sztuczne. Detektywowi zrobiło się duszno.

– Strasznie bolało, krzyczałam – wspominała bez emocji, jakby opowiadała o czymś błahym, czymś, co nie przytrafiło się jej, ale komuś innemu, unikając wzroku Jacka. – Kiedy skończył, powiedział, że teraz jestem jak Odyn. Kiedy znalazłam artykuł, zainteresował się nim. Pokazałam mu go i palec położył mi się na zdjęciu, na tej figurce. Był zadowolony. Powiedział, że tak właśnie podejrzewał i że to jest klucz. Potem kazał mi znaleźć kolejne klucze, ale nie umiałam...

– Tamara, ja... To po prostu... Posłuchaj. – Słowa kłębiły się na języku Jacka bez ładu i składu, nie pozwalając wyartykułować myśli, pchały się na zewnątrz niemal bez udziału woli; chłód przenikał ciało detektywa, ilekroć koncentrował się na oczach dziewczyny. Patrząc na okno, spróbował raz jeszcze przekuć emocje, które nim targały, w koherentny przekaz. – Ja słyszałem o wielu strasznych rzeczach... Nawet widziałem okropieństwa jak z jakiegoś porąbanego filmu. Słyszałem o... Są ofiary przemocy domowej, które żyją w tym piekle cały czas i z jakichś powodów nie chcą tego zmieniać. Nie mnie to oceniać, choć nie rozumiem takiej postawy. Ale takiego bestialstwa... – Machnął ręką, jak gdyby opędzał się od muchy. – To, co ci zrobił... I ta biedna Finch. Nie mamy pewności, co z Bartonem. Nie potrafię tego zrozumieć, naprawdę nie potrafię. Mówisz, że nie miałaś gdzie iść, ale to przekracza wszelkie granice. Dlaczego zostałaś, Tamaro? Dlaczego chcesz działać dopiero teraz?

– Nie wiem – odparła głucho. Jack spojrzął na nią. Znowu odpłynęła gdzieś myślami, lecz szybko do siebie wróciła i popatrzyła na detektywa jak gdyby spłoszona. – Ale teraz chcę ci pomóc.

Baranski wytrzymał jej wzrok, zapanował nad mieszaniną zalewającego go strachu, obrzydzenia i współczucia. Przełknąwszy ślinę, odetchnął głęboko. Chciał powiedzieć Tamarze setki rzeczy, chciał zadać tysiące pytań – choć zdawał sobie sprawę, że wszystkie sprowadzały się do jednego pytania: „dlaczego?” – ale uświadomił sobie, iż dociekanie przyczyn ludzkich zachowań nie miało sensu. „Mówimy, że jesteśmy racjonalnymi zwierzętami, ale gdy ktoś poprosi nas, żebyśmy wytłumaczyli, czemu zrobiliśmy to i to – nie umiemy”, przemknęło mu przez głowę. Dlaczego on był taki, jaki był? Dlaczego wieczorami przeglądał te rozpadające się ze starości „Weird Tales”, zamiast uzupełniać profil na mediach społecznościowych? Czy i on nie podjął pewnych decyzji z powodów, których nie potrafił wyjaśnić?

Skupił się na nieruchomym oku dziewczyny. Ale to... Taka decyzja...

Westchnął raz jeszcze.

– Tamaro, powiedz mi więc, jak dalej było z doktorem Bartonem? Co się dalej stało po tym, jak znalazłaś artykuł?

– Jak mówiłam: zaoferował mi kupno, ale doktor nie zdążył...

– Myślisz, że w ogóle chciał sprzedać Andersowi pająka?

– Nie wiem.

– Kiedy Anders dowiedział się o jego śmierci?

– Wczoraj. Któryś z jego zaufanych – może Douglas? – widział w telewizji i mu powiedział.

– Wczoraj? – zdumiał się Jack. – Nie wcześniej?

– Nic o tym nie wiem. Ale raczej nie. Był bardzo zły, gdy się dowiedział. Wysłał Douglasa do mieszkania biedaka, żeby odzyskał pająka, ale figurki już nie było. Wpadł w furię. Kazał mi znaleźć inne klucze, ale ja nie widziałam.

– Nie wiedział, że miałem pająka?

Wyraz twarzy Tamary wyjawiał mu wszystko.

– A miałeś? – spytała.

– To długa historia – odparł, próbując zignorować poczucie, że popełnił błąd.

– Skoro nie wiedział, to po co teraz ciebie przysłał?

– Mówiłam ci: miałam cię wy badać. Na początku myślałam, że jesteś zwyczajnym detektywem, ale jak wróciłeś, to powiedział, że się tego spodziewał. Powiedział, że to, że tu jesteś drugi raz w takim momencie, nie może być zbiegiem okoliczności. Pamiętasz, on nie wierzy w zbiegi okoliczności. Wierzy w siłę sprawczą.

Baranski zadumał się, trawiąc informacje. Potem przypomniał sobie rozmowy z Anną.

– Czy w Zgromadzeniu nie ma jeszcze jakiejś osoby związanej z figurką albo Bartonem? – zapytał, starannie dobierając słowa. – Poza tym Douglasem?

– Tak. Peterson. Może to on ukradł pająka.

– Ale mówiłaś, że Anders nie ma pająka...

– Bo nie ma. Peterson zniecka zniknął. Na początku podejrzewał jego dziewczynę, bo też zniknęła, ale później uznał, że to Peterson. To przypuszczenia, ale oni znikają, kiedy umiera biedny doktor. I znika klucz.

– Czy ta dziewczyna... – Zawahał się; przypatrywał się przez chwilę Tamarze, rozważając, czy powinien dokończyć pytanie, jej bladej, zmęczonej twarzy i chudym rączkom zaciśniętym na podołku, nim podjął decyzję. – Czy to Anna Lebediew?

– Tak. Znasz ją?

– Sam nie wiem – mruknął. – Kim jest ten Peterson? Co możesz mi o nim powiedzieć?

– Niewiele. Nie wiem, kim był, zanim się tu pojawił. Krążą plotki, że miał problemy z prawem. Ja sama niewiele z nim rozmawiałam. Nigdy nie czułam, że nadajemy na tych samych falach. Trzymał się blisko niego. Słuchał uważnie jego słów. Wierzył chyba najbardziej z nas wszystkich. Był mu bardzo wierny, dlatego zaskoczyło nas jego zniknięcie.

– Zniknięcie Anny nie?

– Nie. Ona była... jak to powiedzieć? – Znów odpłynęła, jej palce powędrowały ku cieniutkiemu naszyjnikowi. – Mnie się wydawało, że nie do końca wierzy w to wszystko... Najmniej z nas. Na początku myślałam, że to dlatego, bo to dopiero jej początki. Była z nami bardzo krótko. Niektórzy najpierw nie bardzo wierzą... No ale ona jakby bardziej. Myślisz, że to ona mogła ukraść pająka?

– Sam nie wiem – powtórzył. – Co myśli Anders?

– Jemu się zdaje, że mogli działać razem, ona i Peterson. Albo sam Peterson. Słyszałam, jak mówił, że Peterson najpewniej udał się do wzgórz w Palouse. Jutro z samego rana wyrusza za nim razem z innymi zaufanymi, żeby odebrać mu klucz.

– Skąd to wie? I dlaczego właśnie tam?

– Nie mówił mi, skąd wie, ale klucz pochodzi właśnie stamtąd. Doktor Barton mu o tym powiedział. Ja słyszałam, jak opowiadał jednemu z zaufanych. Klucz znaleźli tam Indianie wiele lat temu. Doktor Barton zdobył go od nich.

– Po co Peterson miałby tam jechać? Chce oddać pająka Indianom czy co?

W odpowiedzi Tamara wzruszyła lekko ramionami. Jack wziął głęboki oddech, nim zadał kolejne pytanie:

– A więc nie wiesz, co mogło się stać z Anną? Nie masz jakiegoś przypuszczenia?

– Ja... Nie chcę, żebyś pomyślał...

– Nie krępuj się.

– Nie mam pojęcia, może jest z Petersonem... Na pewno z nim jest – dodała szybko, a następnie jeszcze szybciej dorzuciła: – Jesteś tutaj nie tylko z powodu Betty i doktora, prawda? Chodzi ci też o Annę?

– Tak – mruknął, przymykając na chwilę oczy; nagle poczuł się strasznie stary i zmęczony. – Też. Chcę wyjaśnić wiele rzeczy. Przywrócić porządek... – urwał. – Trudno to wyjaśnić, ale parę dni temu cały mój świat wywalił się do góry nogami. Zdarzyło się tyle, a ja ciągle nie wiem, co jest pra... Gdzie jest Sun? Nie było go dziś w pracy.

– Proszę? – spytała Tamara, wyraźnie zbita z tropu raptowną zmianą tematu; nim odpowiedziała, zamrugowała kilka razy, a Jack, czując do siebie obrzydzenie, zmuszał się, by nie uciec wzrokiem w bok. – Rzeczywiście nie było. Miał nockę. Przyjdzie pewnie później.

– Długo pracuje – zauważył prędko Baranski, by dziewczyna nie zdążyła wrócić do poprzedniego wątku. – Wczoraj, dziś... To u was normalne?

– Nie wiem, jaki mają grafik. To pewnie tak wypadło.

– Ale po co w nocy ma pracować? Macie otwarte całą dobę, ale to przecież nie 7-Eleven.

– On uważa, że o każdej porze może się pojawić jakaś zagubiona dusza. I że trzeba jej pomóc.

– Ta, prawdziwy Samarytanin. Gdzie on teraz jest?

– Ciągle w siedzibie. Dlaczego interesuje cię Sun?

– Wydawało mi się... że mnie wczoraj widział. Nie mam pewności...

Tamara pokręciła głową.

– Nie przejmuj się. Wiedziałabym o tym. Sun od razu by go powiadomił... no i policję.

– Dobrze... – mruknął Jack. Nie czuł nic. Zastanawiał się, o co powinien zapytać, co powinien uczynić, lecz nic nie przychodziło mu na myśl. – Posłuchaj, Tamaro, jak mógłbym się z tobą skontaktować? Musielibyśmy...

– Przepraszam, ale nie będziesz mógł tego zrobić. Jak ci mówiłam: pomogę ci we wszystkim, ale on jutro rano wyjeżdża. Nie jestem pewna, ale chyba weźmie mnie ze sobą. Jeśli chcesz, żebym ci pomogła w siedzibie, to jest to ostatnia szansa.

Baranski, wzięwszy głęboki oddech, zamilkł, dłuższą chwilę trawił otrzymane od Tamary informacje. Dziewczyna cierpliwie czekała; nieruchoma sylwetka obłana światłem wpadającym przez okno – scena jak z obrazu renesansowego malarza.

– Mówiłaś o jego prywatnym gabinecie. Co tam jest? Czym różni się od biura, w którym wczoraj byłem? Mogłabyś mnie tam wprowadzić?

– Nie wiem. Byłam tam tylko dwa razy, widziałam książki i dokumenty, ale nie wiem, co zawierają. To jego prywatne sanktuarium. Ale mogę cię tam poprowadzić. Zresztą... – zawahała się. – Tam też jest wejście do piwnic.

– W piwnicach jest ta wielka biblioteka, prawda?

– Tak, ale wydaje mi się... Nigdy tam nie byłam, więc nie mam pewności... że jest tam wejście do jakiejś innej części piwnicy, do której my nie mamy

dostępu. Kiedy czasem zaprasza do siebie najbardziej zaufanych albo najbardziej uduchowionych, to schodzą właśnie do piwnic.

– Skąd wiesz?

– Niekiedy każe mi czekać pod drzwiami. Nie wiem po co. Zazwyczaj słyszałam, jak rozmawiają w gabinecie. Ale raz usłyszałam otwieranie drzwi do piwnicy, kroki na schodach, a potem wszystko cichło. Czekałam długo, ale nic się nie działo. Jakies dwie godziny później wyszli na korytarz, a on mnie pochwalił, że czekałam, że jestem posłuszna. – Zacinawszy zęby, znowu uciekła spojrzeniem w bok. – Potem, gdy szli sami do gabinetu, a on mnie nie wołał, to kilka razy... zakradłam się pod drzwi i słuchałam. Zazwyczaj rozmawiali o sprawach Zgromadzenia, ale raz czy dwa schodzili do piwnic. Zdawało mi się... to tylko wrażenie, ale... zdawało, że wychodzili jacyś odmienieni.

– To znaczy?

– Nie umiem wyjaśnić, coś od nich biło, jakby jakaś aura. Jakby coś przeżyli, jakieś doświadczenie duchowe. Raz kazał mi na nich popatrzeć i powiedzieć, co widzę. Powiedziałam o tych moich wrażeniach. Był zadowolony.

Jack zadrzał, gdy nie wiadomo daczego przebiegła mu przez głowę myśl, że w piwnicy mogłaby być przetrzymywana Anna. Jak gdyby obca myśl, zrodzona w umyśle innego człowieka i gwałtem wciśnięta do jego czaszki, jedna z tych głupich myśli, które znikąd pojawiają się same i nie mają większego znaczenia, lecz równocześnie tak niepokojąca, że nie potrafił jej zignorować.

– Dobrze – zdecydował. – Musimy się tam dostać. Dziś w nocy. Tam mogą być odpowiedzi, wskazówki – zająknął się.

– Tak, ale muszę też mu powiedzieć, co z ciebie wyciągnęłam.

Przez pół godziny opracowywali plan działania – szło im całkiem sprawnie, gdyż najwyraźniej jeszcze przed spotkaniem z Baranskim Tamara przeanalizowała, kiedy i w jaki sposób mogłaby wprowadzić detektywa do budynku Zgromadzenia Odrodzenia – i ustalali, co dziewczyna ma przekazać Andersowi. Jack postawił na bezpieczną mieszaninę prawd i półprawd: kazał powiedzieć to, co sam zdradził guru podczas wczorajszej rozmowy, i skłamać, że Baranski udawał, iż nie słyszał pytań Tamary dotyczących powodów, dla których zainteresował się denominacją. Starał się przy tym ignorować natrętny głosik szepczący do ucha, jak złośliwy goblin, napomnienia, ostrzeżenia, bezlitosne kpiny.

„Ona cię wystawi! Ładujesz się prosto w pułapkę! Jesteś głupcem!”

Nie potrafił go uciszyć, a gdy znalazł się na ulicy, zdał sobie sprawę, że nie do końca chce.

Lecz nie potrafił też przestać myśleć o tym, co Anders zrobił Tamarze.

Dobra wiadomość.

Wczoraj pisanie przerwał mi telefon od wydawcy. Załatwił spotkanie autorskie. Trzeba się przygotować.

Gorzej, że pytał o postępy w pracach nad romansidłem. Udało mi się jakoś wykręcić, ale nie mogę dłużej zwlekać. Nie powinienem. To moja praca, gość mi płaci, a ja go zwodzę. Prawda jest taka, że unikam tej roboty jak ognia. Przez resztę dnia pracuję nad jego powieścią.

Ale zanim to zrobię, zjem coś i pójdę do sąsiadów, może któregoś zastanę, pogadam, może coś mnie zainspiruje.

Dziwna sprawa, dopiero dzisiaj przyszło mi to do głowy. W sumie nie znam tak naprawdę Pana Mikołaja. A przecież jestem z nim najbliżej. Tyle rozmów, wspólny obiad, jego dobroć i uprzejmość, a co ja o nim wiem? Czy tak zawsze jest z nami, ludźmi, że prowadzimy rozmowy o niczym, gadamy głównie po to, żeby się wygadać, a nasz rozmówca tak naprawdę nas nie interesuje? Nie interesuje nas drugi człowiek, ale interakcja jako taka forma rozrywki?

Niepotrzebnie filozofuję. Pójdę do Pana Mikołaja i tak naprawdę z nim pogadam. Nie o jego pasji ornitologicznej, ale o nim samym.

Przed chwilą wróciłem od Pana Mikołaja. Było miło, jak zwykle. Ale nie dowiedziałem się niczego. A przy tym czułem się niezręcznie.

Kiedy po obiedzie poszedłem do niego i stanąłem przed jego drzwiami, nagle coś mnie napadło. Moja głowa jakby sama się obróciła, a ręka zapukała do innych drzwi, do drzwi sąsiadów Pana Mikołaja. Nie wiem, czemu to zrobiłem, nawet nie wiem, kto tam mieszka. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek widziałem tych lokatorów (lokatora?). W każdym razie zapukałem, ale nikt mi nie otworzył i dopiero wtedy pomyślałem sobie, że zachowuję się jak idiota. Ktoś by mi otworzył, zapytał, o co chodzi, a ja co? Stałbym z otwartą gębą? Co bym powiedział? Może wymyśliłbym jakąś bajkę, ale jaki miałyby to sens? Przecież szedłem do Pana Mikołaja.

Zapukałem do niego. Oczywiście otworzył, oczywiście wesoły, jak zwykle pytał, w czym może mi pomóc. Zaprosił mnie na obiad. Pocziwina.

Wszedłem do środka i postanowiłem od razu przejść inicjatywę. Zanim pogawędka o niczym się rozkręciła, sprowadziłem rozmowę na tory życia Pana Mikołaja. Jakie ono było? Czym się zajmował? Jak to się stało, że zamieszkał w tej kamienicy? Ale Pan Mikołaj wzruszył ramionami i powiedział, że życie

miał jak każdy, nie ma o czym opowiadać. Ja na to, że to nieprawda, bo każdy ma inne doświadczenia, wyjątkowe, i można drugiego człowieka zaskoczyć. Znowu wzruszył ramionami i powtórzył, że życie miał niezbyt ciekawe. „Miałem rodzinę, teraz już nie mam, o czym tu gadać? Urodziłem się, chodziłem do szkół, pracowałem, zwyczajne rzeczy”. Tak powiedział. Spróbowałem jeszcze raz, mówiąc mu, że większość ludzi uważa siebie i swoje życie za nieciekawe – ale z takich pozornie zwyczajnych, może nawet nudnych, historii powstaje literatura. Dodałem, że mógłbym taką powieść o zwyczajnych mieszkańcach kamienicy – takiej jak nasza – pisać bardzo długo, stworzyłbym cegłę. Pan Mikołaj uprzejmie słuchał, ale nieprzekonany. Powiedział tylko, że nie wątpi, że mógłbym taką powieść napisać, i że jeśli tego chcę, to życzy mi powodzenia.

Wtedy poczułem się bardzo głupio, jak natręt, który napastuje człowieka, siłą chce wyciągnąć z niego informacje. Wręcz jak plotkarz. Biedny Pan Mikołaj nie miał ochoty na rozmowę o sobie – pewnie ma swoje powody, każdy z nas ma sprawy, o których nie chce mówić, są też tacy, którzy z różnych względów w ogóle nie chcą się otwierać przed drugim człowiekiem – a ja go naciskałem jak totalny cham. Przeprosiłem za moje zachowanie i wyjaśniłem, że po prostu chciałem go bliżej poznać. Uśmiechnął się i odparł, że nie ma sprawy. Ja jednak czuję, że zachowałem się nie w porządku i przekroczyłem granicę uprzejmego zainteresowania, i wlałem w domenę wścibstwa.

Wychodząc, przeprosiłem go raz jeszcze, a Pan Mikołaj się tylko uśmiechał i powtarzał, że to nic takiego. W sumie nie wiem, co mnie opętało, żeby tak na niego naciskać.

A kiedy znalazłem się na korytarzu, usłyszałem, że dres znowu bił blondynę. Chciałem interweniować, naprawdę. Ale nie mogłem. Szybko wróciłem do siebie.

Teraz do nocy popracuję nad książką dla wydawcy.

Dziwny sen. Pan Mikołaj pokazywał mi jakieś artykuły, czasopisma, coś tłumaczył. Nie pamiętam co. Potem pokazał mi jakąś książkę i powiedział: „To dzieło mojego życia!”. Uśmiechnął się, wziął mnie za rękę i przeprowadził przez bagna. Co to może znaczyć?

Rano był Zygmunt. Tylko przelotem. Mówił, że u Mamy wszystko w porządku. Zostawił jedzenie. Nie chciał za dużo rozmawiać, spieszył się. Mam teraz prowiant, nie muszę nigdzie wychodzić, mogę spokojnie pracować nad tą książką. Dzisiaj tylko nad nią. Spider King poczeka.

Pajęczyna

Rano dzwonił wydawca. Mówił, że jednak ze spotkania autorskiego nic nie wyjdzie. Ale już organizuje kolejne, więc mam być gotowy. Da mi znać kiedy. Dzisiaj sobie trochę popiszę Spider Kinga.

Moi Drodzy!

Jak zwykle dziękuję Wam za to, że czytacie! Dziś chciałbym się Wam też czymś pochwalić.

Otóż jeden z bardzo znanych internetowych recenzentów przeczytał i wziął na swój krytyczny warsztat część Spider Kinga! I choć recenzja nie była zbyt przychylna (ogółem to nie polecał), cieszę się, że poświęcił mi czas. Szkoda tylko, że nie zorientował się, że rozdziały, które czyta, to fragment internetowej powieści – mógł się łatwo pomylić, bo trafił akurat na ten opublikowany w tym czasopiśmie, o którym Wam pisałem – bo jestem ciekaw jego opinii na temat całości. Ale nawet za te kilka zdań jestem mu wdzięczny, bo to oznacza, że mamy coraz więcej odbiorców. Dziękuję!

Równocześnie dostałem od Was kilka miłych maili. Co ciekawe, w każdym z tych maili powtarzacie tę samą prośbę – więcej Mordercy! Moi Drodzy – w ostatnich rozdziałach, choć można łatwo to przeoczyć, Morderca pojawił się dwa razy. Za kulisami. Nie zauważyliście, prawda? :) Ale rozumiem, że chcecie, by w końcu wrócił na scenę we własnej osobie i żebyśmy raz jeszcze mogli sobie na niego popatrzeć (albo raczej poczytać o jego działaniach). Nie martwcie się. Będzie. Pojawi się. Obiecuję. Wytrzymajcie jeszcze moment :)

Aha, pamiętacie tego Czytelnika, który zaproponował, żeby Morderca wrócił i pozabijał wszystkie pozostałe postaci? Już druga osoba prosi o to samo! No, moi Drodzy! Widzę, że lubicie bardzo mroczne zakończenia, ale nie przesadzajmy! Nie chcemy chyba, żeby powieść urwała się w połowie intrygi i żeby większość wątków nie została domknięta?

Albo przynajmniej poczekajmy jeszcze te kilka rozdziałów... :)

28.

Szybkim krokiem mijał umierające budynki; samotna sylwetka tonąca w cieniach nocy, otoczona pęknięciami w murach, brudem i ciemnymi oczami okien. Gdyby nie dobiegające z daleka dźwięki niezasypiających dzielnic miasta, można by uznać, że to ostatni człowiek przemierza ruiny dawno upadłej

cywilizacji. Nim Jack znalazł się w parku, ponownie zerknął na komórkę. Żadnego nowego połączenia. Zanim wrócił na tę ulicę, po raz kolejny spróbował zatelefonować do Anny, pojechał do niej, dzwonił domofonem, pukał do drzwi, ale bez rezultatu.

Pokręciwszy głową, zakradł się do zachodniej ściany siedziby Zgromadzenia Odrodzenia. Księżyc na moment schował się za chmurami, jak gdyby nie chciał swym blaskiem wskazać detektywa nieprzychylnym obserwatorom. Baranski trzykrotnie minął spoglądające na świat dwójkami malutkie okienka, za którymi drzemały w ciszy i ciemności sale wykładowe, czterokrotnie, dziesięciokrotnie, aż zdało mu się, że nigdy się nie skończą, że nigdy nie przestaną lustrować go żrenicami delikatnie lśniących szyb. Wtedy jednak dotarł do większego okna, takiego, przez które człowiek mógłby wejść do budynku. Tu się zatrzymał. Czekał, rozglądając się nerwowo.

Wreszcie coś poruszyło się za szkłem. Ciemna sylwetka, niemal niedostrzegalna w mroku pomieszczenia, jak gdyby składała się z samego zarysu, z samych konturów, stąpała ostrożnie. Cichy trzask. Chrzęst. Okno cofnęło się do wnętrza, a na zewnątrz wyrzała Tamara – blada twarz okolona czernią włosów, czernią bluzki, cieniem. Jak duch księżnej wychylający się z wieży.

– Chodź – szepnęła, spoglądając wokół. – Śpi.

Zawahał się.

– No chodź – ponagliła. – Nie mamy wiele czasu.

Skinąwszy głową, Jack rozejrzał się raz jeszcze, po czym chwycił się framugi, postawił lewą stopę na parapecie i odbił się prawą. Po chwili był już w środku, lustrując pokój. Przy oknie bielił się manipulator alarmu, a jego przyciski świeciły na zielono. Pod ścianami piętrzyły się sprzęty, ale w czerni nocy były nierozróżnialne, zlewały się z sobą, tworząc górki, z których jak karłowate drzewa gdzieniegdzie wyrastały zdeformowane kształty niezidentyfikowanych przedmiotów.

– To taki magazyn – wyjaśniła cicho Tamara. – Różne kłamoty. Chodź.

Drzwi zaskrzypiały ogłuszająco, gdy dziewczyna nacisnęła klamkę, lecz kiedy echo przebrzmiało, nic się nie zmieniło – nic nie drgnęło w ciemności znajdującego się za wrotami korytarza, żaden dźwięk nie rozległ się w odpowiedzi. Tamara i Jack, zamknąwszy za sobą okno i drzwi, ruszyli wąskim przejściem. Idący za swą przewodniczką detektyw rozglądał się, usiłując przeniknąć mrok i dostrzec znajome elementy, lecz bez skutku. Nie, nawet gdyby światło było włączone, nie znalazłby niczego takiego. Był w tej części kompleksu po raz pierwszy.

Dotarli do kolejnych drzwi. Tamara otworzyła je i, wyrzawszy za próg, otaksowała rozjaśniany słabym blaskiem jarzeniówek korytarz. Jack zacisnął szczęki. Nagle zrobiło mu się gorąco.

Kobieta, nie spojrzawszy na detektywa, gestem dała mu znać, że można iść. Szedł za Tamarą powoli, starając się nie dotykać ścian, te bowiem zdawały się pulsować, prawie niezauważalnie, tak, że musiał wpatrywać się w jeden punkt, by upewnić się, że to nie przywidzenie; gdy jednak mrugnął, cień ruchu zniknął, jakby starty uniesieniem powieki.

Mijali szereg drzwi, Baranski co chwilę spoglądał za siebie, niemal przekonany, że któreś z nich się rozewrą, a on i Tamara zostaną odkryci. Nic. Cisza i spokój tego miejsca, zakłócanie jedynie rozlegającym się na granicy słyszenia sykiem jednej z żarówek, sprawiały wrażenie nienaruszalnych, zupełnych, jak gdyby nawet myśl, że coś byłoby w stanie je zaburzyć, była nie do przyjęcia. Wreszcie wbrew sobie rozluźnił się i skoncentrował na plecach przewodniczki. Ciągle jednak nie zbliżał się do ścian, uważał, by trzymać się środka pomieszczenia.

Gdy dotarli już do końca korytarza, dziewczyna zwróciła się w lewo, ku ostatnim drzwiom. Nie różniły się niczym od poprzednich, ale Tamara, spojrzawszy na Jacka, przytknęła wskazujący palec do ust, a potem przyłożyła ucho do drewna. Przez kilka minut nasłuchiwała, a Baranski zerkał przez ramię na przestrzeń, którą zostawili za sobą.

– Chodź.

Jej szept zagrział w ciszy, szcęk otwieranych drzwi brzmiał jak strzał z pistoletu. Popatrzawszy raz jeszcze za siebie, ruszył za Tamarą do pokoju, a gdy znalazł się w środku, kobieta zamknęła za nim wrota. Zamarli. Jack rozejrzał się, lustrował szafirowe ściany, proste jednoosobowe łóżko, szafę, biurko, które, tak jak to w drugim gabinecie, tonęło pod stertą pokrytych robaczkami pisma kartek, i uginające się pod ciężarem książek regały z prawej. Nic. Żadnego ruchu.

Detektyw zbliżył się do biurka, jakby wbrew sobie, jakby jakaś siła pchała go ku leżącym na nim dokumentom. Przypomniawszy sobie bardzo podobną sytuację – noc, siedziba Zgromadzenia Odrodzenia, cisza, papiery, gabinet Andersa. I Tamara. Zatrzymał się, zerknął do tyłu, na dziewczynę. Stała przy drzwiach, obejmując się ramionami, a jej spojrzenie błędziło po pokoju to tu, to tam, bez celu. Jak spojrzenie schwytanego w pułapkę zwierzęcia.

Drżała. Była taka bezbronna...

Baranski, zacisnąwszy zęby, odwrócił się do niej plecami. Nie mógł nic zrobić. Skoncentrował się na notatkach.

Nad biurkiem wisiała przyczepiona do ściany przezroczystą taśmą klejącą kartka papieru formatu A3, na której czerniły się litery o znanym już Jackowi wyglądzie, układające się w słowa:

„ODYN

HOCHERLEUCHTETE”.

Baranski zmarszczył brwi. Odyn... Kojarzył jakąś historię o władcy

nordyckich bogów, która w pewien sposób wiązała się z jego sytuacją – a Tamara też wspominała o Azie – ale nie potrafił przywołać tej wiedzy z otchłani pamięci. Sfrustrowany popatrzył na biurko, a jego uwagę w pierwszej kolejności przykuła leżąca pośród luźnych kartek czerwona księga. Trójkątna. Ręka zaintrygowanego Jacka sama powędrowała do woluminu i otworzyła go na stronie tytułowej, na której wił się pozbawiony przednich łap smok o dwóch głowach – jedna nieco przypominała detektywowi końską czaszkę o oślich uszach i złożonej z grubych strąków krótkiej grzywie, druga, jaszczurcza, wyrastała na końcu ogona monstrum. Nad tą skrzydlatą bestią wywalającą z paszcz języki w kształcie grotów strzał duże pomarańczowe litery oznajmiały:

„EX DONO SAPIENTISSIMI
COMITIS S. GERMAIN
QOI ORBEM TERARUM
PER CUCURRIT”.

Baranski przekartkował wolumin, lecz nie potrafił znaleźć żadnego sensu pośród dziwacznych liter kojarzących mu się z greckim alfabetem, diagramów i wykresów. Zamknąwszy księgę, sięgnął po pierwszą lepszą stronę pokrytą pajęczyną czarnych znaków.

„SIMON FORMAN! – PRZEJŚCIE!!!
PIETRO D’ABANO – SEPTEM!!!
GIOVANNI MERCURIO DA CORREGGIO – LODOVICO LAZZARELLI
PARACELUS
JOHN MURRAY SPEAR
GEORGE RIPLEY
ABU AL-QASIM AHMAD IBN MUHAMMAD AL-IRAQI AL-SIMĀWI
FAMILIA CARITATIS
OLBRACHT ŁASKI – SPRAWDZIĆ!”

Jack komórką zrobił zdjęcie notatce, nim jednak zdążył zabrać się za kolejne kartki, usłyszał szcęk z prawej. Odwrócił się, by ujrzeć Tamarę stojącą przy otwartych drzwiach ukrytych za regałem z książkami tak, że wchodząc do pokoju, nie można było ich dostrzec.

– Chodź – ponagliła. – Nie mamy czasu.

Odsunął się od biurka, lecz nie od razu udał się za Tamarą ku nowemu przejściu. Zatrzymał się przy biblioteczce i skierował obiektyw telefonu na grzbiety tomiszczy.

– Pospiesz się!

Dziewczyna, bledsza niż zwykle, w napięciu obserwowała Baranskiego, stojąc na progu gabinetu i ciemnego pomieszczenia znajdującego się za drzwiami. Detektyw, sprawdzwszy ostrość, pstryknął zdjęcie, po czym schował telefon i ruszył ku Tamarze. Cofnęła się, robiąc mu miejsce na ciasnej klatce schodowej.

– Boję się – szepnęła; trzęsły się jej ręce. – Nigdy... nie wiem...

– Spokojnie – mruknął przez ściśnięte gardło i suche usta. – Ja pójdę pierwszy.

Skinęła Jackowi głowę i usunęła się na bok, pozwalając mu wejść na schody. Baranski przełknął ślinę. W półmroku zbudowane blisko siebie ściany zdawały się napierać na detektywa, jakby pragnęły go zmiażdżyć. Przytrzymał się ich jednak, bojąc się upadku, a gdy dotknął zimnej i lepkiej powierzchni, niemal splunął z obrzydzenia. Było mu duszno, stawiane ostrożnie ciężkie jak ołów nogi z wręcz ogłuszającym stukiem lądowały na kolejnych stopniach, prowadząc go w czeluście uspionego kompleksu. Czuł się tak, jakby schodził w głębinę ziemi; ciemne ściany kojarzyły mu się ze skałą, jego własne i Tamary kroki i płytkie oddechy brzmiały jak zawrota duchów. Nie, tak naprawdę miał wrażenie, że schodzi do piekła.

Albo do grobowca.

„Ona idzie za tobą”, odezwał się nagle głos. „Uważaj!”

Włoski na karku stanęły mu dęba, dreszcz przebiegł po plecach, ale nie odwrócił się. Szedł, oddychając z coraz większym trudem.

Wtedy nozdrza Baranskiego zaatakował smród śmierci, ciężki, przyprawiający o mdłości odór zgnilizny. Ściany napały nań. Mrok zgęstniał. Tamara pisnęła. Grobowiec...

„Uciekaj! Uciekaj!”

Anna. Gdzie była Anna? Pytanie pojawiło się znienacka i uderzyło go z siłą maczugi. Detektyw zamarł.

Boże, nie!

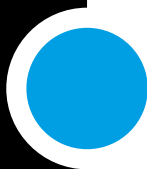
Zatrzymał się może na sekundę, nie więcej. Zaraz przyspieszył, ruszył ku jeszcze głębszej ciemności, ku smrodowi, po wąskich stopniach, ignorując pełen niepokoju szept Tamary, nie rozumiał go, krew pulsowała mu w uszach, a ściany zdawały się trząść od bezgłośniego rechotu.

O Autorze:

Urodzony w 1988 roku w Opolu, tam też do dziś pędzi swe życie. Publikował w antologiach (Sny umarłych: Polski rocznik weird fiction 2018, ósmy tom *Fantazji Zielonogóskich*) oraz w czasopiśmie i na portalach (*Magazyn Biały Kruk*, *Migotania* *Przejaśnienia*, *Nowa Gazeta Literacka*, *OkoLica* *Strachu*, *Secretum*, *Silmaris*, *Szortal Na Wynos*, *Mole*). W 2014 roku wygrał konkurs Dębowe Pióro na opowiadanie cyberpunkowe; jego próby po-etyckie znalazły się w e-booku z haiku *Życie: Kilka chwil*, natomiast kilkanaście esejów i kil-ka opowiadań – w antologii tekstów *Skamieniałe motyle: Opole* (to także darmowy e-book).



WYDAWNICTWO
IX



**POLSKA FUNDACJA
FANTASTYKI NAUKOWEJ**

**POLISH
SCIENCE FICTION FOUNDATION**

